BIBLJOTEKA i MUZEUM Z.N.P.

1514-1520 W. DIVISION STREET

WAŻNA UWAGA:

10 PRÓŚB KSIĄŻKI DO CZYTELNIKA

I. Nim zaczniesz czytać — obłóż mnie w papier!
II. Nie dotykaj mnie brudnemi rękami.
III. Nie czytaj mnie przy jedzeniu!
IV. Nie śliń palców przy przewracaniu kartek.
V. Nie mnij kartek i nie zaginaj rogów.
VI. Nie przeginaj mnie przy czytaniu.
VII. Nie kładź mnie rozłamaną, grzbietem do góry!
VIII. Nie umieszczaj mnie w domu na miejscu nieodpowiedniem!
IX. Nie rób na mnie żadnych znaków i dopisków.
X. Nie wyrywaj i nie niszcz obrazków i kartek.

Wymaga się od każdego wypożyczającego książki z Bibljoteki Związku Nar. Pol., aby się zastosował ściśle do powyższych próśb i wogóle należy oddać książkę w takim stanie, w jakim ją wypożyczono, w przeciwnym razie osoba wypożyczająca będzie zmuszona do zapłacenia wartości książki.

DYREKCJA.

FEB 6 '58

C1130

* C 1130

SZKICE

BYCZAJOWE I HISTORYCZNE.

każda powieść tego zbioru przedaje się osobno.)

C1130

SZKICE
OBYCZAJOWE
I HISTORYCZNE.

(O. O. ORASZEWSKIEGO.)

ODDZIAŁ DRUGI.

Powieść ósma.

Wydanie Adama Zawadzkiego.

WILNO.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1841.

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno. 1841 roku 31 Maja.

Cenzor, Professor b. Uniwersytetu Wileńskiego
Radźca Kollegialny i Kawaler
Jan Waszkiewicz.

OSTATNIA

Z XIĄŻĄT SŁUCKICH.

OSTATNIA
C 1130
Z XIĄŻĄT SŁUCKICH.

KRONIKA

z czasów Zygmunta trzeciego

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

z trzema rycinami.

WILNO.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1841.

3043

Adamowi Zawadzkiemu

w dowód

serdecznéj przyjaźni

o d

AUTORA.

d. 16 Maja 1841 r.
w Gródku.

I.

Wstęp. Litwa i Wilno w r. 1599.

I.

Wstęp. Litwa i Wilno w r. 1599.

Nie było podobno burzliwszego panowania w Polsce, nad czasy rządów bezsilnego Zygmunta III. Przez ciąg długiego jego życia toczyła się walka, poczęta jeszcze

za Zygmunta Augusta, wstrzymana chwilę silną dłonią Stefana, która pod Władysławem IV. miała być wygraną na stronę szlachty, domagającéj się nieograniczonych a szkodliwych sobie swobód. Słabość Zygmunta III. którego berłem i umysłem władali Jezuici, sprzyjała walce codzień bardziéj gorszącéj, codzień smutniejszą zapowiadającéj przyszłość. Kraj dzielił się i rozpadał na stronnictwa, wrzał wojną domową, którą tylko niekiedy niebespieczeństwo kraju pohamować mogło wspólném wszystkich niebezpieczeństwem. Król gorliwy katolik, dał się uwieść duchowieństwu, na którego czele stali Jezuici, w walkę z różnowiercami: powiększał się nią niepokój i zaburzenia wewnętrzne. Reforma była już silna i opierać się mogła, bo za Augusta, który władzę duchowieństwa starał się ukrócić, nabrała sił i potężnie się rozwinęła; za Stefana, który się za żadną stroną nie ogłosił i podejrzéwany naprzód o różnowierstwo, nawrócony potém przez Solikowskiego, starał się tylko ściśle sprawiedliwym dla obu stron okazać; — za Stefana nie osłabła. Przy Elekcji

Zygmunta III. już partja katolicka była silniejszą, i ledwie nowowiercy sankcją prawną, dla swobodnego spełniania obrzędów swych otrzymać mogli, chociaż Biskup Solikowski tak zapalczywie piersi był swoje obnażył, ofiarując się godność i życie utracić, nimby na nadanie swobód różnowiercom dozwolić miał. Łatwo pojąć, jak, gdy strony katolicka i nowowierska prawie na równym stopniu siły stały, w czasie Elekcji Zygmunta III., pochylenie się panującego na jednę z nich, musiało ją uczynić silniejszą i przeważniejszą. Stało się to jednak nie bez silnego oporu, i różnowiercy nie dali się od razu pożyć. Jezuici, których wpływ był tak wielki, znaczenie tak ważne, wszelkiemi siłami starali się Króla zaostrzyć przeciw protestantom, i dokazali tego nareście. Wkrótce Zygmunt III., tercjarz ich zakonu, pokorny ich sługa, bo umieli zręcznie jego namiętnościom dogadzać, łechtany lub strofowany przez nich, dał się nakłonić na wszystko, czego od niego żądali. Nie podobna było myśleć o nawróceniu reformowanych (chociaż i tak wielka ich liczba zaczęła

wracać na łono Katolickiego Kościoła) obrócono się przeciw wyznaniu Wschodniego Kościoła. Kilkakrotne a prawie bezskuteczne Unje, naprowadziły na myśl nowéj i skuteczniejszéj. Posłani Biskupi do Rzymu z wymożonemi w Brześciu podpisami. Uczyniono z tego wiele hałasu, a następnie zajęto się przyprowadzeniem do skutku Unji, dotąd tylko na papierze będącéj. Wiadomo jak głowy wyznania tego w Litwie silnie się przeciw Unji zaprotestowały, jak ucisk, którego powodem byli Jezuici, wzbudził powszechne szemranie. Poczęło się prześladowanie mocne wyznawców Wschodniego obrządku, poczęto krzywdzić ich, osadzać unitami plebanje, zbrojną ręką nachodzić Monastéry, odwracać fundusze i uciskać dla nakłonienia do Unji. Mały z tego był jednak skutek: prześladowanie jątrzy nie nawraca, utwierdza nie pokonywa. Podobnego prześladowania od Katolicko - Jezuito - Królewskiéj partji doświadczyli także i innych wyznań ludzie, wyznań, których liczba namnożyła się była nieskończenie ostatniemi czasy. Nie śmiejąc do

otwartéj stanąć walki, wszyscy różnowiercy spójrzeli na się i znieśli się, aby podać sobie ręce. Była to myśl wyborna, lecz w skutkach mała, dla tego, że bez jedności wiary, choć ich jedno łączyło niebezpieczeństwo, nie mogło być zupełnéj zgody, jednostajnego dążenia i działania. Nie probując nawet połączenia duchownego, wszyscy różnowiercy, grecy, ewangelicy, protestanci, arjanie i t. d. uczynili konfederacją w Wilnie 1599 roku. Na jéj czele stali najmożniejsi różnowiercy Korony i Litwy. Ta Konfederacja za cel miała *conjunctis viribus* oprzéć się zagrażającym krokom zaczepnym stronnictwa Katolickiego; stanąć przeciw prześladowaniu murem; bronić się od niego. Skonfederowani oświadczyli, że nie dopuszczą nadużyć, że zbrojną nawet ręką staną przeciw Katolickiego duchowieństwa najściom i uciskom. Odkryto w akcie związku wszystkie rany dolegające im, wezwano do wspólnéj obrony, naznaczono prowizorów do czuwania nad całością Kirch, Cerkwi i Zborów, zagrożono kraj wojną domową. Dwieście osób ze szlachty należały do

téj konfederacji, Xiążęta Ostrogskie, Sanguszkowie, Wiśniowieccy, Koreccy, Rożyńscy, Gorscy, Sołomereccy, Puzynowie, Radziwiłłowie, Hlebowicze, Hołowczyńscy, stali na czele; z Polski mniejsza liczba i mniéj przemożnych osób. Dziwno jest że tak na pozór znacząca konfederacja rozbiła się bezsilnie, i ledwie biernie oporem samym działać mogła przeciw Katolicko-Królewskiemu stronnictwu. Lecz, jakkolwiek dla swobód religijnych, mało o tém związek szlachty uczynił, pomnożył on rozruchy w kraju i wyraźniéj jeszcze podzielił go na dwa stronnictwa nieprzyjaźne, katolików i nowowierców. Radziwiłłowie i Xiążęta Ostrogscy stali na czele jednéj; Król, Jezuici, Chodkiewicze, Mnichowie, Sapiehowie, drugiéj.

Potrzebowaliśmy w kilku słowach ten stan kraju określić, aby co następuje zrozumialszém i jaśniejszém się stało.

Tak się więc miało w r. 1599 — Szlachta dzieliła się na dwa stronnictwa, jednemu Król, drugiemu możni różnowiercy przewodzili. W Litwie, mianowicie skutkiem powolności

Zygmunta Augusta, który usiłując ukrócić władzę duchowieństwa, powiększył swobody różnowierców, liczba tych była znaczniejsza, głowy więcéj znaczące. Wpływała na to i liczba wyznawców Wschodniego Kościoła; liczba wielka, pomnażająca stronnictwo i uciśnionych. Znacznie późniéj pod wpływem czasów Zygmunta III. powrócili Sapiehowie, Radziwiłłowie Ostrogscy i inni, na łono Katolickiego Kościoła. Tym czasem, w r. 1599 najmożniéjsi byli ze strony konfederacji, słabsza daleko partja katolicka, na któréj czele ulubieńcy Królewscy, stali Chodkiewicze.

Wilno, stolica Litwy, było ogniskiem walki, począwszy od wprowadzenia tu Jezuitów. Przed niemi przemagali tu różnowiercy, lecz już za Stefana i zaraz w początkach panowania Zygmunta III. wzbili się w siłę pod wodzą Jezuitów Katolicy i rej wiedli. Któż dziś jeszcze nie wié, że Jezuitów wszelki oręż, wszelki sposób był dobry, byle ich do zwycięztwa prowadził? Siłą, zdradą, namową, pieniędzmi, walczyli bez wyboru, i coraz a coraz mocniejsi, coraz przeważniejsi, coraz nie-

bezpieczniejsi się stawali. Kiedy piérwsi z ich zakonu przybyli do Wilna, kupy śmieci i gnoju, leżały przed Archiprezbiterjalnym Kościołem Ś. Jana, a śpiew psalmów we Zborze sąsiednim, głuszył nieśmiałe głosy gregorjańskiego kantu kapłanów katolickich. W lat niewiele potém, zaczęto palić xięgi różnowierców w Rynku ręką kata! lud napadał Zbory, rzucał kamieniami na przechodzących pastorów: w lat kilka reformowani osłabli i ledwie się bronić mogli. Unici odbierali Cerkwie i Monastéry Grekom, a gdy Trybunał osądził w duchu prawdy przeciw nim, Król kassował dekret i sądził za niémi! Co chwila, po ulicach, smętarzach, u drzwi kościołów odbywały się walki krwawe o ich posiadanie, bito się w przedsieniach Cerkwi, trupami zawalały się stopnie ołtarzy, katolicy zwyciężali. Powoli drukarnie Protestantów upadły, pogorzały zbory, osłabli na duchu różnowiercy, a raczéj uczuli się bezsilnemi przeciw nieskończonéj liczbie i rodzajowi oręży Jezuitów, którzy podstępem, bojem, kłamstwem i czémże jeszcze! nie szli do celu.

Jednakże w 1599 roku, gdy się nasza powieść zaczyna, w czasie zwłaszcza kiedy Konfederacja różnowierców zawiązała się, trwała jeszcze walka w Wilnie, jeszcze opornie stawali nowowiercy, jeszcze się przy Cerkwiach trzymali Grecy, jeszcze po Zborach śpiewali głośno Ewangelicy i xięgi drukowali, jeszcze bój był w całym wrzątku, a chociaż widać było jak na dłoni, kto przemoże, strona słabsza nie wyrzekała się jeszcze nadzici. Bez nadzici zwycięztwa, nié ma walki. Niesprawiedliwości przeciw Katolikom popełniane, zgwałcenie przywilejów, nadań, swobód, dodawały ducha; bo ucisk, bo krzywda, wołają o pomstę, dają otuchę pomocy Bożéj. Bóg za skrzywdzonym zawsze. Lud w Wilnie był Katolicki w części, w części Ruski — Rusini sprzyjali konfederacji — miasto więc także dzieliło się na stronnictwa. Magistrat nawet miasta był podzielony; na czele jego stał Wójt Magdeburskiéj Juryzdyki Maciéj Borzymiński, bezprawnie przez Króla miastu narzucony. Wybory urzędników w Magistracie okazywały, że i tu Jezuici wielki wpływ mieli: wy-

łącznie bowiem prawie obierano Katolików, szukano nawet praw do usunięcia całkiem różnowierców, a Greków, którym odwieczne przywileje dawały miejsce w Radzie i na Ławie, zastąpiono unitami. To było co do głównéj części miasta, to jest Juryzdyki Ratuszowéj, lecz Wilno jak inne miasta, nie jeden Rząd miało, co dla niego było wielce szkodliwém. Dawniejsze nadania Biskupom, Kapitule, Mnichom, kawałków ziemi i domostw z wolnością rządzenia niémi, podzieliły miasto na nieskończoną prawie liczbę, części, z których każda osobny swój zarząd niezależny miała i inne prawa. Tak w jedném mieście było prawie miast kilka osobnemi prawy rządzonych. Ledwie na niektóre ogólne prawidła porządku godziły się juryzdyki, częściéj z sobą walcząc, aniżeli się wzajemnie wspomagając. Ztąd nieporządek największy, nadużycia bez liczby. Rzemieślnicy cechowi, mieli niebezpiecznych współ - zawodników w partaczach, którzy nie należąc do cechu, pod opieką, na ziemi, w Juryzdyce Biskupa, wyroby swoje przedawali swobodnie. Wło-

częga, zbrodniarz, lękając się sądu, uciekał się do któréj z Juryzdyk, i otrzymawszy protekcję, czasem jedynie wyświadczoną mu dla dopieczenia tém nieprzyjaznéj Juryzdyce, nie mógł już być schwytany, a gdy tylko wpisał się i zamieszkał tam, pozywany i sądzony. Codzień nowe wyrastały spory, nowe zajścia. Magistrat nie miał siły przeciw wszystkim, a szlachta, Wojewodowie, Starostowie, duchowni, robili co chcieli. Oprócz Juryzdyki Ratusza głównéj, były jeszcze — Zamkowa którą rządził Wojewoda, i od niego wyznaczony Podwojewodzi, — Biskupia, Kapitulna, Mniszych kilka, Metropolitańska i t. d. Każda swemi urzędnikami rządziła się jak chciała, wybierała podatki, miała osobną Ławę i Sądy osóbnego Wójta. Żydzi byli pod prawem Statutowém i Podwojewodzićm, chociaż zamieszkiwali w Juryzdyce Miejskiéj; snać dogodniéjsze im to było, gdyż się ciągle odwoływali do Statutu, a bronili od Magdeburskiego prawa.

Magistrat uslachcony przez Zygmunta Augusta, i obdarzony wielą swobodami nie miał jednak dość siły, aby się oprzeć bezprawiom.

Raz w raz uciekać się musiał do Króla, co raz nowych żebrać pomocy, a zawsze prawie bezskutecznych; ulegał wreście i milczał, kupując częstokroć pokój zamknieniem oczu na bezprawia.

Duchowieństwu, jakeśmy rzekli, przewodzili Jezuici. Od czasu ich nastania, oni byli jedni na świeczniku, a za Zygmunta III. całkowicie nim owładnąwszy, stanęli na czele Katolickiego duchowieństwa wyraźnie. Kapituła Wileńska, wprzódy jedyna obronicielka wiary, teraz zdawszy się na nich, zajmowała się tylko wewnętrznemi urządzeniami, administracją Kościoła, majątków i domów swoich. Nikogo nie było na tronie Biskupim, kilkoletnie trwało bezkrólewie. Litwini bowiem obrażeni nominacją polaka Maciejowskiego, którego list installacijny wyszedł był pod pieczęcią Kancellarji polskiéj, pokładając przywileje swoje, że tylko Litwin mógł zasiadać piérwsze Biskupstwo Litewskie, oświadczyli się, że Maciejowskiego nie przyjmą i choćby przyszło broni użyć, z bronią w ręku go odepchną. Nie stawił się Maciejowski do

walki, a tak Biskupstwo wakowało; tajemnie zaś, chociaż naprózno czynione starania o przyjęcie nominata, poszły w nic; aż dopiéro w roku następnym przekonany że nie przemoże stałością oporu, odstąpił od swego Maciejowski. Tym czasem duchowny zarząd diecezji Suffragan z Kapitułą utrzymywał.

Wojewodą był jeden z najsilniejszych różnowierców Krzysztof Xiąże Radziwiłł; Kasztelanem gorliwy katolik Hieronim Chodkiewicz, spokrewniony z nim, powierzchownie niby w przyjaźni; lecz w istocie związki ich stygły wspomnieniem dawnych jakichś zajść familijnych, nie było poufałości, życzliwości nawet; wzajemna nieufność i zimna grzeczność.

Taki był stan Wilna w końcu XVI wieku, a fizjonomja jego zdawała się odpowiadać obecnemu stanowi wewnętrznemu, malując dobitnie tę walkę, spory i brak jedności, które Wilnem szarpały.

Znaczne to już było miasto, przedmieścia jego po za bramami okryte licznemi domki uboższych mieszczan, podobnemi do *num* litewskich, już gdzie niegdzie zdobiły i prze-

dzielały bielejące, czerwieniejące mury. Na Wilji wznosił się most zielony, na Łukiszkach błyskał xiężycem meczet tatarski, stara budowa z witoldowych czasów, meczet Tatar, którym także dojmowało prześladowanie, a nikt ich nie bronił prócz nadań, bo konfederaci, jako nie Chrześcian i nieprzyjaciół chrystusowego imienia, między siebie nie przyjęli. Byliby się w opinji zabili z niewiernemi mieszając.

Miasto dzieliło się, jakeśmy mówili, na kilka juryzdyk. Główna była ratuszowa, jéj stolica Ratusz, ogromny gmach z wieżą zégarową, wieżycami bocznemi, wznosił się wpośród rynku głównego miasta, w sercu miasta, otoczony czworograunemi kramy, w których wszelkiego rodzaju towary na sprzedaż wystawiano. Tu były także jatki; tu rozwieszano jaskrawe sukna i bogate matérje, przedawano żelastwo i futra i sól i skóry i wszystko co się sprzedaje, co się kupuje. W około zasiadali przekupnie, wózki rzemieślnicze, na łokciach z obuwiem szewcy, ślosarze, krupnice, solecznicy, łakotnice i t. d. Bo-

gatsze kramy kupców rozsypane były po mieście; jednakże i w sklepach pod Ratuszem zamożni mieszczanie zasiadali. Pomiędzy łokciami, kramami i ciżbą handlarzy, wznosiły się po dwóch stronach Ratusza dwa przypomnienia kary i sądu, władzy Magistratu, wójtowskiego prawa miecza, pręgierz zwany pospolicie Piłatem (pilori) i szubienica. Niekiedy po pod niemi suwał się w jaskrawéj barwie płatny od miasta Kat, czyli Mistrz z pachołki swemi.

Rynek podle Ratusza napełniała wrzawą ciżba kupujących i przedających, których scisk powiększał się w ciasnych i ciemnych szyjach, służących za wejście do kram, osadzonych pilnemi na czatach złodziejami, z okiem wlepioném w taszkę nieostróżnego szlachcica, skórzane kieszenie staréj matrony, kalétę sługusa.

Pod Ratuszem jeszcze siedzieli wyrobnicy, przedzieńnicy, z piłami, siekierami, rydlami, taczkami, czekający aż ich kto do roboty najmie. Niedaleko wywieszony znak nożyc olbrzymich zwiastował postrzygalnię miejską,

przeciw której już stawać zaczynały pokątne współzawodnicze, chcrlające, póki ich opatrzywszy się Monopolium, jedném machnięciem ręki nie zabiło. W dolnych Ratusza izbach były kramy także, sklep win miejski i skład towarów. Tu była waga i zabojnica wosku, na górze izby obrad i sądów wójtowskich, w których błogiéj pamięci Augusta portret jedyną stanowił ozdobę. Tam także znajdowały się archiwa i skarbce miejskie pod kilką zamkami, od których klucze dzwigali za pasem panowie Burmistrze. Na wieży zégarowéj wybijał godziny półzégar, a niżéj galerja żelazna przeznacona była dla muzyki, która w wielkie święta grywała dla ludu dzień i noc wesołe melodje narodowe.

W rynku mieszkali kupcy; było też kilka Cerkwi Ruskich; na lewo skromna na piętrze kamienicy staréj Piacionka, na prawo Cerkiew Sw. Mikołaja zasłoniona domostwy, niewidna z ulicy, któréj tylko wierzchołek wyglądał ku niebu. Istny obraz stanu ludzi, którzy do niéj uczęszczali. Bliżéj jeszcze był stary, opuszczony Zbór Ewangelicki. W tyle za

Ratuszem, poczynała się ulica Niemiecką zwana, kędy żydostwo na miasto się wylewało i gdzie najwięcéj widać było czarno-strojnych Izraelitów i białych spréidłów zamężnych żydowic, wlokących się aż po ziemi. Tam były dwie kamienice za Ratuszem, zowiące się Raj i Piekło. Daléj wgłąb wiodła ulica, na któréj w lewo wznosiły się mury Cerkwi Stauropigjalnéj św. Ducha w Monastérem. Na prawo rozległy dom gościnny kupców ruskich i Monastér grecki także św. Trójcy, niegdyś fundacji Xiążąt Ostrogskich, wielkiego Konstantego. Po za Cerkwią św. Ducha spuszczała się wązka uliczka w przedmieścia na lewo, którą poźniéj zajęły zabudowania Xięży Karmelitów.

W ulicy Niemieckiéj równy gwar jak koło ratusza panował, a gorsze sto kroć niechlujstwo. Z otwartych na ulicę kramików i jatek wyglądały twarze pożółkłe żydów; po ścianach domostw widać było znaki zlewanych w ulicę pomyjów; trudno było przejść, trudniéj przejechać między kupami gnoju i śmiecia aż po piętra piérwsze wznoszącemi

się z obu stron. Środek ulicy zajmowało nigdy niewysychające smrodliwe błoto czarne; a boki wyłożone tarcicami, wydeptane ludźmi jezdnemi i przechodniami, z trudnością ominąć kałuże i kupy dozwalały. Domy otaczające ulice Niemiecką, także Jatkową i Szklanną, gdzie Żydzi najwięcéj mieli sklepów i w największéj liczbie mieszkali, były wysokie, czarne, brudne, często z zwieszonemi nad ulicą gankami i galerjami, na których wisiały długie rzędy bielizny mokréj, z których nielitościwie lały się na głowy przechodniów smrodliwe pomyje. Jak noc i zmierzch, nikt się tędy nie ważył iść sam jeden, każdy omijał zaułki ciemne, a mianowicie uliczki Żydami zarosłe.

Idąc od Ratusza ku Zamkowi, inny wcale był pozór miasta; i tu się świeciły, pałace obok kletek drewnianych, kościoły, cerkwie, karczmy i gospody. W ogólności czyściéj tu było i mniéj żydostwa się plątało. Tędy wlokły się ciężkie karoce i kolasy, biegali jezdni, dworzanie panów, jurgieltnicy i komornicy możnych, tędy przechodzili duchowni, któ-

rych nieraz wśród ulicy znieważał zapalony gniewem różnowierca. Tu na prawo był wielki pałac Xiążąt Ostrogskich, Chodkiewiczowski nowo restaurujący się, w czworogran zbudowany, jak wszystkie prawie ówczesne pałace, dwóma bramami otwierający się na dwie równoległe ulice. Niedaleko i w tym samym rzędzie stała cerkiew dawna Bogarodzicy, zdająca się grozić upadkiem; żółte jéj mury pokréślił czas i powalała błotem ręka nieprzyjaźnego ludu. Daléj szérzéj rozchodziła się ulica, aż do miejsca, gdzie na lewo pałac Radziwiłłowski i kościoł nowy Jezuitów się wznosiły. Ztąd ku Zamkowi postępując, małe domki kapitulnéj juryzdyki dziś nieporządne i brudne otaczały z obu stron ulicę. Czuć tu już było sąsiedztwo Zamku, po wrzawie i tłumie ludu ściskającego się w bramie Zamkowéj. Na prawo warczały i turkotały młyny królewskie, na lewo siedzieli przekupnie, przedający żywność mimo zakazów, pod samą bramą Zamkową. Tę przeszedłszy dawały się widzieć obszerne mury Zamku dolnego. Był to gmach ogromny, lecz niepię-

kny wcale; znać było po nim, że go budowały nie jedne ręce i nie jeden rok, że się złożył z Augustowych kamieni i szwedzkich Zygmunta marmurów. Dzielił się na trzy dziedzińce obszerne, całe otoczone murowanemi domostwy, do których przytykał z ogromnym wyniosłym dachem i wieżami kościoł katedralny, Zamkowy św. Stanisława, na lewo. Blizko niego oparte były puszkarnie i drobne domki puszkarzy. Tu były turmy, tu zasiadał Pan Podwojewodzi, dziedzic Zamku po Auguście! tu stolica juryzdyki Zamkowéj Wojewodzińskiéj. Po nad mury Zamkowe dolnego, na górze widać było wznoszące się gruzy okopciałe i zwaliska kościoła Św. Marcina i wieżyce Zamku górnego, dobrze nadwerężonego laty. Daléj jeszcze sterczały trzy krzyże na górze, biała wieżyca Bekieszowéj mogiły, przypominająca grób wygnańca, który na żadnym smętarzu nie znalazł przytułku, i sam jeden z Wadaszem Panończykiem spał na wysokiéj górze. Od strony rzeki nad Zamkiem wznosiła się wieżyca zwana latarnią. Tędy szła droga na Antokolskie przedmieście.

Zamek niemieszkalny i prawie pusty zajmował Podwojewodzi, w części więźniowie, w części składy. Mniejszy tu był ruch i życie, bo nikt w zamku nie mieszkał od czasów Augustowskich, kiedy te mury były tak ożywione, tak świeże i wesołością tchnące! Jednakże zaludniało zamkową ulicę sąsiedztwo kościoła najbardziéj uczęszczanego i piérwszego w Wilnie, którego czarne dachy panowały nad Zamczyskiem, najeżone krzyżami.

Ulica idąca od Jezuickiego Collegium, zwana S. Duska, wiodąca do Bramy Trockiéj, mieściła liczne pałace możnych, od których nazwana została Senatorską. Na prawo nieco odległe wznosił się w sadzie pałac Biskupi, nieopodal od Jezuickich murów, a za nim kaplica S. Krzyża. Daléj kościoł S. Ducha, a koło drzwi jego stały budki ubogich żebraków. Na przeciw nich był szpital S. Trójcy i pałac Sapieżyński széroko się rozciągający. Daléj jeszcze inne pałace ciągnęły się, a pominąwszy rozchodzące się w dwie strony i przecinające Senatorskę, ulice Niemiecką i Wileńską, spotykałeś Kościoł P.

Marji na piaskach, z obszernym klasztorem, za któremi w głębi była Brama Trocka. W niéj siedzieli pobierający opłaty pachołkowie miejscy, często kłócący się, czasem aż do bójki z przyjeżdżającemi dopuszczający się. Wszystkich niemal bram jedna była powierzchowność, osadzone wieżyczkami, z mieszkaniem o kilku oknach na górze, zamykane wrotami mocnemi, nabijanemi gwoździami, zaciągane czasem łańcuchami, jak i Most Zielony.

Ku Zielonemu Mostowi ścisk i ciżba znowu były większe niż w mieście samém. Tędy bowiem szli żydzi na swoje mogiłki, tędy wwożono zboże, siano, drzewo, i t. p. od których pobieranie opłaty były powodem żwawych czasem sporów. Tędy szumnie wjeżdżała szlachta, pilnując aby się nie opłacać na moście i celnikom grożąc miną i brzęczącą szablą. Nacisk z téj strony był większy, a ciasny most, kryty z wierzchu i osadzony w środku trawnikami, ledwie wystarczył przechodniom jezdnym i pieszym. Na noc zaciągano łańcuchy. Obok mostu przewozili się niekiedy

ludzie łódkami dla wyłamania od opłaty; na nich mianowicie spostrzegałeś Żydów przewożących się z ciałami nieboszczyków na okopisko.

Tak wyglądały różne części tego miasta, w którém odbyć się ma większa część wypadków naszéj powieści. Powiedzieliśmy już że wszystka fizjonomja nawet miasta, okazywała odbywającą się w niém walkę — Stały bowiem obok Kościoły i Cerkwie, Kościoły i Meczety, Zbory i Bożnice, klatki i pałace. Żydzi mięszali się z Litwą, Litwa z Rusią, szlachta z mieszczany, duchowni i różnowiercy, Tatarzy i xięża, kupcy i panowie. — Jakże się mieli pogodzić, jak się nie było kłócić?

Nie opisaliśmy niektórych części miasta, już to, że lepiéj odmalujem je w ciągu naszéj powieści, już że w nich nic wyraźniéj odznaczającego się nie było. Wspomnim tylko jeszcze o przedmieściu Antokolskiém, po za Zamkami rozciągającym się, niebardzo wówczas zaludnioném i zabudowaném, które na prawo zdobił pałacyk Wierszupski i grodzony Zwierzyniec, na lewo kilka pałacyków.

W głębi ukazywał się drewniany kościołek S. Piotra, któren tylko krzyżykiem od domostw się odznaczał, a raczéj szopą był niż kościołem. Stał on na miejscu dzisiejszego, w cieniu ogromnych lip starych. Po za nim bielał wielki pałac Pacowski, a daléj jeszcze wspaniałe budowy Sapieżyńskie z ogrodami i znaczną liczbą drobnych domków dokoła. To przedmieście było podobno najmniéj ruchliwe, najspokojniejsze. Natomiast od strony Trockiéj Bramy, od Końskiego Targu krzyku i wrzawy najwięcéj, równie jak przy Rudnickich Wrotach i Zielonym Moście. Ku Ostremu końcowi na gościńcu od Lidy, Miednickim zwanym, nie tyle już było życia. W téj stronie mieszkała największa liczba Rusi, łatwo dającéj się rozpoznać po narodowym stroju; tu snuli się brodaci Mnisi i Czerncy, Kupcy z Moskwy i Tweru. Dom ich gościnny wspomniony już, stał jakby na straży, w bliskości dwóch najcelniejszych Cerkwi i Monastérów. — W głębi miasta, po ciasnych zaułkach, niechlujstwo na wielkich ulicach niebezprzykładne, jeszcze by-

ło w wyższym stopniu. Tam zaledwie przejść, przecisnąć się, przejechać było można, za kupami gnojów i smieci, zawalającemi obie strony wrót każdéj kamienicy; ostróżność kazała oglądać się przechodniowi na galerje otaczających domów, z których nieczyste tam i sam spływały potoki. W tych uliczkach sciskała się najuboższa część ludności, już w starych murowanych domach, już w klétkach drewnianych często podpierających się pod najwspanialsze gmachy. Tu widać było nędzarzy z Bractwa Miłosierdzia, włoczęgów, łazuków, filutów, hultajów, w dziwnych ubiorach, z dziwnemi twarzami różnych krajów, tu przelatywały odarte kobiéty, nie wahające się drwić z przechodniów lub łajać ich. Tu noc bywała świadkiem scen złodziejskich i mordów potajemnych. Tu kryła się zbrodnia, rozpusta; ubóstwo i nędza często przyczyna rozpusty i zbrodni.

Na wszystkich ulicach obok rozsypanych gęsto Kramów, pod bokiem pałaców i kościołów, otwierały się drzwi wiechą nacechowanych gospód i szynków. Wszędzie ich by-

ło pełno, a łatwo je było poznać, po otaczającym drzwi tłumie, po wywieszonych w oknie miarach, po wystawionych rumianych obwarzankach i białym chlebie. U wrót porządniejszych gospód uwijali się jezdni, podróżni z końmi w ręku, szlachta drobna. Panowie rzadko lub nigdy nie zajeżdżali do gospód, mając lub swoje własne po miastach pałace, albo zawsze otwarte gościnie wrota swych powinowatych i przyjaciół. Szynki drobniejsze, z których na ulicę buchały krzyki i swary z głosem skrzypiec piszczącym lub przechodniego Tatarzyna, spiewem kobzy piskliwym — były ulubioném miejscem schadzki najniższéj klassy pospólstwa. Niektóre z nich utrzymywali żydzi. Szynkowano w nich piwo i wódkę, miód w niektórych tylko. Jedna z najporządniejszych była gospoda Posłów Moskiewskich gdzie i szynk był miejski, a gdy posłów nie było, stawali tu i sami podróżni. Inne gospody różnemi znakami odróżniały się, nazwiskami gospodarzy, różnobarwnemi wiechy i wizerunkami po okiennicach. Rozsypane były po całém mieście,

ku wygodzie podróżnych. Najpospolitszym znakiem wszelakiéj karczmy, szynku i gospody, bywała wiecha zielonéj sosniny, powiewająca na dachu lub we drzwiach. W gospodach były garkuchnie, były i osobno na ulicy Skopowéj i innych, lepsze i gorsze, pospolicie jednak ubodzy tylko w nich jedli, szlachta cokolwiek zamożniejsza, w owym wieku powszechnej gościnności, nie trudziła się stołem, któren był dla niéj w każdym domu znajomym zawsze nakryty. Miejscami schadzki publicznéj były także łaźnie, najporządniejszą z nich utrzymywało miasto. Przedawano w łaźniach trunki; tuż mieszkiwał balwierz, w którego oknie błyszczały talerzyki mosiężne. — Do niego schodzono się na gawędki, golenie głowy i bród.

Rzemieślnicy i inni, wywieszali miasto znaków, narzędzia swojego rzemiosła lub wyroby, krawiec nożyce, szewc bóty, stolarz trumnę maleńką i t. p. Szynki i wiechy najgęstsze były w miescie, i co dwa domy prawie natrafiało się na zieloną gałąź. Mniéj

ujż było daleko winiarni, przeznaczonych zamożniejszym.

Na przedmieściach po za murami, rzadko pokazywał się porządniejszy, lepiéj ubrany mieszczanin, przechodzień — tam mieszkało ubóstwo w chałupach w ziemię zapadłych, z których połowę zajmowało bydło — połowę kopcił dym czarny. Ztąd to wychodziły kobiéty odarte, mężczyzni w czarnych i szarych sukmanach z siekierą lub piłą na plecach; Ztąd na miasto co rana roznosiły mléczarki nabiał wszelaki. Tu mieszkały ubogie przekupki. Ulice, przedmieść zalegały stada bydląt i świń. — Pomiędzy chatami tam i sam rozciągały się sady i ogrody warzywne zasilające miasto, uprawiane przez ubogich Tatar po większéj części, z przedmieść Wilna i Trok, opatrujących miasto w owoce i warzywa. — Lecz dość opisu, a czas podobno zacząć powieść naszą.

II.

W kamienicy Starosty Żmudzkiego.

II.

W kamienicy Starosty Żmudzkiego.

Był to wieczór, ostatnich dni roku 1599. Śnieg pokrył białym płaszczem zimy dachy kościołów i domostw Wilna, popruszył ulice, środkiem których tylko niezmar-

złe jeszcze czerniały drogi błota. Godzina gaszenia ognia wybiła i wydzwoniona była z ratusza, Pachołkowie i nocni stróże wybierali się przebiegać ulice, a jeszcze ognie błyskały prawie we wszystkich oknach kamienic i pałaców, szynki stały otworem i wrzawą pijacką odzywały się; mnóstwo ludzi włóczyło się po ulicach, gwar i życie były w mieście. Jednakże kramy pod Ratuszem, jatki i klatki dawno były zamknięte, z łokciów przechodzili się rzemieślnicy i przekupnie, targi ustały. Lud bawił się w szynkach, a panowie po pałacach, w spokojnych domach mieszczan swobodną wiedli gawędę przerywaną tylko milczeniem, gdy uderzenie do wrót kamienicy zapowiadać się zdawało stanowniczego, napadającego tak często domy mieszczan i rugującego gospodarzy dla posłów, urzędników i posłańców. Po klasztorach w chórach tylko słychać było śpiéwy wieczorne. W ulicach przechodnie rzadnieli co chwila, głosy cichły, po jednemu zamykały się szynki, garkuchnie, łaźnie, gasły światła, ruch ustawał, miasto zamykało oczy błyszczące i na sen się kładło.

W bramach miejskich zaciągano łańcuchy, zamykano ogromne wrota, stawała straż nocna. Pachołkowie obchodzili z hallebardami ulice śpiewając piosnkę znajomą odwieczną:

Mospanie gospodarzu
Siódma na półzegarzu,
Strzeżcie ognia i złodzieja!

Właśnie też złodziejska poczynała się godzina i z szynków podejrzanych blizko złodziejskiego rynku wymykali się przez brudne domostwa, przemyślni oszuści, z kutemi maczugami, nasiekanemi kijami, czatując na obłąkanych po zaułkach przechodniów.

Śnieg pruszył a xiężyc wschodził. Na ulicach mimo spóźnionéj dość godziny, nie było ciemno jeszcze.

W ulicy wielkiéj, Chodkiewiczowski pałac stał ciemny, w jedném tylko okienku odtyłu, paliła się świéca żółta, któréj blask przez szklanne w ołów oprawne błony wypadał na ulicę, wrota pałacu jak i wszystkich przedniejszych domostw były już dawno pozamykane na kłódki i poprzecznemi okutemi drą-

gami zaparte. Była godzina ósma, gdy na ulicy dał się słyszeć tentent kilku koni i do wrót głównych od wielkiéj zapukano. Wrota były zaparte, furtka obok nich w grubym murze wybita, także. Kilku jezdnych okrytych płaszczami stali u wrót, a jeden zsiadłszy z konia, uparcie wołał i stukał do bramy.

— Jest tam kto? hej! Odźwierny! Wrotny! Czyście pomarli? Héj! Ozwij się tam który — héj! Słyszycie! Czy się tak wcześnie pospali, czy po szynkach piją. Sam tu wrótny!

Kilka głów pokazały się z okien przeciwległego domu przez błony i znikły; a z pałacu nic się nie ozwało, nikt znaku życia nie dał.

— Trzeba, rzekł jeden z przybyłych, obejść chyba pałac i do drugich wrót szturmować, może z tamtéj strony nie śpi kto jeszcze — Dajcie pokój stukaniu!

Po tych słowach ruszyli się mijając starą cerkiew Bogarodzicy, zwrócili w prawo na placyk i puścili się ciasną uliczką w prawo, zajeżdżając przed drugie wrota pałacu. Tu zaraz obaczyli światło w oknie, i ten sam, któ-

ry do wrót z przeciwnéj strony pukał, jął się i tu dobijać. W oświéconém oknie ukazał się cień człowieka patrzącego w ulicę, a głos dał się słyszéć.

— A kto tam?

— A kto! A kto! Godzina jak szturmujemy. Toż swoi jesteśmy. Pan Barberjusz i my słudzy Jegomości przybywamy tu za jego rozkazem.

Z okna znikł cień i słychać było dobréj nadziei gwar w środku pałacu; po czém odsumiono rygle, otworzono kłódki, ukazało się świiatło we wrótach przez szczeliny i podwoje ciężko skrzypły na zawiasach. Jezdni w dziedziniec się schronili, a wrota znowu jak wpirzód zaparto za niémi.

Jan Karol Starosta Żmudzki właściciel pałacu nie znajdował się pod ów czas w domu, co i po cichości, a wyludnieniu jego, łatwo poznać było można. Z jego ręki przysłany, przybywał tu Barberjusz, to jest Wilhellm Barbier Francuz inżynjer, spolaczały cudzoziemiec. Z nim było kilkunastu dworzan Pana Starosty i kilku młodéj szlachty, zosta-

jących na dworze Chodkiewiczów, do ich familji zdawna przywiązanych. Z cichego jednak obejścia przyjezdnych widocznem było, że ktoś ze znakomitszych w pałacu mieszkał, choć nie sam Jan Karol. Zsiedli z koni przybyli, oddali je hajdukom i masztalerzom, a kazawszy pozdejmować tłumoczki, udali się za dozórcą pałacowym, który zszedł był z pękiem kluczów na spotkanie, a teraz prowadził ich po wschodach stromych do mieszkania im wyznaczonego na górze.

Przed niémi niosł w latarni świecę młody chłopak posługacz, za którym ciężko stąpając siwy Pan Dozorca postępował, a za nim dopiéro Pan Barberjusz i inni przyjezdni drapali się na górę.

— Czyż tu moja kwatera? spytał wreście znużony długą podróżą Francuz nieco z cudzoziemska. Tak wysoko? Dozórca obrucił się i do lisem obszytéj czapki przyłożywszy rękę, odpowiedział:

— Innego niéma, wszystkie zajęte, zamówione lub założone bronią i amunicją, albo dla przyjaciół P. Starosty pozapisywane, te

tylko wolne dla WMości, i rozumiem, że dobrze mu będzie, bo z niego cały pałac z góry widzieć można.

Stanęli wreście u drzwiczek wiodących do mieszkania, z galerji otaczającéj wystawkę piątrową, która na lewém skrzydle pałacu, jak wieżyczka lub latarnia wystawała. Tu jął do zamka probować kluczy Dozorca i wreście kute dębowe drzwi otworzył, przez które naprzód wszedł z latarnią chłopiec.

Podróżni wcisnęli się do izby piérwszéj, za którą widać było drugą i trzecią, równie jak ta ciasne i nagie. Gołe ściany białe, dokoła dębowe ławy, stoły w pośrodku, jeden piiec na trzy komnatki, obszerny komin z wysoką czapką, okna w błonach ołowianych — oto wszystko, co tam znaleźli. Podłoga była z cegły. Chłód dojmował w izbach dawno nieopalanych i zamkniętych.

— Chyba nas chcesz pomrozić panie Burczak; na Boga! rzekł Francuz, ja tu nie wytrzymam nietylko nocy, ale godziny, wolę szukać gospody.

— Kiedy mówię, odpowiedział Dozorca za-

bierając się do wyjścia, że innego mieszkania niéma w całym pałacu.

— Ależ, rzekł Barberjusz, toć gdziekolwiek jest jedna choćby izba ciepła, w któréj przenocujem nim się ta ogrzeje.

— Chyba pójdziecie się ogrzać do mnie, rzekł P. Burczak, a ja tym czasem każę tu ognia zapalić i znieść wasze tłumoczki, którym zimno nie zaszkodzi.

— Najchętniéj Panie pójdziemy, rzekł drugi młodszy, bośmy djabelnie przeziębli, a do tego i głodni, tu zaś mimo głodu opętanego nie ukąsim nic, chybabyśmy ławy i stoły pozjadać chcieli.

— No! no! chodźcież WMość ze mną.

— Nigdy się człek wyspać nie może, gderał schodząc nazad Dozorca dawszy rozkazy służbie, nigdy się wyspać na tym przeklętym obowiązku, nigdy pokoju. Czy noc czy dzień, biegaj z kluczami od wrót do wrót, od izby do izby. Temu drew, temu jadła, temu ławki, temu stoła. To trzeba na starość głowę stracić.

— Aleć niedarmo Pan Starosta, ozwał

się któryś z młodszych, obrał Jegomości na ten obowiązek, znacieście go spełniać najzdolniejsi, choć i trudny i nudny. A u Panów naszych zasługa niestracona.

— Łaska pańska na pstrym koniu jeździ, odpowiedział Burczak wlokąc się po wschodach, po których w ciemności podskakiwali potykając się podróżni. Ot siwe już włosy, a jeszcze klucze noszę i jak wrótny pracuję. Jeszcze u stryja Pana Starosty miałem zasługi, a wszystko czém było, tém i jestem. Oj życie, Mosanie, życie!

— Cóż chcecie, rzekł jeden, każdy ma swego mola co go gryzie.

— I dalipan nie każdy, odmruknął Burczak prowadząc ciągle podróżnych. A ci panowie nasi, jak i Pan Starosta nie przymierzając, to sobie sami tych molów naprowadzają. Ot i teraz! Tać to jak do wojny idzie!

— Niechybnie do wojny — rzekł P. Barberjusz.

— No! a na co to wszystko?

— Co tam nam w to wchodzić Panie Burczak!

Dozorca umilkł, a tym czasem zeszli w podwórzec znowu i on powiódł ich ścieżką ku galerji drugiéj, a galerją ku swojéj izbie, w któréj widzieliśmy światło, widne z okna od ulicy. Tu wszedłszy uczuli podróżni nasi ciepło i rozbierać się poczęli. Izba P. Dozorcy niedaleko wrót od Sawiczéj ulicy położona, była wielka, z oknami na tyły dającemi; wielka bo części w niéj goście konieczną czynili obszerność. Sklepiona była, nie wysoka. Jedno okno z niéj wychodziło w ulicę, drugie z boku, mimo prawa w cudzy podwórzec. Było wprawdzie mniejsze, kraciastsze, ale zawsze w cudzą kamienicę patrzało. Milczał jednak sąsiad, dla tego zapewne, że wychodziło z pałacu Chodkiewiczowskiego. W kącie izby stało łóżko P. Burczaka, a raczéj tapczan, skórą tylko wyszarzaną niedzwiedzią pokryty, nad którym wisiał krucyfix w święcone zioła ubrany, gromnica żółta, wstążką związana, obrazek patrona jaskrawy, palma Kwietniowéj Niedzieli i szabla na kawałku makaty gwoździami przybitym połyskująca. Proste ławy otaczały izbę, pro-

sty stół dębowy stał w pośrodku, na nim kilka próżnych dzbanów i kubków cynowych. Na stoliku w ogromnym mosiężnym lichtarzu paliła się swieca żółta woskowa, w kominie dogorywał ogień czerwony.

Podróżni rzucili się ogrzewać, i opończe z siebie zwlekać zaczęli. P. Barberjusz czyli Guillaume Barbier na ich czele, był to mężczyzna wysoki, chudy, blady, cery żółtawéj, oczu, brwi i włosów ciemnych. Nosił długie włosów pukle, wąs dorodny i bródkę ostro zakończoną, która się kończyła na białéj krézie, podróżą zbrukanéj i zmiętéj. Strój jego nie był polski, miał kaftan sukienny, spodnie skórzane, bóty z ostrogami w pół łytki wywrócone, kapelusz z piórami, i rękawice łosiowe długie po łokieć prawie. Mina jego okazywała mężnego i mało o co dbającego wojaka, który wszystko wesoło znosi i z wszystkiego się śmieje, lubi winko, umizgi, pogadankę, a nie lęka się niebezpieczeństwa i nie zna namiętności głęboko ludziom dojmujących, wywracających życie z korzeniem. Zrzuciwszy płaszcz poszedł do komi-

na i zatarłszy ręce zaczął się grzać u węgli. sadzając nogi w żar prawie.

Dwaj jego towarzysze Polacy, byli to młodzi ludzie dobréj miny, oba ubrani w kuntusze i żupany, przy pałaszach, wygolone mieli czupryny, wąsy zawiesiste. Twarze ich mimo jednakiéj powierzchowności na oko, jednakiego, jeśli wolno powiedzieć, stroju, różnego wcale były wyrazu. Młodszego czoło było wysokie, oczy niebieskie, nos rzymski, wąs biały prawie, czupryna w górę, spójrzenie śmiałe, drwiące. Drugiego czoło nizkie, oko zapadłe i szare, nos niekształtny, usta szerokie, wargi grube, suknia na nim jak worek na kołku. Piérwszy zwał się Pan Sumiński, drugi P. Brożek. Oba byli dworzanami Pana Starosty i pomocnikami P. Barbier.

— A daszże nam co pić, albo i przekąsić? Rzekł Barberjusz do mruczącego zawsze P. Burczaka.

— O téj porze! A toż wszyscy śpią! Zkądże tu co WMości wziąść?

— Jużciż nie chcesz, żebym Panu Staroście

się skarżył, żeście mnie tu głodem morzyli, rzekł P. Barbier.

— A to do mnie nic nie należy, odpowiedział Burczak machając ręką, skarżcie WMość P. Marszałka Dworu, który już śpi na drugi bok, i pewnie się go nie dobudzicie, chyba jutro rano jak sam jeść zechce.

— Ależ panie dacie nam co jeść? spytał Sumiński grzecznie, musicie tu mieć zapasik w szafce?

— I nie wypiéram się, że mam i że dam, rzekł Burczak, ale jeśli dam, to nie z obowiązku uważajcie WMość, ale *proprio motu*, z łaski i dobréj woli.

— My, odpowiedział śmiejąc się Sumiński, jedną tylko mamy gębę i jeden żołądek każdy, a wszystko to nam jedno, czy one się napełnią z obowiązku, czy z łaski.

— Ale to post, Panowie.

— Cóż WMość masz w téj Almarji, spytał Barberjusz podkładając ogień.

— Co! Hm! troszkę smażonéj rybki w olcju, trochę grzaneczek z czosnkiem, dzbanusio piwka.

— No cóż robić, dobre i to—! odpowiedzieli podróżni. Jeśli wasza łaska dajcie nam tam co macie.

— I usiedli za stół, a P. Burczak z kluczami poszedł do szafy i wydobywać zaczął jadło, schowane na cynowych misach; które sam zastawiał przed przybyłemi.

Jakkolwiek mało to było, jedli jednak zapalczywie, bo byli głodni; i P. Burczak zabierał się im do piwa dopomódz, gdy w bramę stukać znowu zaczęto, a z podwórza dał się słyszéć głos.

— Hej! Jest tam kto! hej! otwierajcie! a otworzycie czy nie!

— A toż co znowu, krzyknął Dozorca biegąc do okna. Czy nasłanie jakie, czy już Radziwiłłowie szturm do nas przypuszczają. Któż to znowu.?— Wyjrzał i nic nie mówiąc, zbiegł po wschodach, a podróżni usłyszeli po chwili znowu skrzyp wrzeciądzów i tentniące kopyta w brukowanym dziedzińcu.

— Kto to być może? rzekł Barberjusz.

— Zapytamy się gdy powróci Dozorca. Gdy tych słów domawiają, otworzyły się drzwi

izby, i wszedł ktoś wysokiéj postawy, ze szpadą u boku, ubrany po prostu, podpasany pasem rzemiennym nabijanym srébrem, w bótach wywracanych, w płaszczu ciemnym, cały osypany śniegiem.

— Już, rzekł do niego Dozorca, żadnéj izby wolnéj niéma, chyba WMość staniecie z Panem Barberjuszem.

— Wszystko mi to jedno gdzie stanę, odpowiedział z cudzoziemska przyjezdny, przywykłem często stać na dworze!

Wlepili w niego oczy wszyscy wprzódy przybyli, a P. Barberjusz posunął się ku niemu.

— Jak się macie Panie Stanisławie! Cóż to? tak prędko z podróży!

— A to wy P. Barbier! miło mi was oglądać. Nie tak że to prędko.

— Cóż was tu sprowadza?

— Co? rozkaz Pana Starosty, który mnie wyprawił, a teraz nazad pozwał dla jakiéjś potrzeby.

— A! rzekł Barberjusz, rozumiem — Waść tu po to co i my. A dalekożeś był?

— Jużem był rozpoczął podróż po za granicą, dla widzenia celniéjszych fortec i twierdz, gdy niedaleko Wiednia Austrjackiego odebrałem list Pana Starosty przywołujący mnie tu znowu, i obiecujący, że gdy tylko potrzeba ona minie do któréj mnie wzywa, wysle mnie znowu. A kazał mi śpieszyć i śpieszyłem dobrze, prawie nie śpiąc i nie spoczywając.

— Więc obaśmy tu dla jednego, rzekł Barbier, pewnie tak!

— A cóż to jest P. Wilhelmie?

— Alboż nie wiész?

— Nic a nic? wojna jaka? wyprawa daleka! Nieprzyjaciel wkroczył?

— Najdziwniéjsza rzecz jak być może—Ale nie teraz czas i miejsce opowiadać ci, o co idzie—Siadaj no i jedz tym czasem.

Zaproszony bez ceremonji siadł do stołu.

W milczeniu posilali się podróżni, Pan Burczak tym czasem chodził mrucząc po izbie i porządkując niby rozrzucone sprzęty. Po chwili którą zajął brzęk noży i mis, ozwał się piérwszy Pan Stanisław do Barberjusza.

— Ciekawość piecze mnie jak ogień, powiedzcież mi z łaski swéj kiedy wiecie, po co tu mnie wezwano; bo zaiste ze wszystkiego miarkuję, że to cóś ważnego być musi.

— Ważnego i bardzo, odpowiedział Francuz. Ale o tém jakbyśmy zaczęli prawić, tobyśmy i do jutra nie skończyli, a noc już późna. Jednakże sądzę żeście i po drodze słyszéć coś o tém musieli. Nie już ci nic a nic w uszy nie wpadło?

— Ale to właśnie, jak mówicie; nic a nic, odpowiedział Stanisław żwawo. Wiadomo Waszmości, że Pan Starosta mój łaskawy opiekun, chcąc mnie na ludzi wyprowadzić, wysłał mnie swoim kosztem za granicę, abym się po krajach i dworach cudzoziemskich sztuki wojennéj wyuczał i świata zobaczył. Wyjechałem więc, aliści niespodzianie odbiéram wezwanie, ażebym nazad śpieszył, a resztę podróży do dalszego czasu odłożył, gdyż jestem doma potrzebny. Kazał mi jeszcze Pan Starosta starać się ludzi, werbować po drodze w służbę wojenną. Z niemałym żalem rozstałem się z podróżą, i zwinąwszy tłumoczki,

nazad do kraju pośpieszyłem. W liście swym P. Starosta śpieszyć mi kazał, i tak też pędziłem, żem po drodze nikogo nie miał czasu wypytywać i nic się nie dowiedziałem. Widzę jednak ze wszystkiego, że czy nie druga wołoska wyprawa się sposobi.

— A gdzie zaś wołoska! odpowiedział Barberjusz, gorzéj niż to, dziwniéj, więcéj, bo wojna domowa!

— No! a z kimże? w Inflanciech?

— W Inflanciech! Nic by to jeszcze nie było, rzekł znowu Barberjusz, ale mówię WMości, że wojna domowa. Poczekaj że; opowiem ja ci to wszystko, czegom świadom, bo widzę że WMość jesteś, mówiąc po waszemu, jak w rogu i nic nie wiész co się dzieje. Lecz przecieżeś wprzód w kraju siedział?

— Pókim był w kraju, obce sprawy nic mnie nie zajmowały, rzekł P. Stanisław. I nic dziw: siedziałem na Jezuickich ławach, słuchając Matheseos, Retoryki i Filozofji, potém się tułał po obozach; kędy gdzie strzelano, tam i ja prochu wąchał, a co ludzie gadali mimo uszu puszczałem.

— Trzeba tedy WMości *ab ovo* rzecz całą opowiedzieć, rzekł kiwając głową Barberjusz. Ale widzę że P. Burczak oczy klei, czas by nam do swojéj izby. Pójdź no zobacz Panie Brożek co się tam dzieje.

P. Brożek zerwał się od dzbanka z którego męty i ostatki piwa zcedzał i poszedł obaczyć. Tym czasem Burczak pozabiérał misy, dzban i kubki, w szafie je poustawiał i dobywszy rożańca, zabiérał się modlić.

— Wyraźnie nas WMość wypraszasz, rzekł do niego Barberjusz.

— Boć i dawno czas już spać, rzekł stary.

Wtém wszedł Brożek i machnął ręką.

— Ani myśléć tam iść, rzekł prędko, kaci wiedzą po co; rozpalili ognia w piecu stróże i swąd zabijacki wziął się w izbach, żeby tam i koń nietylko człowiek nie wytrzymał. Nawet służba się na wschody obozować wyniosła.

— A cóż będzie? gdzie będziemy spać? zawołał Barbier.

— Gdzie sobie chcecie! odpowiedział Burczak.

— Toż nas już ztąd nie wypędzisz? dodał znowu Francuz.

P. Burczak nic nie odpowiedział.

— Żebyśmy jeszcze mieli choć dzban albo flachę wina, lub miodu Kowieńskiego, starego wreście, to by się jakoś ta noc przebyła, rzekł Francuz, ale taka już pożna noc, a jeszcze taka długa!

— Niech Jegomość Pana Burczaka poprosi, rzekł zcicha Brożek przysuwając się do ucha, żeby nam bramę otworzył. Wiém ja tu, bom swojak, gdzie niedaleko wino przedają, to pójdę ze dzbanem.

— Ależ dawno już być muszą pozamykane gospody i szynki.

— Nic to, otworzą mi oni, pewnie jeszcze nie śpią, rzekł Brożek, bo choć z Ratusza wydzwonią gaszenie ogniów, toć przecie wszędy się ognie palą.

— Jeszcze kto WMości obedrze na ulicy, pełno o téj porze hultajów się włóczy.

— O! nie bójcie się WMość, a tylko poproście P. Burczaka i zaproście go na wino.

Niech mi bramę otworzy, a ja dalipan wina znajdę.

— Wiecie co P. Burczak, ozwał się głośniéj Barbier, pokazuje się że my tu nie będziemy mieli ani gdzie, ani jak zasnąć, a wypadnie całą noc przesiedzieć. Pozwólcie niechaj Brożek pójdzie nam dzban wina przyniesie, to się z nami pospołu napijecie. Tylko mu dajcie klucza od bramy.

— Co? co? spytał stary — wina przyniesie?

— Przyniesie, powtórzył Barbier.

— A zkądże on go weźmie o téj porze?

— Spuśćcie się WMość na mnie, rzekł Brożek, natoczę pewnie najlepszego, od Malchera, z pod wiechy.

— U Malchera wcześnie zamykają.

— Już ja sobie otworzę, a WMość tylko daj mi od bramy klucza.

Stary poszukał na stoliku i wybrał jeden klucz z pęka, któren odwiązał z rzemyka.

— Idźże Waszmość, rzekł, na wrota od Zamkowéj ulicy, jest tam na lewo furtka podle Bramy, naprzeciw sklepu Malchera, to

tylko przeskoczycie ulicę i będziecie pod progiem. A tylko proszęż was, zamykajcie za sobą, bo by się tu jeszcze kto wkradł, i na mnie by biéda była.

— Bądźcie WMość zupełnie spokojni, rzekł Brożek. Dajcież mi pieniędzy Półkowniku, odezwał się do Barberjusza, a WMość dzbanka pożyczcie, P. Burczak. To mówiąc poły pozakładał za pas, czapkę nasunął na uszy i skinieniem głowy pozdrowiwszy Sumińskiego, drzwi za sobą zatrzasnął.

III.

Dzban Wina.

III.

Dzban Wina.

— Dawnożem już po nocy ulic Wileńskich nie widział, rzekł do siebie wychodząc i po wschodach się tocząc w dziedziniec P. Brożek, aleć i niewiele ich

zobaczę, jeśli tylko do Malchera pójdę co przez ulicę mieszka! Dobre i to.

Znalazł się w dziedzińcu, a przeszedłszy go w szérz do bramy w zagłębieniu muru od ulicy Wielkiéj umieszczonéj, namacał po ciemku furtkę, odrzucił zaporę poprzeczną i sprobował klucza do zamka, który mu zaraz przyszedł, po czém wycisnąwszy się na ulicę, drzwi za sobą zatrzasnął, a sprobowawszy ich jeszcze, obejrzał się dopiéro na okna P. Malchera, tuż naprzeciw będące.

— Cóż za licho! wszakci ciemno u niego rzekł nie widząc światła, czyby się odzwyczaił pijaków długo w noc utrzymywać? Ale nie! To oni dla przyzwoitości od tyłu siedzieć muszą—Tak mówiąc skoczył do wrót kamienicy; przyłożył ucha i stuknął nogą raz, drugi i trzeci.

— Hej! hej! jest tam kto otwórzcie!

Ale nikt nie odpowiedział.

— Muszą odprawiać adwentowe rekollekcje, pomyślał sobie, ale przecież się ich dobudzę. I jął znowu stukać i znowu naprożno.

— A to coś osobliwszego, rzekł po chwilce, na licha osobliwszego! nu! nu!

W tém szelesnęło coś podle niego; P. Brożek który się był cały w bramę wcisnął, odwrócił się.

Po za nim stali dwaj jacyś ludzie i patrzali na niego szepcąc—dostrzegł ich łatwo Brożek i zaraz odwróciwszy się nie tracąc fantazji, rzekł.

— Ho! JMość Panowie! czy nie moglibyście mi powiedzieć, co się Malcherowi stało, że się go dobudzić nie można?

Ichmość nic nie odpowiedzieli, lecz znowu szeptali między sobą.

Mając na nich jakieś podejrzenie P. Brożek, że go chcą obedrzeć, nie sądził rozumném dłużéj do wrót stukać, żeby go z tyłu nie pochwycili, odszedł więc od bramy i poszedł daléj, z nienacka oglądając się po za siebie. Ci dwaj, których widział wprzód, zdaleka i powolnie pociągnęli się za nim. To go zastanowiło, ale jeszcze nie stracił odwagi i śmiało posunął się ulicą ku Ratuszowi, gdzie się spo-

dziewał łatwiéj dostukać pod jaką wiechę i wina kupić.

Ulice puste już były, śnieg pruszył i stróże tylko nocni wołali zdaleka, a gdzieś w oddaleniu dzwonki chorów klasztornych cicho brzęczały. Nikogo dokoła, nigdzie światła w oknach.

— Musi to być poźniéj, aniżeli mi się zdawało, rzekł P. Brożek w sobie—ale mniéjsza o to, taki też nie powrócę z próżnemi rękoma.

To mówiąc zawrócił się w prawo ku Piacionce i obejrzawszy się w górę na kamienicę, któréj facjata wychyłona na rynek z gankiem, powiewała wiechą opruszoną śniegiem, pośpieszył do wrót. Nad spodzianie usłyszał tu głośne rozmowy pijackiéj biesiady, znajomy sobie głos, brzękanie kubkami, dzwonienie szklanek.

— Dobra nasza! rzekł, a tuć albo nigdzie wina dostanę!

To mówiąc stuknął we wrota raz i drugi wołając.

— Poczciwi ludzie, otwórzcie mi tam proszę.

Tylko co tych słów domawiał, aliści znowu postrzegł za sobą owych dwóch, niedaleko stojących, jakby czatowali na co.

— I Ichmość do gospody? spytał kłaniając się im trochę.

Jeden z nich odpowiedział.

— I my? a WMość tu po co?

— Chcę sobie wińska dostać—odpowiedział Brożek.

— Nie dostukasz się, rzekł drugi zbliżając się nieco, chyba my ci pomożem.

— Dam ja i sam rady, odpowiedział Brożek.

— O nie! mówił dalej ten co wprzód nieznajomy. Teraz byś i do dnia stukał, nikt ci nie otworzy, ale poczekaj no, niech no ja ci pomogę.

To mówiąc obcy poszedł minąwszy wrota do okiennicy, przez której szczeliny świeciło się, i wsunąwszy rękę w wycięte serce w pośrodku, trzy razy w szybę zapukał.

— A kto tam, zapytał głos ze środka.

— Swój, od Kardynalji—otwórzcie z ulicy.

— Zaraz—I słychać było chodzenie, stąpa-

nic, brzęk kluczów, aż wreście podniesiono drąga, furtka się uchyliła i wszedł P. Brożek naprzód dziękując wielce nieznajomym, za nim owi dwaj się zaraz wsunęli.

— Niechże WMościom za tę usługę podziękuję, rzekł, bo widzę żebym był darmo zbiegał całe miasto i zębami dzwonił pod wrotami.

— Niéma za co dziękować, odrzekł krótko jeden z nich.

Na lewo od wrót w murze grubym otwarły się drzwiczki, buchnęło z nich światło i ciepłe powietrze przesycone trunkami i jadłem. P. Brożek wszedł do sklepionéj długiéj a wązkiéj izby, przez którą był stół bejcowany na czerwono, ostawiony ławami, zakryty obruskiem grubym a poplamionym. W pośrodku stoła paliły się świéce w ciężkich mosiężnych lichtarzach przygasające. Na obrusie walały się okruchy kości, chleba, jadła wszelakiego, stały jeszcze cynowe miski próżne, dzbanki polewane i kubki cynowe i szklanne. Za stołem siedziało dwóch tylko, ale tęgo pijanych, ludzi podżyłych, którzy przez stół do siebie się pochyliwszy trącali kubkami wołając:

— Przezdrowie Waszecine! i Waścinéj żony Pani Katryny i Waścinéj godnéj dziéwki Nastazji i Waścinego domku całego. Co daj Boże!

Byli to mieszczanie w różowych humorach.

Od ulicy, u okna, przy stoliczku spał oparty jeszcze jeden pijak, z czapką na uszach, którego tylko z pod ręki, na któréj się opiérał, długie konopiato-szafraniejące wąsy widać było. Ten który furtkę otwiérał gospodarz, był to człek krępy, rumiany, nizki, w pończochach wełnianych niebieskich, w szlafmycy na łbie łysym, w kaftanie wełnianym rozpuszczonym niedbale, z czerwoną twarzą i nosem jaśniejącym purpurowemi barwy. Była jeszcze jedna osoba w izbie, dziéwka brudna jak śmiecisko, stworzenie chude i brzydkie, wyżółkłe, odarte, rozespane, która wałęsając się od kąta do kąta, zbiérała miski, kubki, talérze, łyżki i wynosiła je do drugiéj izby mrucząc i ziéwając.

Ci dwaj, na których się zaraz, do światła dobrawszy, obejrzał P. Brożek, byli to ludzie gęstéj miny, uczciwie ubrani i nic wyglądający

wcale na takich, za jakich wziął ich po nocy, hultajów. To też Pan Brożek, nie w ciemię go bito, grzecznie się im i ludzko skłonił, mówiąc.

— Ale to tu garkuchnia widzę—to może ja sobie wińska nie dostanę.

— Wina nie dostanę! podchwycił gospodarz rękę z kluczami podnosząc, Wina nie dostanę! Otóż tobie masz! Alboż to Waszeć nie znasz garkuchni nowéj P. Stypejki, mieszczanina i kupca miasta Wileńskiego? Dostaniesz Waszmość choćby i najprzedniéjszego Kanaru! a wiele tam WMości dać?

— Ot, ten dzban. I to mówiąc P. Brożek wysunął z po za siebie dzbanisko dwugarncowe, na które głową kiwnął gospodarz.

— Chodźcie WMość za mną, rzekł, a macie czém zapłacić?

Brożek otworzył dłoń lewą i pokazał talar bity.

— Proszę za mną, dodał gospodarz — porwał lichtarz z przed pijaków i szasnął się jak opętany w głąb izby, ku drzwiom do komory wiodącym.

Poszedł za nim P. Brożek, a dwaj Ichmość zostali w pierwszéj izbie.

Gospodarz wwiódł go naprzód do ciemnéj komory, w któréj był niepospolity nieład, jak to widzieć było można przy blasku dogorywającéj u ściany świeczki. Stały tu balje, kociołki, beczki próżne, butle wielkie, misy, wisiały obrusy, walały się miotły, a na kupie bielizny i różnego rodzaju ruchomości, włócząca się tylko co sługa, zakrywszy twarz fartuchem, wyciągnięta, chrapała. Ztąd wyszli z gospodarzem do sionek.

Za pozwoleniem WMości, rzekł P. Stypejko, pójdę tylko wezmę klucze od piwnicy.

— Ale się WMość na miły Bóg nie baw, a mnie tu po ciemku nie zostawiaj.

— Ja WMości świécę porzucę, rzekł gospodarz, i pośpieszył na lewo do drzwi, które na wpół szklanne były i przez które widzieć było można, przy świetle wewnątrz palącéj się lampy przed obrazem N. Panny, porządniejszą izbę, a kotarę za firankami w kwiaty i różny sprzęt i ochędóstwo kobiéce, pozawieszane i porozrzucane w nieładzie.

Gdy drzwi otworzył gospodarz, słychać było chwilę gadanie, brzęk kluczy, potém wyszedł P. Stypejko wziąwszy już na się kubrak zielony i odebrawszy lichtarz z rąk P. Brożka, powiódł go korytarzem daléj w głąb, ku drzwiom piwnicznym.

Gdy P. Brożek czeka na wino, my powróćmy do piérwszéj izby, w któréj dwaj nieznajomi zostali.

Byli to, jakeśmy rzekli, ludzie młodzi uczciwie ubrani, i jak widać było po ruchu i minie, zapewne pana jakiegoś domownicy, dworzanie, bo jednostajną, ciemną mieli barwę, którą kryli dostatniemi opończami oba. Zdjęli oni czapki z głowy i usiedli pod oknami od ulicy, na ławce, przeciw śpiącego mieszczanina.

—No cóż myślisz, rzekł jeden, mamyż co przedsięwziąść?

— Śliska to rzecz, odpowiedział drugi, trzeba by się nad tém wprzód zastanowić.

—Ale póki my się zastanawiać będziem, tym czasem nam ten chłopiec ucieczе. No! jak ci się zdaje?

— On ma klucz od furtki, rzekł drugi, a nam by się on przydał. Wojewodzic dobrze by zapłacił zań, mybyśmy z nim do Chodkiewiczowskiéj kamienicy łatwiejszy przystęp mieli i kommunikację z pannami służebnemi xiężnéj młodéj, które choćby co i chciały dopomódz, to nie mogą, bo ich za się strzegą pilnie.

— Ale jakże tego klucza dostać, rzekł drugi.

— Jużciż, kończył tamten, ja nie mówię ani radzę, aby go gwałtem wydziérać, ale czy nie byłoby jakiego sposobu lekkiego na tego młokosa?

— Jakiegoż myślicie?

— Nie inny, tylko by go myślę dobrze spoić, rzekł piérwszy znowu, odkraść mu go i wycisnąć—Słyszałem, że tak kluczów dobiérają złodzieje.

— A śliczny by na nas pozór był — odpowiedział drugi; na Boga, a toć by to szubienicą pachło!

— A ktoby nam tego dowiódł? A potém, alboż my to dla złego robim?

— I klucz, jak myślę, nie na wiele by się co przydał, boć oni, jak wszędzie, drągiem jeszcze z tamtéj strony drzwi zakładają. Możeby się znalazł ktoby nam drąga otworzył, byle klucz od furtki był.

— Prawda i to.

— Obaczym no jak powróci ten młokos, czy go spoić można, możebyśmy się od niego dowiedzieli co jeszcze, Panie Adamie.

Gdy tych słów domawiają, wszedł do izby zachylając dzban połą Brożek, i miał się ku drzwiom drugim, gdy jeden z nieznajomych go zaczepił.

— WMość, jak widzę, niesiecie kędyś wino? a niechcieliżbyście skosztować go z nami kubeczek?

— Dziękuję WMościom za uczciwość, odpowiedział kłaniając się Brożek, któremu ślinka po brodzie ciekła na wspomnienie kubka; radbym z niemi pił, ale niemam czasu, bo tam na mnie w Chodkiewiczowskiéj kamienicy czekają.

— Co tam, chwilka, rzekł piérwszy gospodarzowi znak dając, aby przyniósł I my czasu

nie mamy także długo tu siedzieć, bośmy wysłani podobnie i powracać potrzeba, ale na ten chłód trudno żeby sobie człowiek choć kubeczkiem nie rozgrzał żołądka.

— No, no, jak już WMość chcecie, odpowiedział Brożek siadając, a dzban pod stołem stawiąc, to się i napijmy. Powiem P. Barberjuszowi, żem długo musiał się włóczyć, za nim wina dostałem—Niechże sobie czekają.

— Ale, rzekł po chwili, teraz WMościów lepiéj przy świetle widzę, aliście mnie tęgo przed Malcherem napędzili strachu; bałem się, by nie jacy, z przeproszeniem, hultaje, co ich o téj porze pełne ulice.

— To prawda że się teraz około północka, nie warto z domu wychylać, podchwycił drugi nieznajomy, ale rzadko się trafi, żeby na przedniejszéj ulicy kogo napadli z podle Ratusza, gdzie straż pilne ma oko—Prędzéj pałką w łeb dostanie na ubocznych zaułkach.

Wtém podał gospodarz flaszę i trzy kubki. Starszy nieznajomy przepił pełną do Brożka, który mu podobnież odpowiedział, a ociera jąc gęby, szepnął.

— Tęgie jakieś wińsko, boję się, żeby mi głowy nie zamęciło.

— Słabiuteńkie, jakem Stypejko! przerwał gospodarz, można go pić gdyby wodę! Tak to ono sobie piecze, ale to uczciwe żołądkowe, do głowy nie idzie.

— A no, na drugą nogę, rzekł nieznajomy i przepił.

P. Brożek mu znów odpowiedział.

— A no, do Trójcy, rzekł śmiejąc się drugi.

Na te słowa pobladł P. Brożek, jakby go węch heretyka zalecial i rzekł:

— Co to WMość o Trójcy Najświętszéj przy kubku spominacie, alboście to, z przeproszeniem, z konfederacji.

— Nie—nie—rzekł poglądając na towarzysza nieznajomy — nie—nie—Tak się to wyśliznęło z gorącości. Znacie WMość przysłowie. *Omne trinum perfectum.*

I przepili znowu do siebie, kłaniając się jeden drugiemu. Wtém zaczął starszy.

— Toście to WMość z Chodkiewiczowskiéj kamienicy?

— A tak, odpowiedział Brożek, przybyłem tu ono co dziś z P. Barberjuszem, który tu będzie fortecę w kamienicy robił, czy coś.

— Toż to po co? rzekł drugi.

— Kto to wie! mruczał Brożek, na kogo to się Pan Starosta gotuje.

Nieznajomi spójrzeli po sobie, Brożek obracał oczyma na wszystkie strony i przecierał je ręką, czując że mu wino po głowie chodzić zaczynało.

— Toście WMość dziś przybyli. Ale tam ktoś więcéj jeszcze pono?

— A! to P. Stanisław przybył z za granicy P. Barberjuszowi pomagać około téj roboty.

— Co to za Stanisław?

— Wychowanek P. Starosty, którego na wojaka sposobi, i posyłał go był uczyć się za granicę téj tam mądrości obozowéj.

Brożek mówił a czuł że go coś jakby siatką zawiesiło, i ująwszy za dzban stojący pod ławą, począł wstawać powoli.

— Trzeba mi powracać, boć się coś zdaje, jak gdybym się upił.

— Tak to się tylko zdaje, rzekł nieznajomy; jeszcze musim do pary wypić po kubeczku. I znowu przepił, a gdy to uczynił i P. Brożek przez uczciwość trzymał się na nogach jak mógł, czekając aż mu pełną podadzą; drugi się przysunął do niego, lekko rękę w kieszeń jego puścił, dobył klucza od furtki, odwrócił się żwawo i wybiegł do komory.

— Co to WMości? rzekł odwracając się Brożek?

— Krew mi się nosem puściła, odpowiedział wychodzący i poszedł do alkierza. Tym czasem drugi zabawiał Brożka jak mógł, przepijając do niego póki w flaszy stało, a choć posłany niby to kwapił się nazad i lękał się niezmiernie upicia, jednak na widok kubka, różne sobie czynił reflexje i perswazje, zawsze wiodące do spełnienia go. Tak perswadując i dodając sobie ducha a odwagi, dobrze podpił. Wyszedł po chwilce z alkierza ocierając nosa towarzysz, i ściskając a żegnając Brożka, nazad mu klucz wcisnął w kieszeń.

— Jeśli będziecie mieli czas wybiedz ju-

tro, rzekł do niego, przyjdźcie do Malchera, to się znowu razem trochę napijem.

— Z całego serca, odpowiedział rozczulony Brożek zataczając się i wylewając wino ze dzbana, który niósł pod połą. Aliście mnie Panowie tak spoili, że teraz nie wiém już, jak nazad do Chodkiewiczowskiéj kamienicy trafię, choć to nie pierszyna mi po ulicach po nocku się włóczyć.

— My w jedną idziem z Wami drogę, rzekli nieznajomi—Chodź nam otwórz Panie Stypejko. Wyszli więc do wrót, które im gospodarz odemknął żegnając ich. Znaleźli się znowu w ulicy.

Tu obejrzawszy się a świéżém powietrzem odetchnąwszy Brożek, uczuł dopiéro cały zamęt, jaki w głowie jego panował i zdało mu się jakby wszystko kręciło się i szumiało wkoło niego. Ledwie przed sobą rozpoznać mógł Ratusz na prawo, i kierując się od niego, poszedł w lewo ku Zamkowi nazad. Dwaj towarzysze pytali go jeszcze o wiele rzeczy po drodze, na które on, o ile mu przytomność umysłu dozwalała, odpowiadał, nie zastana-

wiając się wcale nad tém, dla czego tak pilnie go wybadywano, i jaki w tém mieli interes nieznajomi, którzy ze swojéj strony nie powiedzieli mu nawet co byli za jedni. Nareście żegnając się z nim pokazali mu furtkę, a poseł nasz z wielką trudnością odemknął ją i zamknął nazad; dragа już założyć nie mógł. Błądził potém po całym dziedzińcu, nim trafił na schodki wiodące do mieszkania P. Burczaka, i gdy drzwi jego otworzył, zastał P. Barbier chodzącego po izbie, Dozorcę w największéj niespokojności o powierzony klucz, a P. Stanisława śpiącego nad stołem.

Wszedł raźnie i jak mógł na nogach się utrzymywał, stawiając dzban w pośrodku stoła; P. Barbier jednak postrzegł zmianę w jego twarzy i domyślił się części przygód.

—Jużeś ty sobie zalał w czubek—Brożku, rzekł.

—Kto? ja? odpowiedział niezmięszany, ja? A to czysta napaść, bo prócz śniegu, nic nie miałem w gębie.

—Dawaj klucz, gdzie klucz! przerwał Burczak—coś się tak długo bawił?

— Co? wszystko było pozamykano — mało mnie hultaje nie odarli, ledwo żywy wróciłem.

— Alboż cię kto napastował?

— I jak napastowali, odpowiedział Brożek oddając resztę pieniędzy szelążkami fałszywemi, ledwiem się wywinął.

To mówiąc, odstąpił od stołu i okrutnie się zatoczył.

— O! i tak się zataczasz! zawołał Barbier.

— Bo mnie któryś w głowę czekanem palnął.

— Gdzie? gdzie? pokaż! pochwycili wszyscy razem biegnąc ku niemu, aż się i Stanisław ocknął i obejrzał.

— Jest wino, rzekł do niego P. Barbier, ale nasz nieszczęśliwy poseł po łbie za to oberwał!

I szukali wszyscy po głowie, ale P. Brożek zasłaniając się i udając że go mocno boli, umknął do drugiéj izby, podesłał sobie płaszcza i położył się na nim spać — Tym czasem dobyto kubki, zaproszono P. Burczaka, który różaniec złożył i ochotniéjszy za stół siadł.

— Mieliście mi WMość powiedzieć, odezwał się P. Stanisław, co się tu u was dzieje, i co to za wojna domowa ma się rozpocząć. Otoż przypominam obietnice, bo wino język rozwiąże i ochoty do gawędy doda.

— A i ja, rzekł z cicha Burczak, nie jedno wiém i dorzucić mogę, kiedyście ciekawi.

Barbier, jako fundator wina, piérwszy nalał kubek, i przepił do Burczaka, Burczak do P. Stanisława, w kolej znowu do P. Sumińskiego, po czém zasiedli każdy nad pełnym kubkiem i poczęła się następująca rozmowa.

IV.

Radziwiłłowie i Chodkiewicze.

IV.

Radziwiłłowie i Chodkiewicze.

— TRZEBA WMości wiedzieć, rzekł P. Barbier smakując wina, że nasz P. Starosta i cała familja Chodkiewiczowska spokrewniona z Radziwiłłami nie od dzisiaj;

chociaż przeto nie w najlepszéj z niémi zgodzie.

— Tak, tak, przerwał Burczak, zrosłem ja i schowałem się w tym domu, to najlepiéj wiém wszystkie ich kolligacje. Bo naprzód stryj JMPana Starosty nieboszczyk Jerzy Starosta Żmudzki miał za sobą Wojewodziankę Nowogrodzką Radziwiłłównę, a rodził się sam z Xiężnéj Olelkowiczównéj Słuckiéj, co też go kolligaciło z Radziwiłłami. On też najchętniéjszy był Radziwiłłom, choć my wszyscy mówili że z tego jakieś licho wyrośnie, a Orzeł się z gryfem podrapią.

A potrzeba WMości wiedzieć, że Olelkowicze też Radziwiłłom krewni i Chodkiewiczom.

— I toć to jabłkiem niezgody między niémi ci Olelkowicze.

— A więc to z Radziwiłłami sprawa? spytał P. Stanisław.

— Nie z kim innym, odpowiedział Franciszek, ale słuchaj no tylko, wiele się jeszcze rzeczy dowiesz dziwnych.

— Pozwólcie naprzód, abym powiedział

o onych koligacjach, bo bez tego nic nie zrozumie, zawołał Burczak — Otoż mówiłem, że Radziwiłłowie skolligaceni są z Chodkiewiczami, a obie te familje z Olelkowiczami Słuckiemi. A to tak: Nieboszczyk Stryj Pana Starosty teraźniejszego Jerzy, także Starosta Żmudzki rodzi się z Zofji Olelkowiczównéj Xiężnéj Słuckiéj; a ta Zofja była siostrą Xięcia Symona, ojca JMXięcia Jerzego, który jest ojcem Jéjmości naszéj Zofji Jurjewiczównéj Olelkowiczównéj Xiężnéj Słuckiéj — Zatém jasno WM. widzicie, że P. Jerzy był Stryjem naszéj Panny. A trzeba wam wiedzieć, że to był Pan pobożny i cnotliwy; świeć Panie duszy jego—Pan Starosta Żmudzki. Lat temu pięć wszyscyśmy płakali na jego pogrzebie w Brzostowicy, i ja niemałom łez wylał, bo mi bardzo świadczył i zawsze o mnie pamiętał. Ależ to WMość tego jeszcze nie widzisz, jakie tu pokrewieństwo Radziwiłłów z Olelkowiczami, a to ja Wam zaraz powiém. Bo teraźniejszy Pan Wojewoda Wileński (Radziwiłł), z którego rodzi się Xiąże Janusz, miał za sobą córkę Xięcia JM. Konstantego

Bazylego Ostrogskiego Wojewody Kijowskiego, która rodzi się z Alexandry Olelkowiczownéj Słuckiéj. Otoż to pokrewieństwo.

— Ale rozumiém, rzekł P. Barbier, iż cała ta Genealogja nie objaśni wcale P. Stanisława, co do teraźniéjszych waśni, o którychby się rad dowiedzieć; a zatém ja do swojego wracam, że Chodkiewicze z Radziwiłłami spokrewnieni, i nie w lepszéj przeto zgodzie. Jednakże nieboszczyk Jerzy Starosta Żmudzki, godził się jako tako z teściem swym P. Wojewodą Nowogródzkim, a przez niego skolligaconym będąc i z Xięciem Wojewodą teraźniejszym, w jego domu bywał, i dość się dobrém okiem na się patrzali. Tylko za się lepszéj przyjaźni między niémi tamę różnica religji kładła; bo JM. Jerzy nieboszczyk Starosta Żmudzki był bardzo pobożny i gorliwy Katolik, a Wojewoda, jak wiadomo, jest heretyk, i z różnowiercami trzyma, i świéżo się do konfederacji pisał z XX. Ostrogskiemi i innemi z Rusi Panami. Wszelakoż przystojnie z sobą żyli. Tym czasem, dawno to już, umarł ojciec Xiężnéj młodéj naszéj Zofji Słuc-

kiéj, jak wiadomo jeszcze w r. 1585 i powierzył opiekę jéj testamentem JMPanu Jerzemu Chodkiewiczowi.

— Ostatnia to dziedziczka, dodał Burczak téj zacnéj familji, która miała swoje miejsce w senacie po JM. Xiędzu Biskupie Wileńskim. I bogate ma wiano, bo Xięztwo Słuckie i Kopylskie.

— Gdy się to dzieje, a Xżna Zofja dostaje się w opiekę Panu Jerzemu Staroście Żmudzkiemu, Radziwiłłowie poczęli koło niego chodzić, myśląc, jakby go sobie zapewnić, żeby X. Zofja i jéj dobra, w ich dom weszły. Jakoż poczęli tak dobrze głaskać tego zacnego P. Starostę Żmudzkiego, że w r. 1594, prawie na rok przed jego śmiercią, zapewnili sobie zupełnie X. Zofję dla Xięcia Janusza Radziwiłła, syna Pana Wojewody teraźniéjszego z Xiężnéj Ostrogskiéj spłodzonego.

— Jakże się to stać mogło? spytał Pan Stanisław.

— Jak? odpowiedział P. Burczak nastawując kubka, oto ja najlepiéj powiém, bom tego wszystkiego był świadkiem. Działo się

to w Brzostowicy, kędy P. Starosta nieboszczyk przebywał fundowawszy tam wspaniały kościół i na modlitwie cały czas trawiąc, bo przed śmiercią na kilka lat, dzień w dzień na xiążce kapłańskie godziny odmawiał, a ludzi bardzo mało widywał, tak był w nabożeństwie zatopiony cały. Od kilku już czasów chodziło po głowie Radziwiłłom upewnić się, że będą mieli Xżnę Zofję, która na ówczas (było to w r. 1594) dopiéro dziesiątek lat liczyła, prawie dziécko jeszcze. Chodzili więc koło Pana Starosty bardzo, a pochlebiali mu się; boć żaden z Chodkiewiczów o zamężciu z bogatą dziedziczką nie myślał dla blizkiego pokrewieństwa, z którego choćby ich pewnie Papież rozwiązał za prośbą Króla JMości, łaskawego na PP. Chodkiewiczów, ale oni tego nie chcieli, znając w tém niebłogosławieństwo Boże, kiedy jak Żydzi łączą się Chrześcjanie w blizkich stopniach — Otoż tedy. —

— Ale WMość coś bardzo obszernie zaczynasz — rzekł Barbier.

— Nic to, nic, nikt w szyję nie pędzi, a

lepiéj trafię do końca, odpowiedział Burczak, bądźcie tylko Jchmość cierpliwi. Otoż, com mówił?

— Że się starali o Xiężnę dla Janusza.

— Ba, tak. Starali się oni i chodzili dobrze około P. Starosty, aż P. Starosta, aby się od tego natręctwa uwolnić, słowo swoje szlacheckie dał, że skoro sama Xiężna zechce, doszedłszy lat, wyda ją za Xięcia Janusza. Ale nie dość było tego słowa Panu Wojewodzie Radziwiłłowi, który się chciał upewnić mocno w tém, że syn jego mieć będzie owe Xięztwa Słuckie i Kopylskie. Jakoż, pomnę, byłem naówczas w Brzostowicy i właśnieśmy do kościoła byli poszli na nieszpór wszyscy, a było to, jak dziś pamiętam, w Sobotę przed Niedzielą Przewodną; nadbiegł za nami pachołek ode dworu, oznajmując, iż przybył jurgieltnik konny Xięcia Wojewody, dający znać, że i on zaraz jedzie. Poszedł JMPan Marszałek do ławki Pana Starosty oznajmić o gościu, ale mu Starosta nieboszczyk odpowiedział surowo.— Idź Wasze przyjmuj, a u mnie piérwszy P. Bóg,

niż wszyscy w świecie Xiążęta, ba i Królowie. Jak skończy się nieszpór, to i ja na Zamek wrócę. A tak słuchał do końca nieszporu Pan Starosta, po czém wróciliśmy na Zamek, gdzie już stały kolasy i konie Pana Wojewody i liczny jego poczet. Powitali się uczciwie i grzecznie i była tam uczta niemała, a i ludzi przyjęto dobrze, bo i beczki wytoczyli dla nich i stół do sytości stał cały boży dzień zastawny, przy którym, jak dziś pomnę, ja sam gospodarzyłem czeladzi Wojewodzińskiéj. Aż potém posłyszeliśmy na dworze, że P. Wojewoda, po jakieś zapisy do Starosty przyjechał.

Był z nim syn młody Xiąże Janusz, uczciwe Panię i hojne, ale mu się, jak i dziś duma wielka z oczów patrzyła, że do nikogo poczciwego słowa nie rzekł, a wszystkich leda co, z djabłami posyłał. Byli tam i inni panowie i Bratanek Pana Wojewody, Xiąże Starosta Mozyrski i wielu innych przyjaciół. Jak jęli tam znowu chodzić koło P. Starosty, a obietnicami wielkiemi przyjaźni stałéj i kolligacji go łudzić, tak wreście nazajutrześmy

się dowiedzieli, że już Xiężna Zofja Xięciu Januszowi na pismie przyrzeczona za obligiem.

— Jakto za obligiem? spytał P. Stanisław.

— Bo Pan Starosta dał skrypt Panu Wojewodzie pod zakładem wielkiéj summy, że jak Xiężna do lat dójdzie, i sama zechce, mają ją wydać koniecznie za Xięcia Janusza, a nie to Starosta zapłaci wielki zakład. Ja nie wiém po co to się Starosta tak opisał, ale kiedy zaczęli go tam prosić, a namawiać, a zaklinać na braterską przyjaźń, trudno się im było oprzéć. Potém były jeszcze w Brzostowicy wielkie traktamenta i wiwaty, wiele tam wina wypili, za nim się rozjechali. A P. Starosta rad był, że się ich zbył z domu i kazał po tych heretykach izby czyścić i święcić na nowo, jak po zarażonych.

— Od téj pory, podchwycił Barbier, choć Xiężna była jeszcze dziéckiem, począł do niéj jeździć Xiąże Janusz, a posyłać podarki, aby jéj przyjaźń pozyskać sobie; Xiąże Wojewoda też ojciec jego raz w raz o nią się dowiadywał, aż P. Staroście, choć to był cierpli-

wy i cnotliwy Pan, nie w smak to poszło takie nadskakiwanie natrętne, i nie raz mawiał.— Oj źlem zrobił źle, żem im dał zapisy, ale co ma być to będzie, bo się już stało. A słowo dane, powinno być dotrzymane.

Tym czasem umiéra nasz Starosta.

—A! niech mu wiekuista światłość świéci, zawołał Burczak wzdychając i podnosząc ręce. Pan to był Pan jakich mało i ludziom i Bogu miły, a żywéj duszy nie najdziesz, żeby się na niego kto poskarżył.

—Po jego śmierci, która zaszła w Brzostowicy w Czerwcu 1595 r. temu lat cztéry skończyło się tego roku, a piątego już połowa, ruszyli się Panowie Radziwiłłowie mocno, nie wiedząc co sobie począć i jak tu znowu porwane rzeczy powiązać, bo opieka Xiężnéj spadła była na brata nieboszczyka Starosty Pana Hieronyma Kasztellana Wileńskiego, Starostę Brzeskiego; który nietyle sprzyjał Radziwiłłom, co nieboszczyk. Kasztellan dowiedziawszy się o śmierci brata, pośpieszył wrychle do Brzostowicy, bo na niego z pogrzebem czekano, który nie prędko sprawio-

no, bo żądali PP. Chodkiewicze bardzo wspaniale wystąpić i nieboszczyka uczcić. Jakoż było tam na nim niemało ludzi znacznych z PP. Senatorów i duchowieństwa i prawiono mowy; osobliwie zaś Xiądz Brant Jezuita dziwnie miał piękną, której się wszyscy dziwowali, a podobno i do druku podana została przez Akademję Jezuicką tutejszą. Ale to było w Październiku, a owo nim jeszcze do pogrzebu przyszło, to już Panowie Radziwiłłowie wszkomo dla pogrzebu (choć heretycy byli), a w istocie dla ponowienia umowy pośpieszyli za P. Kasztellanem Wileńskim.

— Byłem ci i ja tam, znowu przerwał Burczak, bośmy około ciała nieboszczyka i Dobrodzieja naszego płakali jeszcze, czekając pogrzebu, gdy PP. Radziwiłłowie *in magno comitatu* Panów zacnych i urzędników zajechali na Zamek. Piérwszego dnia nic nie mówili szanując i żal JMPana Kasztellana i pamięć Starosty nieboszczyka; ale nazajutrz jakoś już o zapisach przebąkiwać zaczęto i o odnowienie ich prosić a naglić, zaklinając na kolligację i stosunki przyjazne, zdawna nie-

przerwane między familjami. Opiéral się w początku P. Kasztellan mówiąc, że dostateczna będzie ta piérwsza z bratem umowa, ale PP. Radziwiłłowie obstawali przy ponowieniu jéj za obligiem, aby byli pewniéjsi swego. Zapomniałem WMościom powiedzieć, że P. Kasztellan Wileński do piérwszéj umowy z Radziwiłłami za pieczętarza się pisał, i to go teraz wiązało, że do nowéj przystąpić prawie musiał, gdy na niego ta opieka spadła. Jakoż po długich ceremonjach spisali nowy akt, gdzie Pan Andrzéj Jundziłł Marszałek J. K. Mości pióro trzymał i wyspecyfikował więcéj niż w piérwszym, a to za namową i podżeganiem Xięcia Alexandra Hołowczyńskiego Rusina, który wielce domowi Xiążąt Radziwiłłów sprzyjał i z niémi był przyjechał, a także PP. Jana Tryzny i Strabowskiego Piotra Starosty Trzejdeńskiego. W tym nowym akcie stało, jak powszechna fama niosła, że P. Kasztellan Wileński opisał się oddać Xiężnę młodą, za żonę Xięciu Januszowi, gdy dójdzie lat piętnastu, a to w Wilnie, w tutejszéj oto, gdzie siedziémy teraz, ka-

mienicy, w dniu szóstym Lutego r. 1600, byleby ona sama tego dobrowolnie chciała i temu się nie przeciwiła. Radziwiłłowie zaś pewni byli zezwolenia, ba wielkiéj radości Xiężnéj, bo od roku już naówczas nad pozyskaniem jéj affektu sobie pracowali. Ale się obawiali bardzo aby im kto cichaczem nie psuł, a mianowicie z naszym P. Starostą nie będąc dobrze i dawne tam jakieś familijne pamiętając zatargi, obawiali się, aby on P. Kasztellana nie bałamucił, a może też i na innych mieli podejrzenia, bo wiele dziedziców zacnych i przednich domów litewskich starało się o dożywotnią przyjaźń Xiężnéj u PP. Chodkiewiczów. To też wcześnie zabiegając temu JMP. Wojewoda, dopisał w téj umowie powtórnéj pod zakładem zawartéj, że P. Kasztellan żadnych zmów potajemnych na przeszkodę czynić niéma, pod zakładem tysiąca kop litewskich.— Ogromnéj dalipan summy!

Aliści niebaczny P. Kasztelan na taką umowę zezwolił i oną podpisał, po czém już nawet pogrzebu nie doczekawszy się wyjechali Radziwiłłowie z Brzostowicy radzi i weseli,

że się im złapać Chodkiewiczów udało. A Xiąże Janusz z naprawy ojca swego Wojewody jął dopieroż co najsilniéj o Xiężnéj fawor i łaskę starać się, u niéj bywać, podarki słać, i ją sobie ujmować — Ludzie mówili i mówią, że mu bardzo skłonna była— i jest podobno dotąd.

To było w r. 1595, jakem powiadał WMości, a Xiąże Janusz ciągle się starał o Xiężnę aż po rok przeszły podobno, a ona wzrastała pięknie — Widzieliście ją kiedy?

— Nie — nigdy — odpowiedział P. Stanisław, wiécie żem się ja po obozach tułał więcéj, niż po dworach siedział — Xiężnéj zaś nie zdarzyło mi się widzieć, która przesiaduje w Grodku, Brzostowicy, albo w Wilnie tu u was — i pod Bernardynami u Kasztellana. A jam tu jak nie był prawie.

— Teraz już mieszka w naszéj kamienicy, rzekł Burczak i z ochmistrzynią Panią Włodską, z fraucymerem prawie królewskim, tak liczny i dobrany z uczciwych szlacheckich panien. Jesliście jéj nie widzieli, wielka szkoda; miło na nią, jak na malowanie kościel-

ne z uszanowaniem popatrzyć. Byleście tu póty byli, zdarzy się wam pewnie ją zobaczyć. Spójrzawszy na nią, nigdybyście nie rzekli, że to kobiéta wychowana w wygodach wszelakich i dostatku, a raczéj słaba niewiasta jaka uboga, bo zdaje się patrząc na nią, że ją wiater wionąwszy z nóg obali, tak wątła i słaba i smukła. Twarz to ma jużci piękną, choć czegoś bardzo smutną, jakby nazajutrz po płaczu, albo w wigilję wielkiéj boleści — Człek na nią popatrzy, to mu się koło serca zwija, jakby się także na łzy (nie wiedzieć czego) zbiérało. Nigdym nie widział jéj jeszcze śmiejącéj się, chyba Xiąże Janusz się pokaże; wówczas zda się ożyje Xiężna, oczy jéj zaświécą i rumieniec na lice wejdzie. I on też, czy kłamie, czy prawda, że się do niéj przywiązał, (bo heretykowi nie wierzyć), ale zda się mocnym ją miłować affektem, serdecznie ją kochać; ba co większa we wszystkiém jéj prawie słucha.

— Lecześmy jeszcze WMości wiele rzeczy opuścili, rzekł Barbier dolewając. Trzeba ci wiedzieć, że JM. X. Radziwiłł po żonie

swojéj Ostrogskiéj wziął pod Orszą dobra znaczne, zdawna summą obciążone za Zygmunta Augusta, a w Chodkiewiczów domu będące zastawą w piąci tysięcach złotych.

Nie wiém co za zły duch podszepnął Xięciu Radziwiłłowi Wojewodzie, żeby tych dóbr na Chodkiewiczach prawem dochodzić. Jakoż dobrze się zdumieli Chodkiewicze wszyscy, gdy po owych w Brzostowicy zaklęciach i ofiarowanéj przyjaźni wiekuistéj, w lat parę odebrali pozwy w téj sprawie. Wielki to był hałas i krzyk na Radziwiłłów i na tém się owe związki przyjaźni całkiem rozerwały. Sroga zajęła się nienawiść z obu stron, tak, że nawet widywać się przestano i na P. Wojewodę straszne krzyki P. Alexander z P. Starostą naszym wzniecili. Bronili się w sprawie, ale odgrażając się na Radziwiłłów, że się im Kopysia owych dóbr pomszczą na Xiężnie Zofji. Jakoż odtąd jęli się starać jakby owe projektowane małżeństwo rozerwać. I niedługo po tamtych pozwach o Kopyś, nasz P. Starosta z bratem Alexandrem pojechali do Brzostowicy, gdzie przebywał stryj ich, opiekun

Xiężnéj, P. Kasztellan Wileński. Niebyłeśże i tam znowu? spytał w końcu Barbier Pana Burczaka, który dość cierpliwie słuchał.

— Nie, nie byłem, ale dobrze wiém o tém, odpowiedział Burczak ożywiając się — przyjechali do stryja z wielkim żalem i lamenty, że on z Radziwiłłami się wiązał, którzy na zgubę ich familji dążyli i kroili, przed sądy ich pozywając, pieniając, dobra im chcąc odbiérać.

Poruszyli tém P. Kasztellana tak, że i on zdjęty żalem, razem z niémi jął na PP. Radziwiłłów wyrzekać a odgrażać się. Wystawili mu bowiem, jako owe umowy z niémi były nawet prawu przeciwne, bo Xiąże Janusz z Xiężną Zofją byli w blizkiém pokrewieństwie, gdy mu ta pono siostrą jakąś wypadała; wystawili potém jakby to i Królowi JMości: łaskawemu zawsze na PP. Chodkiewiczów nie miło było, żeby oni z heretykami w ligi wchodzili i zapominając przepisów Kościoła św. Katolickiego, oddali w małżeństwo Xiężnę. Taki tam był krzyk na Radziwiłłów, że kiedy się im Xiąże Alexander Hołowczyński nawi-

nął, co się pisał pieczętarzem do ostatniéj umowy, tak go źle przyjęli, iż natychmiast nie bez gniewu odjechać musiał z Brzostowicy. Tym czasem P. Alexander i Pan Starosta nasz jęli stryja namawiać, że kiedy już ma oddawać Xiężnę Zofję Radziwiłłom, niechby przynajmniéj o swoich pamiętał, a bez ich wiedzy tego nic czynił, żeby oni przez to do ugody o owe dobra Kopyskie przyjść mogli z Radziwiłłami. Czego chcieli, to i wymogli nareście, przyrzeczenie na *pismie*, pod wielkiemi zakładami i zarękami od stryja, iż bez ich wiedzy nie wyda Xiężnéj Radziwiłłom na terminie. Dowiedzieli się i Radziwiłłowie co się gotowało, ale Wojewoda dobrze sobie tuszył, mając zapis od Kasztellana; o pogróżki nie stał, pewien będąc swego. Ale tu już poczęło się gmatwać coraz gorzéj. Nuże nasz Pan Starosta z P. Alexandrem bratem pozwali w Ziemstwie Nowogródzkiém Pana Kasztellana do przesłuchania linji powinowactwa Xięcia Janusza z Xiężną Słucką, pozwali też i Xięcia Wojewodę Wileńskiego do tego samego, że X. Słucka wedle prawa Litewskiego,

a jak oni mówili i Kościelnego, nie może być oddana Januszowi w małżeństwo dla blizkiego powinowactwa.

Pan Wojewoda ze wszystkiego się śmiał, bo że ta sprawa była zapisana, nigdy też Roki Ziemskie do terminu ślubnego nie dochodziły. Tym czasem P. Wojewoda rozgniewawszy się na naszych Panów, a najgorzéj na Kasztellana, że się dał namówić i nową podpisał umowę, odgrażał się ze swéj strony najokropniéj. A wiadomo co może! Tak to było aż do teraźniejszego roku. Ale Wmości nie powiedziałem jako się PP. Chodkiewicze z Xięciem Januszem spisali, który ciągle po dawnemu bywać myślał u Xiężnéj Zofji i bywał. Temu dwie lecie, pojechał był do Brzostowicy raz pomnę i powrócił z tamtąd w gniewie, piorunując na naszych Panów, że go źle przyjęli, a widzieć mu się prawie nad raz czy dwa i to krótko, a w przytomności swéj tylko, z Xiężną dopuścili. Potém jakoś zaraz P. Kasztellan uprosiwszy domu, co był go na nowo nasz Starosta wyrestaurował, sprowadził tu do niego Xiężnę z fraucymerem do Wilna. Tu je-

szcze gorzéj Xięciu Januszowi się wiodło, a co dzień trudniejsze stało się widzenie.

Będzie temu rok jak się to stało, co jeszcze gorzéj pojątrzyło na siebie Ichmościów. Pamiętam to, byłem tu wówczas. Jakoś we Wtorek przed Bożém Ciałem, przyjechał Xiąże Janusz do téj kamienicy, chcąc się widziéć z Xiężną, która oknem patrzała w ulicę i powitała go uprzejmie jak zawsze. Właśnie nasz Pan Starosta był doma, i gdy Xiąże Janusz do wrót się przybliżył, kazał mu oznajmić przez Marszałka, że Xiężna go nie przyjmie, bo on, jako opiekun, tego jéj nie dozwoli. Wielki był krzyk i odgrażanie Xięcia Janusza, wielkie wołanie u wrót, ale to nic nie pomogło.

W kilka dni posłańca z pismem przysłał Xiąże Janusz i podarki tam jakieś, ale i tego Starosta nasz, zasadziwszy szpiegi, nie dopuścił, odprawując z niczém nazad i odgrażając się, że z tego wszystkiego, póki on żyje, nic nie będzie, a Radziwiłłowie dość już swéj nieżyczliwości domowi Chodkiewiczów dali dowodów, aby się wzamian od nich, powolności tylko ciągłych spodziéwać mogli. Probował X. Ja-

nusz sługi przekupić, ale gdy się to wydało i sługi precz odpędzono, dał temu pokój.—Xiężnie zakazano mocno aby się nie ważyła z X. Januszem potajemnie znosić, bo ją miano dać do Monastéru pod srogie zamknięcie. Xiężna płakała, ale to nic nie pomogło. Xiążęta zaś Radziwiłłowie mszcząc się za Jana Karola i Alexandra na Kasztellanie Wileńskim, pozwali go tego roku przed Trybunał sądzący się pod laską Jerzego Xięcia Radziwiłła Kasztellana Trockiego o ową klauzulę w umowie zawartą, że nie miał czynić żadnych zmów potajemnych przeciw nim, pod winą tysiąca kop; oskarżając go o to, że się z synowcami swémi nieprzyjaznemi ich domowi zmawiał i znosił, że przez to powstały wszystkie trudności w dopełnieniu danych przyrzeczeń. Łatwo wam domyślić się, że Kasztellan przegrał sprawę na głowę i skazany został na zapłacenie tysiąca kop; czego on, choćby i do bannicji przychodziło, jak to już mówią że będzie, opłacić, nie opłaci.

— I, rzekł Barbier, Król JMość nigdy takich excessów nie dopuści, bo wiadomo wam

wszystkim, że o ile Chodkiewiczów i wszystkich prawych Katolików kocha i proteguje, o tyle całą tę partję heretycką i syzmatycką, w któréj prawie głową X. Wojewoda z XX. Ostrogskiemi, nienawidzi dusznie. Byłoby to też ostatnie upokorzenie, gdyby oni w téj sprawie a nie my wygrali. Trzeba Wmości wiedzieć, dodał, że teraźniejszego roku w téj partji ruch wielki, a wszyscy przeciw Królowi Jegomości, i przeciw nam Katolikom zażarci jak lwy — że Król JMość Jezuitów silnie proteguje i Unję kościołów z wielką ich zgrozą wznawia, jak się to przed trzema laty stało, a teraz doprowadza do skutku. Tego roku przed Trybunałem uczynili tu wielki zjazd między sobą, na którym byli wszystkie Xiążęta Ostrogskie i Ruskich ziem przedniejsi, a także z Polski, co ich jest reformowanych, najechało. To się tu pisali sobie do jakiéjś Unji Grecy z drugiémi heretyki, że się mają Jezuitom i Katolikom i Królowi opiérać i bronić. Była też tu i sławna dysputa, na któréj występował przeciw trzydziestu ministrom Xiądz Smiglecki Jezuita, i wszystkich ich po-

konał z wielkim ich wstydem i upokorzeniem, ale nieprzeto się poddali, bo chodzą wszędy po mieście i prawią że oni wygrali, choć jest na to niemało świadków, że inak się stało.

— Ale tegoście Wmość nie powiedzieli, zkąd ta wojna i gdzie i między kim będzie, spytał Pan Stanisław, jużcić się z sobą o Xiężnę Zofję bić nie będą?

— Właśnie że tak myślą, rzekł Pan Burczak, a Chodkiewicze krwawo się bronić zamierzają. Pisał, prawda, Król Jegomość i do P. Starosty i do Xięcia Wojewody, aby temu dali pokój, a dozwolili między sobą rozsądzić tę sprawę i wzajemne krzywdy na Sejmie; ale to groch o ścianę. Nieposłuchają!

— I cóż? doprawdy zabierają się do wojny?

— Nie inaczéj, odpowiedział P. Barbier — A że termin wydania Xiężnéj wypada dnia szóstego Lutego roku da Bóg doczekać przyszłego, tu, w téj oto kamienicy Pana Starosty, więc też i tu się kędyś ta wojna pocznie.

— I już się do niéj niepomału sposobią, dodał Burczak. Nasz Pan Starosta zkąd może

lud spisuje i gromadzi, tylko że nie po jego to sile stawić czoło tym obmierzłym heretykom; bo Xiążęta Ostrogskie pomagają bardzo silnie Radziwiłłom i wszyscy co ich jest heretyków i Rusinów. Ale za się i J. K. M. wstydby już było, żeby jego najbliżsi i najwierniejsi padli marnie. To też dzięki Bogu, J. K. Mość pewnie się w to wda, żeby nie przyszło do walki, a jeśli i przyjdzie, ma Pan Starosta nasz pewnych dwa tysiące ludu na obronę kamienicy i dział ze smigownicami ze trzy dziesiątki przyjdzie.

— A cóż na to Radziwiłłowie? spytał Stanisław.

— O! oni na licha ludu będą mieli, bo im wszyscy tegoroczni Konfederaci pomogą, z niemi jedną ligę trzymając. Mają oni trzech Xiążąt Ostrogskich, Pana Kasztellana Krakowskiego, Wojewodę Kijowskiego i Wojewodę Wołyńskiego, a ci niemało mogą ludu wystawić. Jestci z niémi i Xiąże Kurlandski, bo i to heretyk.

— Jest też, dodał P. Barbier i Pan Abramowicz z Wornian, Wojewoda Smoleński i

Naruszewicz szwagier Wojewody i bratanek jego P. Starosta Mozyrski i kto ich tam z resztą policzy. Oni pewnie będą mieli do pięciu a może i sześć tysięcy wojska. Ale gdzie sześć attakuje, tam się we dwa tysiące dobrze bronić można, dodał.

— Pewnie, przerwał Stanisław, że się z pomocą Bożą nie damy.

— A co Wmość na to powiesz, że i Zamojski z niémi, przeciw nas?

— Kto go tam zrozumie? rzekł P. Stanisław. Nasłuchałemci się tyle o nim w czasie Elekcyjnego Sejmu, chociem był ono chłopięciem, że na niego się patrzą jak na cudowisko. Powiedzcież mi kto z nami?

— Wszyscy Katolicy, ale Panów mało, szlachty naszéj więcéj, i pono przyjdzie wszystko wojsko z żołdaków złożyć, bo wszyscy się obawiają zaczepiać Wojewody i konfederacji, a każdy odpowiada grzecznie, że radby służył, ale mu coś wadzi. Tylko Wojewoda Sandomirski po staréj przyjaźni i po wie-

rze z nami (Mniszech) choć i on ludu nie obiecuje przystawić, a sam tylko ma zjechać.

— Ale to się na wielkie rzeczy na katy zabiéra, rzekł Stanisław powstając — Chodkiewicze więc nie myślą oddawać Xiężniczki, a Radziwiłłowie siłą ją brać zamierzają, jak fortecę.

— Tak to jest, co do słowa, odpowiedział Barbier.

— A jakże to Xiężna widzi?

— Bóg tam tylko serce jéj zna, dodał Burczak. Ja, co ją dzień w dzień widuję i raz wraz o niéj słyszę, nie lepiéj ją znam od Waszmościów, co z daleka przybywacie. To wiadomo pewnie, że w sercu sprzyja Xięciu Januszowi najmocniéj, że go nawet miłością kocha, ale tak jest milcząca i spokojna, jak gdyby jéj wszystko szło najlepiéj. Gdy P. Kasztellan z naszym Panem Starostą oznajmili jéj, aby więcéj z X. Januszem żadnych nie miała stosunków ani liścików, (bo i to bywało) pisywała i odbiérała, ani posłańców dopuszczała do siebie, odpowiedziała im — Stanie się wola Waszmościów. Zdaje się nawet, że nie

szuka sposobu widzenia się i dowiedzenia o X. Januszu. Jednakże gdy X. Janusz jedzie ulicą (a często gęsto przejéżdża się pod naszemi oknami) stoi zawsze i patrzy, i chustką mu białą znaki daje, bom to nieraz widział, nawet głową nieboraczka potrząsała. Skoro się o tém dowie P. Kasztellan, pewnie ją w drugie od okna z mieszkania przeniesie, bo już go ta fama bannicji do ostatniéj doprowadziła złości — Jak się dowiedział że ją gotują, wolałby teraz djabła niż Radziwiłła. Wszyscy Katolicy za nim wielkiemi głosy wołają i Xiądz Rektor Collegium św. Jana dawał znać przez swoich Królowi JMści, aby tego nie dopuszczano. Tu jednak w Wilnie heretycy wszystko w ręku trzymają; i żeby im się jeszcze Jezuici nie opiérali, jużby nam i po głowach pewnie jeździli, bo się przechwalają swoją tegoroczną konfederacją bardzo wysoko.

— A zatém i dzień już świta! rzekł Pan Barbier wyglądając oknem, pójdziemyż do naszéj izby, bo i dzbanek suchy i głowa ciężka.

— A ja do roboty po bezsennéj nocy, dodał Burczak — Jak na brzask trzeba będzie

wrota otwiérać i ład tu w kamienicy zrobić bo i Pan Starosta co chwila spodziéwany.

— Zaczęli się rozchodzić wszyscy, a dzień już był biały, kiedy się P. Barbier z P. Stanisławem spać pokładli na sianie.

V.

W Kardynalij.

V.

W Kardynalij.

Ranek, w mieście nadewszystko, jest godziną ruchu i życia. W chwili przebudzenia wszystko jest najczynniejsze, rzeźwiejsze, wszystko się porusza, idzie, ży-

je, czuje swoje życie. Gdy świt tylko na wchodzie zajaśniał, już Wilno powoli się ze snu zbudziło; a naprzód ozwał się Bernardyński dzwonek na jutrznię, potém w drugim końcu Franciszkański, potém dzwony chóru innych klasztorów. Ulice zapełniły się przekupkami, wieśniactwem to z drwami, z sianem, to z żywnością przybywającém. Coraz większa wrzawa i zgiełk powstawał. Mléczarki rozstawiały swój szynk kilkogodzinny, otwiérały się winiarnie i garkuchnie, słupy dymów sunęły się z kominów piérzastych. Koło Ratusza zaczynało się kupić żydowstwo, kupcy w bekieszach z futrem szli otwiérać sklepy szepcząc pacierze; stare jejmoście w czarnych axamitnych czółkach z ogromnemi pod pachą xięgami, wlokły się do kościołów, tuląc ręce w lisich i rysich zarękawkach. Golarnie i cyrulickie sklepy były najczynniejsze, przepełnione; przed każdém niemal oknem oznaczoném mosiężnemi talerzyki, widać było ogromną twarz pokrytą mydłem, z którego tylko wąsy na bok stérczały.

Tam i sam po mieście wlokły się żydowi-

ce w białych długich zasłonach, wlokących się po ziemi. Otwierały się bramy i furtki domów, pałaców, otwierały się drzwi kościołów, których ganki i przedsienia obsiadali żebracy, jeszcze pocichu tylko pacierze odmawiając.

Ku Zamkowi idąc, w pałacu Radziwiłłowskim, niedaleko kościoła św. Jana położonym, wszystko się już także było przebudziło; słudzy i drążnicy szli na miasto, dworzanie wybiegali przed wrota, hajducy w barwie przy broni stawali w dziedzińcu na straży. Znać tu było mieszkanie Wojewody po przepychu, po ciżbie która się tłoczyła z różnemi sprawy i dopraszała się wnijścia. Pałac Radziwiłłowski sklejony był z kilku oddzielnych domostw przez Kardynała Radziwiłła, który właśnie podczas gdy się ta powieść toczy, do Rzymu się wybierał po raz trzeci czy czwarty, i nie mieszkając w Wilnie od czasu wzięcia na Biskupstwo Krakowskie, odstąpił był swojego pałacu Wojewodzie. Pałac ten nie miał powierzchowności regularnéj i pięknéj. Coś jednak w jego wielkości zastanawiało, a czystość utrzymania tak w owe czasy rzadka,

wielkiego Pana oznajmywała, nie było bowiem przed nim owych kup śmieci, które niedaleczko zaraz, pod mieszczańskiemi domy wznosiły się, i na których głodne psy tułacze szukały pożywnych cząstek. Część piętra od placyku kościoła św. Jana i drugą na ulicę Zamkową zajmowały okna mieszkania Wojewody Wileńskiego i syna jego Janusza. Pani Wojewodzina, czwarta małżonka iego, nie była pod ówczas w Wilnie, ani żadne więcéj z jego dzieci.

Mówiliśmy już o Wojewodzie i jego charakterze. Był to dumny, bogaty Pan, stojący w oppozycji przeciw Królowi, przewodniczący stronnictwu reformowanych skonfederowannych z Grekami, zazdrośny łaski Królewskiéj, zlewającéj się mianowicie na Katolików, silnie postawiony w opinji publicznéj swojego stronnictwa, związany jednością sprawy i kolligacji z Xiążęty Osrogskiemi i innemi z Rusi, a familijnemi związki z sławnym Lwem Sapiehą i Zamojskim. On zdawał się być głową możnych w Litwie i reprezentantem téj klassy, która widząc nie-

chęć Króla ku sobie, a skłonność jego ku Chodkiewiczom i Katolikom, postanowiła sama sobie wystarczać. W takich wyobrażeniach wychowany był i syn Xiążecy, Janusz, poźniéj tak nieszczęśliwie sławny rokoszem, w którym wszczepiona już była niechęć ku Chodkiewiczom największa (będąca pono i najbliższą rokoszu przyczyną) ku katolickiéj partji nienawiść, ku religji panującéj pogarda; chęć poniżenia ich i zemsty.

Właśnie się był Xiąże Janusz przebudził i zawołał na sługi, porwawszy się z łoża wysłanego skórami miękkiemi, (jak pod ówczas było we zwyczaju). Izba, w któréj się to działo, była przestronna, sklepiona oknami ku kościołowi Ś. Jana obrócona, w większéj części makatami obita.

Tam i sam bogate rozwieszone były oręże, stały zbroje połyskujące, jakby tylko co z rąk płatnérza wyszły. U głów Xięcia stała nalewka srébrna złocista, miednica i kubek.

Zaledwie się z łoża młodzieniec pochwycił i przetarł oczy, klasnął w ręce na sługi i tupnął nogą w podłogę. Drzwi się otworzyły,

sukno na nich zawieszone podniosło, weszło dwóch pajuków w barwie Radziwiłowskiéj, niosąc wodę zimną do umycia i tuwalnię bogatą do otarcia. Xiąże oblał się cały zimną wodą w milczeniu i otarł, a piękne swoje czarne włosy, które długiemi nosił na on czas, rozczesał. Nie trefił ich jak dziś, nie mu skał, tylko wodą je zlał zimną i przygładził nieco dłonią. Potém wąsa młodego poprawił, wziął na się odzienie niebogate, lecz wytworne bo z przedniego sukna i atłasu szyte czarne, bóty z pięknego Kurdybanu żółtego, spinkę z soliterem czarno oprawnym, pas złocisto przetykany perski. Po czém spytał.

— Xiąże Wojewoda Jegomość czy się już przebudził?

— Już, Jasnie Oświecone Xiąże, odpowiedział pajuk — chwila jak do niego Minister Zborowy przypuszczony został.

— Podajcie mi polewkę, zawołać Tomiłę Tomiłowicza.

Pajucy wyszli, chwila upłynęła, Xiąże stanął w oknie od kościoła, a widząc idących doń nabożnych ludzi, z gniewem się ofuknął. —

— Zawszeż na tych pogan papistów patrzéć będę!

Odwrócił się i usiadł za marmurowy stolik, podparłszy się łokciami, kręcąc wąsa. Jakaś myśl uparta chodziła mu po głowie, bo czoło marszczył surowo.

W tém na srébrnéj tacy wniesiono w srébrnéj wazce polewkę, a za służącym wszedł dorodny dworzanin, poufalec młodego Xięcia Tomiło Tomiłowicz, przezwany od dworzan innych Dubiną, bo w istocie prosty był jak dąb i zdawał się na oko nawet, jak to drzewo, niepożyty i silny.

Słudzy wyszli, Xiąże porzucił polewkę i prędko odezwał się do Tomiły.

— Cóżeś zrobił Tomiło? coś widział? coś słyszał? mów.

— Całą noc strawiłem Jasnie Oswiecone Xiąże Panie, chodząc koło kamienicy Chodkiewiczowskiéj, w któréj ruch jakiś i niespokojność panowała.

— Co to było? widziałeś się z kim?

— Dwa jakieś poczty przybyły w nocy.

— Dwa? jak liczne?

— Po kilku ludzi.

— Cóż to za jedni? dowiedziałeś się?

— Nie byłbym się mógł dowiedzieć, bo nie było sposobu wkraść się do kamienicy, rzekł Tomiło, ale szczęściem ktoś tam już pożno w noc wysłał dworzanina po wino i z tegom dopiéro dobadał.

— Cóżeś wybadał?

— Nic zaiste ważnego, odpowiedział Tomiło, to tylko że przybyli: P. Barbier jakiś Francuz, który mówią, jakem się dziś dowiedział, służył w wyprawach około fortec i obozów, i drugi P. Stanisław z zagranicy, wychowaniec Starosty, który był wysyłany dla nauki sztuki wojennéj.

— Myślą się już w kamienicy fortyfikować, krzyknął Xiąże Janusz—ale zjedzą djabła papiści, lojoliści przeklęci! Gdyby wysoka była jak wieże ich Kościołów, jeszcze jéj dostaniemy, choćby przyszło miasto zburzyć—i—Tu uderzył pięścią w stół aż kubek z polewką wywrócił i wstał Xiąże Janusz.

— Cóż więcéj? Nie starałeś się przekupić tego dworzanina?

— Spoiłem go wczoraj z P. Adamem, i jeszczem dziś na wino zaprosił, może co z niego wycisnę.

— Probuj, rzekł Xiąże Janusz, czyli przez niego nie można by otworzyć do kamienicy Chodkiewiczowskiéj i Xiężnéj wstępu.

— Zdaje mi się że będzie można — rzekł Tomiło, ale jeszcze nie jestem pewny.

— Znałbyś łaskę moją dla siebie, gdyby ci się to udało.

— Począłem tylko, nie wiém czy moje staranie W. X. Mość pochwali.

— Cóżeś tam zrobił?

— Spoiwszy go wczoraj, odjąłem mu był klucz z kieszeni od małéj furtki na Zamkową ulicę z kamienicy Chodkiewiczowskiéj i wycisnąłem go sobie na wosku—Może się przydać.

— Dobrześ zrobił, dobrześ zrobił, zawołał Xiąże Janusz. Z niémi wszystkie sposoby dobre; jak oni walczą, tak i my. Każ taki klucz zrobić, dasz mi go jutro. Idź, nie spuszczaj z oka kamienicy Chodkiewiczowskiéj, żebyś wiedział wszystko, cokolwiek w niéj się dziać będzie.

Tomiło skłonił się do stóp Xięciu i wyszedł. Xiąże chwycił szablę, przypasał ją do boku, potém nałożył czapkę z piórem na jedno ucho i posunął się kurytarzami wiodącemi do pokojów ojca. Cichość panowała w téj stronie pałacu, wielki tłum sług, dworzan, i pajuków, hussarzy, stał u drzwi zapuszczonych zielonem suknem w najgłębszém milczeniu. Na widok Xięcia Janusza, ci którzy siedzieli powstali — Xiąże wcisnął się po za zasłonę i puknął do drzwi ojca—Głos dał się słyszéć ze środka.

— Kto?

— *Janussius*, odpowiedziano.

—Wejdź. Na te słowa utworzył Xiąże drzwi i wszedł do wielkiej bogatéj komnaty, podobnéj téj, którąśmy już opisali, lecz wytworniejszéj jeszcze. Podłoga jéj wysłana była przednim perskim kobiercem, ściany makatami wybite, ławy do koła i krzesła okrywał axamit purpurowy z franzlą złotą. Mniéj tu było na ścianach broni, lecz stół wielki u okna stojący założony był xięgami w wielkiéj

liczbie i porozrzucanemi papiéry. Na nim stał także wielki złocony zégar.

Xiąże Wojewoda siedział w krześle, w axamitnéj sukni z łańcuchem złotym u szyi, bez pasa. Twarz miał surową, bladą, oczy potężne wyrazem, czarne, wąs czarny, spuścisty i czarną długą brodę niejako familijną ozdobę. Na twarzy jego malowało się męztwo, zaufanie w swych siłach, niejakaś pogarda i duma, nieposkromione żadném łagodniejszém uczuciem. Rozpogodziło się nieco oblicze, gdy syn wchodził. Podał mu rękę do pocałowania, któréj Xiąże Janusz dotknął ustami i milczący stanął za krzesłem ojcowskiém.

— Cóż nowego M. Xiąże? spytał ojciec (tak go tytułował zawsze).

— Nic, lub tak jak nic.

— A u mnie są nowiny, rzekł wskazując na papiéry Wojewoda.

— Wolno się spytać W. X. M. ojca mego miłościwego, jakie?

— Odpowiedzi Panów Senatorów, którychem uprosił do pośrednictwa między témi

papistami, faworytami a nami, w rzeczy twojego starania się o Xiężnę Zofję, do której połamawszy wszystkie swoje najświętsze obietnice i opisy, nie przypuszczają już WMości. Wszyscy, których sprosiłem, obiecali mi na dzień jutrzejszy zebrać się do mnie, zkąd mają się udać do Kasztellana i prosić go, a raczéj pokazać mu, iż powinien zmienić swoje nieprzystojne postępowanie.— A chce wojny— to będzie wojna i na Boga żywego, sroga wojna dodał Wojewoda unosząc się, wojna, z któréj noga Chodkiewiczów nie wyjdzie!! Co WMość na to? rzekł zwracając się do syna.

— Całuję ręce W. X. Mości, Pana mego i ojca, za Jego pieczołowitość, i dziękuję pokornie za nową łaskę.

— Zdaje mi się, dodał Wojewoda, że gdy Kasztellanowi— zięć mój Kanclerz (Lew Sapieha) PP. Wojewoda Smoleński, Pan Starosta Mozyrski, Pan Kasztellan Zmudzki, P. Kasztellan Krakowski i inni PP. Senatorowie reflexją uczynią, powinienby się pomiarkować, iż za poradą swoich młokosów synow-

ców, owych Jezuickich żaków, źle czyni i na swoją się tylko szkodę i wstyd kusi. Boć mnie nie zmoże, by mu jeszcze drugie tyle Jezuitów pomagało i dwóch niemych Królików — kiedy kraj cały za Radziwiłłem!

— Dowiedziałem się, rzekł Xiąże Janusz, iż Chodkiewiczowie sprowadzili już w sztuce wojennéj biegłych z za granicy, dla fortyfikowania kamienicy swojéj. Wczoraj dopiéro przybyli.

Wojewoda głośno się rozśmiał.

— I oni myślą, że się ze mną mierzyć mogą! zawołał— ze mną i z Radziwiłłami! Chodkiewiczowie ze mną! Ja i moi, czapkami ich zarzucim, pochwami od pałaszy pobijem. Co za zuchwalstwo! — Nie — to oni tylko robią, na postrach, dla pokazania jak dalecy są od zgody — Oni to tak Kopyś i zgodę targują u nas. Nauczyli ich tego Jezuitowie chytrzy, aleśmy i my w ciemię nie bici! Słyszał kto co podobnego!

I Wojewoda zżymał się z gniewu.

— Nie miałeś WM. żadnéj wieści od Xiężnéj Zofji? spytał po chwili spokojniéj.

— Żadnéj, pilnują jéj Argusiém okiem, M. Xiąże, ledwie ją czasem z okna zobaczyć można i to chyba mimo jadąc. Spodziéwam się jednak, że Tomiło komunikację mi z Chodkiewiczowską kamienicą ułatwi, bo już coś począł.

— Pamiętaj tylko WMość, dodał Wojewoda, aby ten drągal i WX. Mości nie wplątał w co. Niechaj on robi, karku nadstawia swego, jakby to z własnego domysłu bez rozkazu niczyjego czynił, bo ci papiści gotowiby ztąd wziąść assumpt do szkalowania nas, że ich zdradą podchodzim. Co Radziwiłłom brzydkie i samo podejrzenie.

— Niech WXMość spokojny będzie o to. Ja mu dałem dobrą naukę, a to chłop sprawny, obrótny i przywiązany.

— Jak się jutrzejsze poselstwo powiedzie Bóg to wie — rzekł Wojewoda do stojącego ciągle za krzesłem Xięcia Janusza, ale niepłonną mam nadzieję, że skutek wziąść powinno; bo kiedy dwunastu poważnych i co najprzedniéjszych Senatorów przełoży tę rzecz, trudno by papiści nie wzięli tego do serca i do

głowy, że się tak, jak oni czynią, łamać obietnic nie godzi. JMPan Kasztellan i tak o włos tylko od bannicji i na mojéj łasce, choć o nię udaje, że nie dba.

Gdy to Xiąże mówił, ozwały się dzwony Jezuickiego kościoła Ś. Jana.

— Zawsze mi bić musi w uszy to nabożeństwo lojolistów, bałwochwalców, lisim ogonem zasłaniających się pochlebców Jezuitów. I niéma już miejsca w mieście, gdzieby ono uszu naszych nie dochodziło, oczu naszych nie raziło.

Xiądz Pastor Zborowy, który w ciągu całéj téj rozmowy między synem a ojcem stał w milczeniu jéj słuchając, odważył się rzec zcicha.

— Długo Bóg czeka i ciérpi, ale nie przeto powątpiéwać potrzeba, że prawdziwa wiara, wiara czysta Pisma Świętego, górę wziąść musi nad przesądnemi obrzędy bałwochwalstwa.

— Miły Xięże Pastorze, odpowiedział Wojewoda, radbym temu z serca wierzył, ale od kilka lat starania nasze w nic idą, bo Król z Jezuitami wielce nam szkodzi; i cośmy

za nieboszczyka Króla Augusta postępowali, to się dziś cofamy.

— Nic to, rzekł Pastor, powoli prawda działa na serca ludzkie. Dozwolmy im wszystką siłę wywrzeć, a potém ich samych bezsilnych weźmiemy. Nie cofa się wiara nasza, ale idzie po całym świecie i co dzień czyni nowe postępy, mimo silnego oporu od Rzymu. Przyjdzie czas i na ten kraj obłąkany, że go Bóg oświecić raczy i da im poznanie swych błędów i prawdy, któréj dziś nie widzą.

Wojewoda westchnął i zapatrzył się w okno, a Xiąże Janusz zaciął wargi. W fizjonomjach obu ich znać było zniechęcenie i brak wiary, brak nadziei, który był czuć się dawał w tym czasie w sercach wszystkich, acz silnie jeszcze się trzymających protestantów. Wielu z nich rzucało nawet nową wiarę. W saméj rodzinie Radziwiłłów były już tego przykłady, a najznamienitszy na Siérotce żyjącym jeszcze, który z Ewangelika stał się tak gorliwym Katolikiem i Katolickiéj wiary podporą.

— Mości Pastorze, rzekł Wojewoda — je-

śli będziecie dziś widzieć P. Wojewodę Smoleńskiego, powiedźcie mu, że go czekamy jutro, otwartemi sercem i rękoma.

To znaczyło pożegnanie, a X. Pastor Zborowy nizko kłaniając się wyszedł. Zostawszy sam na sam syn z ojcem, kilka jeszcze słów do siebie przemówili, potém Wojewoda zasiadł nad papiéry i przyzwał pisarza swego, a Xiąże Janusz ucałowawszy znowu rękę ojcowską wysunął się z komnaty, i kazawszy sobie podać konia — wyjechał w miasto.

VI.

Kasztellan i Xiężna.

VI.

Kasztellan i Xiężna.

Tegoż samego poranku wielki był ruch w Chodkiewiczowskiéj kamienicy. Spodziewano się co chwila Pana Starosty Żmudzkiego, a P. Kasztellan Wileński do-

wiadywał się przez sługi, czyli już nie przybył. P. Barbier z P. Stanisławem oglądali i obchodzili kamienicę, dla przekonania się co w niéj dla umocnienia uczynić będzie można i jak ją najlepiéj w stanie obrony postawić, na przypadek oblężenia. Mularze i czeladnicy stali na ich rozkazy gotowi rozbijać mury, poprawiać, wyrzynać okna i otwory na smigownice i działa. Służba z ciekawością przyglądała się tym przygotowaniom, które zdawały się zapowiadać wojnę, wojnę o któréj wszyscy mówili prawda, lecz nikt jéj jednak spełna nie dawał wiary, tak była dziwną rzeczą dla wszystkich. W mieście wiedzieli dobrze mieszkańcy o zajściu Chodkiewiczów z Radziwiłłami, wiedzieli o spisywaniu wojska i odgróżkach wzajemnych, nikt jednak nie przypuszczał, żeby aż do tego przyjść miało, aż do rozlewu krwi bratniéj. Lecz tego dnia dopiéro rozeszła się wieść po Wilnie, że kamienicę Starosty Żmudzkiego nakształt fortecy umacniają, wybijają strzelnice na działa, zamurowują słabsze miejsca, gdzieby łatwiéj wyłomy uczynione być mogły.

Mieszczanie zastanawiali się idąc ulicą, spoglądali na mularzy stojących w fartuchach z kielniami w ręku po dachach kamienicy; głowami kiwali, i mówili do siebie.

— Źle coś panie Macieju koło nas — kiedy tu już fortecę w środku miasta robią.

— Oj źle, Bazyli Iwanowicz, trzeba się nam z miasta wynosić, za nim tu wojna przyjdzie.

I szli daléj niosąc popłoch po mieście. Lecz najniespokojniejsi byli ci, którzy trafem bliżéj kamienicy Chodkiewiczów mieszkali i lękali się żeby niewinną nie padli ofiarą téj wojny domowéj. Ci ze drżeniem poglądali na przygotowania czynione, bledni i milczący, rozpytywali się o liczbę wojsk, która rosła w ustach ludu; smutni, byliby poprzedawali domy swoje za lichą cenę, gdyby się je kto odważył kupować.

Tym czasem P. Barbier przypasawszy sążnistą szpadę, w kapeluszu z piórami, w czarnym płaszczu, kręcąc wąsa, przechodził się po kamienicy, łaził, oglądał, drapał się aż na dachy i wskazywał robotę mularzom. Rozkazał on naprzód podwoić mur od strony

Cerkwi Bogarodzicy, ku obcemu wychodzący dziedzińcowi, kędy łatwo go było przebić a wyłom uczyniwszy do kamienicy się wdrapać; znaczył miejsca, z których oblegających najlepiéj można razić ze smigownic i takownic, kazał tam podnosić murki, indziéj zbijać, w inszych tylko wązkie wyciosywać strzelnice, rozszérzające się na działa u dołu. Ruch był wielki, ale wszystko odbywało się w cichości, spokoju, milczeniu. Gdy się to dzieje w Chodkiewiczowskiéj kamienicy na ulicy Zamkowéj, Kasztellan spokojnie modli się w swoim pałacu pod Bernardynami. Jeszcze go był wówczas nie oddał Zakonnikom Ś. Franciszka; pałac jego stał jeszcze z ogrodem przytykającym do ich klasztoru, a z drugiéj do PP. Bernardynek ubogiego domku; którego krzyżyk raczéj zdawał się szpital niż klasztor oznaczać, tak jego pozór był ubogi.

Kasztelańskie domostwo, zwane wówczas pospolicie Kasztellanją, nie było ani wielkie ani wspaniałe; był to raczéj wiejski dom murowany. Téj wiejskiéj powierzchowności użyczał mu otaczający go ogród. Cichość tu pa-

nowała, przerywana tylko śpiewem, który do okien dolatywał z Bernardyńskiego chóru. Mniéj wspaniały był dwór Kasztellana od Wojewodzińskiego, mniéj snać w rygorze trzymany, ale swobodniejszy. Nie znać tu było grozy, choć nie brakło porządku. Pałac był czysty, kurytarze jego wysypane piaskiem białym, w komnatach jaśniały ściany obrazami przodków począwszy od owego Chodka Borejki, od którego wiedli się Chodkiewiczowie, przeplatane wyobrażeniami świętych i wypadków z historij kościoła i kraju. U każdych drzwi było naczynie z wodą święconą srébrne, przybite wedle zwyczaju. Każdy się prawie żegnał, kto wchodził.

Służba nie chowała tu kości i kubków pod poły, jak w Radziwiłłowskich korytarzach, bo gra u Kasztellana była zakazana surowo; lecz przystojnie się xięgą pobożną, lub rozmową zabawiała. Sam Kasztellan ranku owego siedział jeszcze w swojéj komnacie obitéj ciemną materją. W izbie téj dowody pobożności gospodarza przeważały nad inne ozdoby i sprzęty. U skromnego łoża wisiał krzyż

i dyscyplina druciana obok szabli i misiurki; na xięgach Kroniki Bielskiego (naówczas zakazanych a jednak czytanych przez Katolików) przy Kronice Matysa Strykoviusa Praekonidesa, leżały Żywoty Świętych, Skargi i Relacja Dysputacji X. Smigleckiego z heretyckiemi ministry odbytéj, mnóztwo też Jezuickich panegyryków i świstków ówczesnych, oręży owéj wojny o wiarę, która się właśnie między Katolikami a nowowiercami toczyła. Kasztellan tylkoco był powrócił z rannéj mszy od Xięży Bernardynów i śniadał sam jeden zamyślony.

Puknięto do drzwi.

— Kto tam?

— *Servus tuus Domine*, *Joannes*.

— Proszę Wmości, proszę.

Kasztellan kilka kroków od stołu postąpił na spotkanie wchodzącego.

Przybyły był to Jezuita; poznać to było, po czarnéj obcisłéj sukni, po poziomém, pokornem a chytrém spójrzeniu, po złożonych na krzyż rękach, zgiętém na wpół ciele. Na głowie jego świeciła świeżo wygolona korona

jak duży talar — Twarz miał bladą, długą, szczęki wyschłe i skóra zmarszczoną pokryte, oczy wpadłe, nos suchy i wystający, usta szérokie, lecz niedojrzane dla cieńkich warg, policzki wpadłe.

Postąpił Ojciec Jan Jezuita i skłonił się i ręce złożył i dał krok i znowu ukłon i jeszcze ukłon, aż go Kasztellan ścisnąwszy za rękę posadził w krześle, którego on tylko cząstką swego ciała zajął, wtuliwszy czapeczkę pod pachę.

— Cóż tam nowego Ojcze? spytał Kasztellan.

— U nas w Collegium nic, rzekł Ojciec Jan. — Wyszedłem na miasto z Socjuszem, który tu do OO. Bernardynów miał interess względem kościelnéj kapelli naszéj; i korzystałem z okoliczności, żeby JW. Panu złożyć powinne uszanowanie i cześć.

— Bardzo Wam dziękuję, rzekł Kasztellan otwarcie; a nic napijecie się co, albo nie zjecie!

Jezuita się pokłonił i jakby mimowoli język jego na usta spalone wyśliznął się.

— Wiadomo JW. Panu, rzekł, że ustawy naszego zakonu zabraniają nam pić i jeść u Externów.

— To dla młodzieży, rzekł Kasztellan; Wam zaś Ojcze, który excessu nie popełnicie, godziłoby się — pozwolicie — I klasnął Kasztellan.

— Nie, nie, JW. Panie, odrzekł prędko Jezuita, wszyscyśmy przywykli szanować ustawy zakonne, a przytém adwent i post.

Kasztellan nie nalegał więcéj.

— Jakże się ma wasz szanowny Rektor Collegium, Ojciec Garsias Albianus?

— Dzięki Bogu że go w dobrém zdrowiu trzyma i zachowuje, bo czasy są ciężkie i potrzeba wodza Zakonowi do wojny.

— Macie Ojcze słuszność, macie słuszność, odpowiedział Kasztellan — Kościół wojuje właśnie i srogą ma wojnę z heretyki na ramionach.

— Najwięcéj nam dopieka sąsiedztwo ich z naszym kościołem Św. Jana, które się nie obejdzie bez szyderstwa ze świętych obrzędów. Nie wyjdzie żaden z naszych na ulicę, żeby nie spotkał ich wejrzeń, nie dostał po twarzy

błotem, lub szyderstwem w oczy. Oni zdają się tylko czatować na nas i na naszych, tak, że młodzieży nawet, do Akademji uczęszczającéj, nie przepuszczają. A najwięcéj nas to boli, dodał wzdychając Jezuita, że to miejsce, skażone dziś pobytem heretyków, było pomieszkaniem świętobliwego naszego pastérza JM. Xiędza Cardynała Św. Syxta (Jerzego X. Radziwiłła) wielkiego protektora naszego Zakonu, o czém powiedzieć słusznie można słowy Pisma Św.— że to był dom modlitwy, a oni go zrobili jaskinią łotrów.

Kasztellan na samo wspomnienie Radziwiłłów zasępił czoło i rzekł.

—Cóż robić Ojcze, nie jednym oni Wam dają się czuć boleśnie. I mnie oni niemało zaleli za skórę, a ja to wszystko ofiaruję Bogu i do końca wytrwam. To mówiąc Kasztellan siwy już włos pogładził, jeżący mu się wpośrodku głowy i musnął siwiejącego wąsa.

—JWPanu coś oni bez wątpienia nowego gotować muszą. Niezwykły bowiem ruch i

szastanie w pałacu postrzegamy — rzekł X. Jan.

—Cóż, gotują się już do wojny! zawołał Hieronim Chodkiewicz.

— Nie widać tego, rzekł Jezuita — Lecz któż pojmie, co oni czynią? Latają tylko posłańce na wszystkie strony i przybiegają ze wszystkich stron, przynoszą listy i wysyłają bez ustanku — Jakieś wielkie przygotowanie. Słychać iż wielu PP. Senatorów przybyć mają dziś do Wilna.

— Wiém ja o tém, rzekł Kasztellan—Zapewne o jakiémś pojednaniu myśléć muszą, ale nie czas już o tém.

— I jabym sądził, że to coś około zgody być musi, bo Wojewoda Radziwiłł wielce, jak jego dworscy głoszą, niespokojny jest; a niektórzy z jego partji odradzają mu silnie wojnę, i reflektują, na jakąby ztąd szkodę reszta przyszła, gdyby partykularni z sobą bić się poczęli; i jakąby ohydą okrył się ten, coby był piérwszym początkiem zaburzenia. Dziś rano odwiedzał nas jeden tajemnie nawró-

cony z Wojewody dworu, i mówił, że słyszał o jakiémś poselstwie do JW. Pana.

— Do mnie? od kogo? spytał Kasztellan prędko.

— Od Wojewody.

— W jakim celu?

— Tego jeszcze nikt spełna nie wié — Powiadają, że jutro ma mieć miejsce.

— Jutro! dziś, powiedział Kasztellan, zawszem gotów.

Jednakże postrzedz było łatwo, że Kasztellan stał się niespokojny tą nowiną — przeszedł się po komnacie przed siedzącym Jezuitą i spytał.

— Kogoż tam do mnie wysyłają?

— To pewne owych PP. Senatorów, którzy, jak wieść niesie, dziś z różnych stron tu przybędą.

— Tak, tak! dodał: Chodkiewiczowi Senatorów? takich jak oni heretyków, odstępców, konfederatów tegorocznych, rokoszan, co się przeciw nam sprzysięgli i opisali, przeciw prawu, przeciw królowi, przeciw porządkowi! Dobrze to, że bratanek mój P. Starosta dziś

przybędzie, będzie świadkiem i pomocą przeciw tylu.

Jezuita stał jeszcze, potém nizko się ukłonił, po raz, po dwa i po trzy wyrzekł solennie.

— Laudetur Jesus Christus.

I wyszedł.

Kasztellan rozkazał zajechać kolassie i niespokojny, wdziawszy na się szubę sobolą, karmazynowym axamitem okrytą, z długiemi po pięty rękawami, czekał koni, których wkrótce tentent usłyszał. Dworzanin oznajmił że konie stały, i Kasztellan wyszedł. U wrót czekała kolassa, skórą złoconą wybita i cwiekami z główki złoconemi. Koła jéj były nizkie, siedzenie niewygodne.

W głębi siedział sam Kasztellan, woźnica w ferezji na przedzie, dwóch hajduków u stopni, kilku konnych dworzan jechali obok, kilku z tyłu; kozacy nadworni z przodu dla rozpędzania przechodzących, torowania drogi.

Kasztellan wydał rozkaz:

Do kamienicy Pana Starosty Żmudzkiego — I konie strojne w pukle pąsowych

piór, wolno ruszyły naprzód, mijając pałac Sapieżyński Kanclerza Lwa, potém zaułkiem Bernardyńskim na ulicę Zamkową; ztąd wprost już mimo Radziwiłłowskiego pałacu ku kamienicy Chodkiewiczowskiéj Jana Karola.

Odwrócił się z umysłu ku Cerkwi twarzą Kasztellan, gdy mimo okien Wojewody jechał, a służba ciekawa z bramy wypadła patrząć na niego, szepcząc i smieszki strojąc. Poważny dwór Kasztellana zdawał się na to nie zważać; lecz w chwili, gdy okna mijali, uchyliło się jedno, ukazała się czarna broda Wojewody, i wyraz, *bannita*, zcicha wyrzeczony, padł na ulicę.

Nie odwrócił się Kasztellan, lecz twarz jego zapłonęła, ręka ścisnęła mocno za rękojeść szabli, a w duchu wyrzekł pobożny.

— Ofiaruję to do twoich ran Jezu Chryste, dopomóż wytrzymać.

Kolassa chyżo przesunęła się pod murami Kardynalij, i zastanowiła się u wrót kamienicy.

Kasztellan wysiadł.

Gdy turkot powozu dał się słyszeć w ulicy, z okien Chodkiewiczowskiego pałacu ukazała się nagle głowa młodziutkiéj dziewicy, bladéj, we włosy tylko przystrojonéj — która mignęła i znikła. Kasztellan wchodził w bramę, w któréj zastał Marszałka Dworu i kilku dworzan z odkrytemi głowy stojących. Był tam i P. Barbier również z głową odkrytą, lecz nieco swobodniejszą postawą.

— Dzień dobry WMościom, niéma Starosty — rzekł Chodkiewicz.

Dotąd niéma, odpowiedział Marszałek, ale się go co chwila spodziéwamy—ono co go nie widać.

— Oznajmić Xiężnie, że się z nią będę widział. — Wskazał ręką, i dworzanin jeden pobiegł wnet wschodami na górę.

— P. Barberjusz! Witam WMości. Kiedy tu przybyłeś? rzekł po chwili Kasztellan.

— Wczora dopiéro wieczorem, a dziś już wziąłem się do roboty bez odwłóki.

— Do jakiéj roboty?

— Do fortyfikacji kamienicy — odpowiedział Francuz.

Kasztellan uderzył nogą o ziemię niecierpliwie.

— Co WMość mówisz?

— Taki miałem rozkaz P. Starosty.

— I jużeś rozpoczął roboty.

Barbier wskazał ręką na ludzi pracujących i wznoszące się rusztowania, na kotły z wodą gorącą, któréj musiano dla zimna do murów używać.

—Niedobrze, że tak odkrycie to robicie— mruknął Chodkiewicz. Wszyscy to widzą z ulicy, gadanie rośnie. Zwołajcie zpołowę ludzi, będzie jeszcze czas na to, róbcie tak tylko, jakbyście co poprawiali.—Nie pokazujcie tego, nie mówcie, że fortyfikujecie. Na co dawać assumpt złym językom ludzkim i tak zawsze skorym.

—Nadewszystko nie wybijajcie w murze strzelnic na ulicę — Można je urządzać zakryte.

— Kilka jest już wybitych — rzekł Barbier—nie miałem rozkazu tajenia się z robotą.

— Ja WMości nie winię, lecz na co w Panu Staroście ta popędliwość.

Dworzanin posłany wrócił i zawołał:

—Xiężna Pani oczekuje na JW. Pana na górze.

Kasztellan skinął głową i poszedł nieukontentowany. Dał znak ręką służbie, aby pozostała na dole, i sam jeden, przeszedłszy schody, otworzył drzwi wielkiéj sali, w któréj na niego oczekiwała Zofja Olelkowiczówna Xiężna Słucka.

Sala ta z oknami od ulicy Wielkiéj była cała ubrana w portrety i obrazy, ogromny pająk zwieszony ze stropu ją zdobił. Kilka weneckich w srébrnych ramach zwierciadeł, zégar stojący, wysokości kilku łokci, w skrzynce ozdobnéj szklannéj, zapełniały miejsc resztę. Dokoła długim rzędem stały krzesła z kręconemi nogami białe ze złotém, stoły marmurowe w postumentach, których nogi wyobrażały delfiny, gryfy i sfinxy skrzydlate.

Xiężna stała wpośrodku gdy wszedł Kasztellan. Była to blada, wysmukła blondynka, z jasnemi oczyma, smutną twarzą i wzrokiem, z usty blademi. Okrywała ją suknia z grubéj ciemnéj materji fałdzista, oszyta forbotami, z ogonem wlokącym się po ziemi. Włos jéj na wierzchu głowy był zebrany i bogatą

wstrzymany spinką. Podwyższały ją nieco korki trzewików, dodawała fałdzista suknia na oko wzrostu i tuszy, lecz pomimo tego Xiężna Zofja była jeszcze tak cienka, tak delikatna, jak rzadko niewiasta, w owych mianowicie czasach. Na jéj twarzy panującym wyrazem był rozlany smutek, któren się zdawał wrodzonym jej, nierozdzielnym od niéj. I nie dziw —

Była siérotą. Z wyrazem głębokiego smutku łączyła się jakaś rezygnacja, jakaś cierpliwość; ale z oczu jasno-niebieskich strzelało mimo to życie i uczucie.

Gdy Kasztellan wszedł, posunęła się Xiężna do jego ręki i ucałowała ją pokornie: na co on odpowiedział skłonieniem i ucałowaniem jéj w czoło. Poczém dawszy jéj znak ażeby usiadła, przysunął ku niéj krzesło i miał mówić, gdy ujrzał w téj chwili dopiéro u drzwi lewych stojącą sztywną i nieruchomą P. Ochmistrzynię.

Była to osoba dobrze już w wieku, a jednak mocno strojna, kołkiem prosta, a z oczyma wytrzészczonemi tak, jak się to tylko godzi, bez

obrazy Bozkiej, mieć żabom na tym świecie. Suknia na niéj wyfałdowana była aż do śmiészności, piersi aż do obrzydliwości odsłonione, chociaż wcale nie było tam na co patrzéć. Na głowie co się działo, tego język nie wypowié! Czegoż bo tam nie było na téj głowie! Były naprzód włosy swoje i włosy pożyczane, nastrzępione, do góry wymuskane, świécące, a co najgorzéj, zdradzające, że nie z jednego wszystkie wyrosły miejsca rozlicznemi odcieniami pasów. Były tam i trzęsidła i wstążki i spinki i kwiatki i piórka i szkiełka. Cały ten monstrualny czub francuzki, wznoszący się na łokieć w górę, nigdyby w mniéjsze drzwi pokorniéjszego domu się nie wmieścił.—

P. Ochmistrzyni czekała jak Kania dészczu spójrzenia Kasztellana, i doczekawszy się go wreście, jęła się kłaniać tak, zapomniawszy na ów sławny czub swój, że go dobrze nadwérężyła przez zbytnią pokorę. Kasztellan powitał ją kilką słowy, ale zaraz wyprawił. Nie zaręczamy, czy nie pozostała przy drzwiach, ale to pewna że wyszła.

Zaledwie się za nią drzwi przymknęły, Ka-

sztellan zwrócił się ku Xiężnie, którą zbadawszy wejrzeniem, rzekł:

— Mościa Panno, dochodzicie WMPanna lat słusznych i rozstajecie się z dzieciństwem dzięki Bogu, skończycie oto szczęśliwie rok szesnasty w Lutym — Jest za co Panu Bogu podziękować.

— I Wam, odpowiedziała Xiężna, którzyście opiekę nad siérotą mieli.

— Czyniliśmy do czego nas, mego ś. p. brata Starostę i mnie rodzic Wasz zacny zobowiązał. Czyniliśmy to z całego serca i duszy, myśląc o dobru Waszém i pomyślności.

— Umiém też i potrafię Wam, jak ojcu być wdzięczna, odrzekła Xiężna.

— Ufając téj Waszéj wdzięczności i dobremu Waszemu sercu, odzywam się do Was, mówił daléj Kasztellan, jáko już dorosłéj i statecznéj niewiasty, która wkrótce da Bóg dójdzie lat pełnych. Posłuchajcie mnie. Nigdym z Wami jeszcze nie mówił o sprawach ważniejszych, bom w Was szanował szczęśliwy wiek dziecinny, którego nie godzi się mącić i zasępiać. Dziś, jeśli Wam co niemiłego powiém,

weźcie to jako początek życia, które nie zawsze jest tak pogodne jak dziecinne lata, a Bóg zsyłając nam cierpienia, przypomina niémi niebo ludziom.

— Cokolwiek bądź mi powiécie, odpowiedziała Xiężna poważnie i spokojnie, lecz mimowolnie rumieniąc się lekko, przyjmę to wszystko z pokorą i uszanowaniem.

— Ani wątpię, rzekł znowu Kasztellan. Wiadomo jest Wam, że Xiąże Wojewoda Wileński starał się o Waszą rękę dla syna swego Xięcia Janusza.

Tu Kasztellan spójrzał na Zofję; ona udawała spokojność; lecz gdy wspomniał imie Janusza, zapłoniła się, pobladła i widocznie pomięszała, Kasztellan się zasępił, lecz mówił dalej.

— I nieboszczyk brat mój i ja zezwoliliśmy na ten związek chętnie, widząc w nim i zacność rodu stosowną i majątek ze strony Xięcia odpowiedni Waszemu i nadzieje wszelkich pomyślności. Na mocy naszego zezwolenia bywał tu Xiąże Janusz i starał się o przyjaźń Waszą.

Kasztellan się zastanowił, Zofja milczała.

— Powiedzcie mi szczérze, powiedzcie mi otwarcie, tak jak opiekunowi, tak jak ojcu, pozyskał on ją czy nie?

— Wola opiekunów, będzie wolą moją — odpowiedziała Xiężna.

— Ja nie o to Was pytam, rzekł Kasztellan, ani to chcę wiedzieć, czy W. X. Mość posłuszną będziesz, bo o tém chwili nie wątpiłem—lecz—

— Cóż mam powiedzieć?

— Zyskali Xiąże Janusz Waszą przyjaźn?

Xiężna milczała Kasztellan podobnie —

— Wahacie się z odpowiedzią? Czuję — rzekł, że mię nie chcecie obrazić—żeście usłyszéć coś musieli o sporach, że nareście przywiązałaś się Xiężna do niego—Powiedzcie mi to, powiedzcie szczérze?

Xiężna jeszcze milczała.

— Nie dasz mi więc odpowiedzi? spytał jeszcze raz Kasztellan i czekał znowu.

X. Zofja powstała, twarz jej zapłoniona ożywiła się, oczy zajaśniały —

— Chcecie po mnie szczérego wyznania, rze-

kła—lecz na cóż się ono zda? gdy nie moja wola lecz Wasza mną rządzi?

— Przynajmniéj jednak, odparł Kasztellan, Możesz WMość być pewna, że musem i gwałtem nic z nią robić nie będziemy, a jeśli ja chcę znać jéj skłonność, to dla tego, abym na nią miał wzgląd!

— Wy mnie znacie, Wy wszystko wiecie, i nie potrzebujecie mnie pytać — odpowiedziała Xiężna Zofja.

— Cóż to Wy nazywacie że Was znam? Ja chcę Was znać lepiéj, rzekł Kasztellan, lepiéj niżeli ze słuchów i plotek—Ja chcę od Was to wiedzieć.

— Chcecie tego? odparła Xiężna — nie obwiniajcież mnie za to, coście sami wywołali z ust moich. Ja jestem posłuszną, znam moje obowiązki, znam dla Was wdzięczność wieczną—Ja Was szanuję i cenię, wiém że Wy jesteście przeciwni X. Januszowi, lecz ja — ja Xięciu Januszowi *sprzyjam*.

— Wy mu sprzyjacie! zawołał Kasztellan, jąkby się tej odpowiedzi obawiał i nie spodziéwał — Tak że jest, takli jest w istocie? Tak?

— Tak jest, odpowiedziała śmiało Xiężna.

— I chcecie go za małżonka? spytał jeszcze.

— Dość powiedziałam — szepnęła cicho Xiężna.

— Teraz posłuchajcie więc, co Wam powiém, rzekł Kasztellan. *Wy mu* sprzyjacie, on *nas* nienawidzi, Wy winniście *nam* wdzięczność, on *nas* prześladuje. *Wy* jesteście za Radziwiłłem, Radziwiłłowie są nieprzyjaciółmi *naszemi*: oni mnie, mnie, co to Wam mówię, bannicją grożą, oni naszéj wiary (nie Waszéj prawda) nieprzyjaciółmi, przeciw nam, przeciw niéj, przeciw Króla się wiążą; oniby nas mogąc, wszystkich w łyżce wody potopili—I Wy im sprzyjacie?

— Powtarzam Wam, odpowiedziała Zofja spokojnie, że znam Waszą władzę nade mną i będę Wam posłuszna.

— Nie chodzi o to, abyś WMość była posłuszna, — jestem tego pewny; lecz żebyś się przekonać chciała, co oni są za jedni!

— Nie moja to rzecz i nie białogłowskiego rozumu te sprawy sądzić.

— Jest to rzecz wszelkiego rozumu — nie-

chciejcie swojego poniżać Xiężno. Chciejcie mnie posłuchać. Gdy Xiąże Wojewoda starał się o Waszą rękę dla syna, gdyśmy mu ją z nieboszczykiem bratem przyrzekli, wiécie jak on się nam za to wypłacił?

— Nie wiém —

— Oto pozwał nas, aby wyzuć z majątku. Oto prześladuje i odgraża się wojować z nami i wojsko spisuje i na nasze głowy się sprzysięga. Powiedzcież, możecie Wy, jeśli macie ku nam jakąkolwiek wdzięczność, jeśli macie ku nam serce dziecięce, być żoną X. Janusza, powiedzcie.—?

— Nie — odpowiedziała stale i zimno Xiężna—Nie—Ja to widzę.

— Bóg Wam zapłać za to słowo, które mnie ożywia, rzekł Chodkiewicz podnosząc się i prostując; wy to czujecie poczciwie, coście dla nas powinni. Wierzcie mi, tamto przywiązanie wynijdzie Wam łatwo z serca.

— Nigdy—cicho odpowiedziała Zofja.

— Nigdy? podchwycił Kasztellan, nigdy? przecieżeście sami przyznali, że żoną Xięcia Janusza być nie możecie?

— Lecz mogę mu, dodała Xiężna, zacho-

wać moje przywiązanie, szacunek do śmierci,—i to uczynię.

Kasztellan ruszył ramionami.

— Dla saméj Was, rzekł, trzeba, abyście się tego pozbyli, co zowiecie Waszą skłonnością dla Xięcia Janusza. Połączenie z nim jest rzeczą niepodobną. Im więcéj on się o nie dobijać będzie, tém ono niepodobniejszém się stanie. Im srożéj nalegać zechce, tém nas więcéj zajątrzy: pozbądźcie się więc tego, co Wam tylko młode lata zatruć może.

— Nigdy — odpowiedziała Xiężna — Lecz nie myślcie, dodała, aby to winne dla Was posłuszeństwo naruszyło—I to *nigdy* — i to— *nigdy*—

— Jakże to oboje pogodzić z sobą potraficie?

— Bóg to uczyni, a ja nie wiém jak—powiedziała Xiężna. Będzie jak On rozkaże i zrządzi.

— Posłuchajcie mnie jeszcze—rzekł Kasztellan; nie wątpię że się to odmieni. Tym czasem wymagam po Was Xiężno, rzeczy, którąście już sami za słuszną uznali. Pojmujecie,

że w takiém położeniu, w jakiém my jesteśmy, byłoby dla nas upokorzeniem, upodleniem ostatniém, byłoby pociechą nieprzyjaciół naszych, gdybyśmy Cię im oddali. Lecz Bóg to tylko widzi i wié, jak się wszystko skończy, Bóg to może odmienić. Zresztą w umowach naszych stoi, że *bez Waszéj woli* i zgodzenia się Xiężno, oddać Was nie możemy, że przymusem tego nie uczynim. Oni się trzymają umowy i my jéj nie odbiegamy. Potrzeba więc, abyście Wy, Wy sami, gdy tego będzie potrzeba, powiedzieli Xięciu Januszowi, że jego być, nie możecie—nie chcecie —

— Kto? ja? zawołała Xiężna Słucka porywając się, żebym ja to jemu powiedziała, kiedy co innego myślę! Na cóż? dla czego? Alboż wy nie jesteście mi opiekunem, alboż nie macie władzy nade mną, żebyście tego i beze mnie rozstrzygnąć nie mogli. Na cóż *ja* to mam mówić?

Kasztellan przejęty głosem młodéj dziewczyny stał i milczał. Odpowiedzi mu brakło, a raczéj przejął się był jéj położeniem i nie-

śmiał już nalegać, widząc i tak tyle uległości i poświęcenia z jéj strony.

— Pomyślcie, rzekł po chwili. Sprawa się ta bez Was nie rozwiąże, jeśli Radziwiłłowie, jak sądzę, po umowę się odezwą spokojnie i do Was pójdą. My Was postawić będziemy musieli, Wy swemi usty powiécie Xięciu Januszowi—Nie.

— Lecz Xiąże Janusz znać będzie że to kłamstwo, zawołała Xiężniczka.

— Zkąd? spytał surowo Kasztellan, alboż to godzina względów daje zaręczenie za całą przyszłość—Albożeście mu przyrzekli?

— Dotąd nie; bez Waszéj woli nie byłabym tego uczyniła.

— Gdybyście to nawet uczynili, odrzekł Kasztellan, dziecięce przyrzeczenia nie mają żadnego waloru, a w Waszych latach dopiéro prawa dozwalają przyrzekać i obowiązują przyrzeczeń dotrzymać.

Xiężna milczała i słuchała.

— Stryju i opiekunie, rzekła po chwili wstając, nie żądajcie po mnie ofiary nad siły i kłamstwa, którym usta moje i serce się brzy-

dzi. Ja tego nie powiém, ja nie mogę tego powiedzieć Xięciu Januszowi; on wié, on czuje, że jestem mu skłonną. Na cóż się przyda kłamstwo moje, choćby ono w chwalebnych było wyrzeczone powodach. Ja nie powiém kłamstwa, nie wystawujcie mnie na taką próbę, ja tego nie uczynię, bo nad lata i nad siły moje.

— Nie nad siły, odpowiedział Kasztellan, bo WMość, jak widzę, wolę macie i stałość nad lata. Niceby dla Was nie było trudnego, gdybyście chcieli tylko.

— Ja na wszystko się zgadzam, czego po mnie wymagacie, powiedziała X. Zofja przyklękając i całując Kasztellana w rękę, którą on śpiesznie usunął—lecz nie chciejcie, żebym sama to mówiła Xięciu Januszowi—Dość będzie gdy Wy to ode mnie powiécie.

— Chciejcie rozważyć i swoje i nasze położenie, mówił daléj starzec. Jeśli przyjdzie do tego, że w obec Was o umowę się dopomną, że Was pytać będą, a Wy uniosłszy się jakąś fałszywą chęcią prawdy powiécie X. Januszowi, żeście mu skłonni i życzliwi. Powiedzcie, rozważcie jakie będzie nasze położenie w téj

chwili. Oto, upokorzeni, oddać Was będziemy musieli, milczéć i wstyd połknąć.

— Więc nie dopuszczajcie aby do tego przyszło, rzekła Xiężna Zofja. Od Was to zależy, w Waszéj to mocy, nie przywodźcie mnie do tego, odpowiedzcie mu sami, czyńcie co chcecie. Ja słowa nie rzeknę i będę posłuszną.

— Macie więc w wyrzeczeniu jednego słowa skrupuł sumienia, nie chcecie popełnić kłamstwa?

Kasztellan rzekł to, inaczéj nie mogąc pojąć oporu Xiężnéj, jak wedle swych uczuć i myśli.

— Nie—odpowiedziała Xiężna, ale to jest nad siły, ja tego uczynić nie potrafię.

—Nawet dla ocalenia nam wstydu? spytał Kasztellan.

— Nawet dla ocalenia życia—odpowiedziała Zofja.

— Kasztellan tonem i słowy się zastanowił, wziął czapkę i zmarszczywszy czoło, rzekł.

— Jesteście rozumni nad lata, i wola Wasza nad lata; czyńcie co się Wam podoba, a my się starać będziemy, aby do tego nie przyszło, iżbyście Wy w téj sprawie wyrok dawać mieli.

Xiężna ucałowała rękę Kasztellana i pożegnała go w milczeniu—potém cicho ozwała się.

— Niéma więc żadnéj nadziei zgody?

— Żadnéj; na Boga, ani nadziei, ani podobieństwa! Radziwiłłowie spisują na nas wojsko, wszyscy się do nich łączą heretycy. Wszyscy nieprzyjaciele Katolików i Króla, wszystko się gotuje do wojny, która niechybnie grozi. Cała Litwa bierze się z nami, lub przeciw nas—a o *was* do oręża—

— O mnie! spytała Xiężna, tak że ja wiele obchodzę Xięcia Janusza!

O! nie myślcie tego, zawołał Kasztellan, który żwawo myśl, jaka mu przyszła do głowy, pochwycił i wyłuszczył. Jeszczeście byli dziecięciem, kiedy to było ułożono o Was. Nie o Was to chodzi, ale o Słuckie i Kopylskie Xięztwa, ale o dobra i majętności Wasze, które w dom ich wniesiecie—Nie Was to oni kochają, ale bogactwa wasze!

— Nie mnie! nie mnie! To Wojewoda mógł tak myśléć, może tak czynić, ale Janusz, onby tego nie potrafił, ośmielona odpowiedziała Zofja.

— Niedaleko, wierz mi Xiężno, pada jabłko od jabłoni, rzekł Kasztellan; zresztą nie moja to rzecz was przekonać, ale czasu. Bądźcie zdrowi, a nie powtarzajcie bez potrzeby nikomu o tém, o czémci my tu mówili z sobą.

To mówiąc Kasztellan powtórnie w czoło Xiężnę pocałował, ona go w rękę; i tak się rozeszli. Zaledwie za Chodkiewiczem drzwi się zawarły, wpadła P. Ochmistrzyni do sali, ale już tylko Kasztellański but zobaczyła, i tego pożegnania, po które się tak śpieszyła, nie otrzymała.

— Otoż i nasz Pan Starosta jedzie! zawołała stając w oknie.

Zofja nie słyszała tego, nie poszła do okna, powolnym krokiem udała się do swoich komnat, a za nią wielce zasmucona także Pani Ochmistrzyni powlokła się poprawując swoich fioków na głowie, ciężących niemało ogromem.

Gdy się to dzieje, dwór Pana Starosty Żmudzkiego Jana Karola Chodkiewicza wjeżdża ulicą i długim ciągiem sunie się w Bramę Kamienicy, witany od dworzan i wszystkich mie-

szkańców Wileńskiego pałacu. Ukazał się i Pan Starosta na końcu, jadący konno, przy którym kolassą jechał Xiądz Jezuita Spowiednik jego. Kasztellan Wileński stryj, stojąc na ostatnim stopniu wschodów, piérwszy go powitał z konia zsiadającego.

VII.

Posłowie.

VII.

Posłowie.

Następującego dnia wielki tumult przed Radziwiłłowskim pałacem, którego nietylko dziedzińce, lecz i plac przed nim, napełnione były ludźmi i końmi poczto-

wemi, hussarzami, hajduki, pajukami, kozactwem Panów Senatorów, co się tu byli zjechali. Tłum ten ludu, koni i kolass, wystawiał dziwnéj rozmaitości obraz, któremu ciekawi Wileńscy mieszczanie przypatrywali się stojąc we wrotach kamienic, w oknach i na tych stosach gnoju i śmiecia, które jakby wałem większą część domów opasywały naówczas. Były tam wszelkiéj barwy i kroju stroje: połyskujący hussarze, zamaszyści z długiemi seledcy kozaki, ogromni hajducy, mali pazikowie w opiętych sukniach, i dworzanie szlachta strojni każdy po swojemu, przy karabelach, na koniu. Cała ta ciżba dworska gwarzyła głośno, gdy Panowie u Wojewody na śniadaniu podobnież żywą wiedli rozmowę, przed udaniem się w poselstwie do Kasztellana Wileńskiego, imieniem Wojewody. Brakło jeszcze tylko P. Lwa Sapiehy Kanclerza, zięcia Wojewody, który się był nieco opóźnił, lecz wkrótce i jego poczt się ukazał ciągnący ulicą od Zamku. Sam Kanclerz jechał kolassą i kilku tylko z sobą miał pacholąt. Ledwie już dla ścisku powóz Sapiehy mógł zajechać

do wrót pałacu, mijając ludzi, konie i kolassy wprzódy przybyłych. Wysiadł z niéj w gankach Lew Sapieha, wysokiego wzrostu, mężnéj i wspaniałéj postawy mąż, którego twarz męzką zdobił wąs i bródka krótko ucięta; na głowie strzępiła się odrobina tylko włosów podgolonych. Kanclerz Lew udał się prosto do sali, w któréj już wszyscy zgromadzeni byli Senatorowie. Była to wielka komnata, wysoka, przecięta kilką długiemi oknami, ozdobiona w trofea wojskowe, pozawieszane na ścianach, na obiciu z pąsowego axamitu. Wśród niéj wrzawa była i nacisk, bo wszyscy przybyli rozmawiali żywo i razem. Xiąże Wojewoda z synem gospodarzyli gościnnie przyjmując. Zastawiony był stół wpośrodku, pokryty szytym we wzory, spadającym nizko obrusem, na którym kurzyły się srébrne z potrawami misy i pół-miski. Przy drugim stole był Marszałek Dworu i Piwniczy, mający dozór nad stosami srébrnych naczyń, konwiami, dzbany i flaszami wina, kubki, becherkami i t. d. Dworscy posługiwali. Gdy wszedł Lew Sapieha, znać było, że się już śniadanie po-

częło od półgodziny najmniéj, bo twarze nim ożywione i głosy raźniejsze były, niż na czczo bywają. Witał go uściskiem Pan Wojewoda i Xiąże Janusz, inni Senatorowie ukłonem, inni podaniem ręki — Zrobiono mu wnet miejsce przed stołem, i wrzawa na chwilę przycichła —

— Opóźniłem się nieco, rzekł Kanclerz do Wojewody; ale to nie moja wina, tylko mego zégaru, który mi jeszcze nie tak spóźnioną godzinę mówił, jak jest może w istocie.

— Nie jest jeszcze późno, odrzekł Wojewoda, a na nasze poselstwo, do którego WMościów Miłosiernych Panów uprosiłem, jeszcze wielka pora.

— Wiém, odpowiedział Lew, że Kasztellan w domu, i snać przygotowany na przyjęcie nasze, bo i Pan Starosta Żmudzki przed godziną do niego przyjechał i Pan Alexander Chodkiewicz także tam być musi.

— Zapewne do rady wezwał bratanków, rzekł Xiąże z uśmiéchem; ciekawa rzecz czy mu tak dobrze znów poradzą jak wprzódy, kiedy go namówili na owo zaręczenie im dane. Nie

spodziéwam się, dodał, aby co z tego poselstwa wynikło nowego, bo Chodkiewicze już nawet czy szczérze, czy dla pozorów tylko, kamienicę swoją, jak mi mówią, fortyfikują, i do wojny serjo się sposobią. Zapewne P. Starosta Żmudzki radby tu swoich wojennych talentów dać dowody.

— Wątpię aby do takich ostateczności przyjść miało, rzekł Lew. Ufam że PP. Chodkiewicze miłują pokój i zgodę. Mam wszelką dobrą nadzieję.

Lew Sapieha swego czasu znakomity człowiek, zawsze tym sposobem brał rzeczy, w każdéj sprawie wyszukując środka, i tego się trzymając, żadnego stronnictwa nie podpiérając wyraźnie, wszędzie usiłując być medjatorem i pojednawcą; był bowiem stworzony na pośrednika. Gdy te słowa mówi Sapieha, tym czasem Abramowicz Wojewoda Smoleński, rzuciwszy okiem na Lwa Sapiehę, ozwał się cicho do Starosty Mozyrskiego, kończąc rozmowę poczętą w przedmiocie religijnym.

— Dajmy pokój, bo oto Kanclerz nas słucha i gotów wziąść do siebie, co na papistów

i apostatów powiémy, należąc i do jednych i do drugich.

Zaczém umilkli i ustanowiła się rozmowa ogólna, nic nieznacząca, powierzchownie tylko przedmiotów, i to obojętnych, dotykająca. Gdy się już śniadanie kończyło, Pan Wojewoda Wileński wezwał ku oknu PP. Senatorów zgromadzonych, i zaczął im przekładać żądania swoje z pewném umiarkowaniem i wstrzemięźliwością języka, uważając na przytomność osób tylu.

— Wielce jestem WMościom miłym Panom a braciom obowiązany, rzekł, żeście raczyli na moją prośbę się nakłonić, i udzielacie mi pomocy Waszéj w opłakanéj téj sprawie z P. Kasztellanem Wileńskim. Nie będę się tu rozszérzał z żalem moim, bo WWMościom aż nadto jest wiadoma, jako i całéj Koronie i W. X. Litewskiemu sprawa nasza, jawna i znana. Jakkolwiek się ona zakończy, a ufam że dobrze i pomyślnie, słuszna jest, aby JMPan Kasztellan dozwolił tym czasem Xięciu Januszowi starać się o łaskę i przyjaźń przyszłéj jego małżonki. Przez lat kilka miał

on wolny do niéj przystęp; dozwolono mu było jéj zasługiwać się; od czasu zaś jak się między nami te nieszczęsne zawiązały spory, odepchnięty został od domu JMPP. Chodkiewiczów i Xiężnéj Zofji, a nietylko jemu drzwi zamykają, widzenie się trudnią, lecz posłańców nie puszczają, listy precz odsyłają, słowem, wszelką zerwać usiłują kommunikację. Jeśli JMPP. Chodkiewiczowie i nadal tak postępować będą, widocznie nie zgody, jak powiadają, ale sporu i wojny okażą pragnienie. Raczcie WM. wyłożyć im potrzebę, przyzwoitość i słuszność żądań naszych, których zresztą zadość uczynienie do niczego nie obowiązuje i w niczém PP. Chodkiewiczów nie wiąże. Niech Xiąże Janusz ma swobodne każdego czasu wejście, a ja tym czasem więcéj nie żądam. Spuszczam się na przemożną intercessją WWPP., miłych braci, iż to otrzymać u nich potraficie—i jeszcze raz ponawiam podziękę moją, żeście to poselstwo raczyli przyjąć na się —

Senatorowie kilką słowami odpowiedzieli, a mianowicie Pan Abramowicz Woje-

woda Smoleński, który odezwał się za innych.

— W. X. Mość możesz być pewnym że się tak stanie, jak słusznie żądasz. Jakkolwiek P. Kasztellan unika dopełnienia umowy, nie potrafi w to, aby ją unikczemniał; sam on to czuć musi, że jest świętą i niezłamaną. Zaczém spodziéwać się można, że nim zgoda i koniec temu wszystkiemu będzie, nie odmówi przynajmniéj X. Januszowi przystojnego obcowania z przyszłą jego małżonką.

Po tych słowach Senatorowie zabrali się ruszać do pałacu Kasztellana Wileńskiego i uradzili między sobą, że głos miał być dany Kanclerzowi Sapiezie. Powiedzieliśmy już iż człowiek ten, jako z charakteru swego medjator, najstosowniejszy był, gdy chodziło o zbliżenie nieprzyjaciół i pojednanie choć chwilowe powaśnionych. Naradziwszy się więc PP. Senatorowie poczęli żegnać Wojewodę, który miał ich z powrotem oczekiwać u siebie, i ruszyli potém Zamkową Ulicą, ku pałacowi Kasztellana pod Bernardyński Klasztor.

Kasztellan przygotowany był na ich przyjęcie. Przeszłego jeszcze dnia oznajmił mu coś

zrana o poselstwie X. Jan S. Jezu, poźniéj zaraz inne osoby blizkie Senatorów, nietylko o tém, ale i o przedmiocie poselstwa znać dały. Z przybyłemi więc właśnie P. Starostą Żmudzkim i bratem jego Alexandrem uczyniono naradę. Rownie oni, jak sam Kasztellan, wszelkiemu krokowi do zgody i wszelkiéj powolności dla Radziwiłłów byli przeciwni. — Obrażeni, i nie bez przyczyny, słabsi, więc obraźliwsi, trzymali się dumnie i mocno w nieprzyjaźni swéj, wyzywali wojnę, żeby nie okazać, iż się jéj lękają. Dwaj bratanki Kasztellana umyślnie postanowili poselstwu być przytomni, dla tego, iż zawarta ze stryjem umowa, obowiązywała go nic bez nich w téj sprawie nie poczynać; postanowili nic postąpić nic, nie dać się ugiąć w rzeczy, a w odpowiedzi nic stanowczego nie wyrzec i zbyć czémś dwuznaczném. Chcieli oni okazać tém, jak mało dbają o zgodę i jak niepodobną ją widzą, gdy Xiąże Wojewoda tym krokiem ku nim okazywał przeciwnie, że zawsze stał przy piérwszéj umowie, którą, jaką koniecznie dopełnić się mającą, uważał.

Gdy Panowie Senatorowie przybyli do pałacu Chodkiewiczowskiego, nie znaleźli tu na pozór żadnego na przyjęcie ich przygotowania. Zwykła liczba dworskich wyszła na ich spotkanie, żadnego nie widać było przyboru, żadnego oczekiwania, ani też podziwienia, gdy się ukazali. Kasztellan wyszedł do wielkiéj sali z Panami Janem Karolem i Alexandrem synowcami swemi, z kilką przyjaciółmi, i tu posłów przyjął. Po piérwszych, acz bardzo zimnych przywitaniach, Lew Sapieha głos zabrał.

— Przybyliśmy tu, rzekł, P. Kasztellanie Wileński, w pośrednictwie i poselstwie przyjacielskiém od Xięcia Wojewody Wileńskiego.

— Wątpię, ażeby co przyjacielskiego między mną a Panem Wojewodą być mogło, odpowiedział Kasztellan zimno i poważnie.

— Nie chciejcie się tak uprzedzać, odpowiedział Lew. Być może, iż okoliczności przywiodły was do oziębłości, do niechęci wzajemnych z P. Wojewodą Wileńskim; lecz mamy wszyscy nadzieję, że się to po przyjacielsku i

zgodnie, da Bóg, rozwiąże i ukończy. Smuci się i trapi sam P. Wojewoda Wileński, iż tak szkodliwe zajście rozdziela go—z P. Kasztellanem i zacną rodziną JMości, ale ufa zawsze Jego sercu, iż potrafią się spory z powszechném obu stron zaspokojeniem skończyć. Wiadoma, mówił daléj Lew, jaka była umowa, ś. p. brata Jego i Waszego względem oddania Xiężnéj Słuckiéj pupilji Ich, za Xięcia Janusza syna P. Wojewody —

Tu Lew Sapicha powolnie i dobitnie byłby daléj swój urzędowy wykład rzeczy ciągnął, gdyby mu żwawo Jan Karol z żołnierską popędliwością nie przerwał.

— Pan Wojewoda Wileński próżno w tę umowę bije, ona jest przeciwną prawom Kościelnym i W. X. Litewskiego i do skutku przyjść nie powinna, nie może. Nie przyjdzie! dodał kładnąc mimowoli rękę na szabli.

— Nie dla wszystkich, odpowiedział Abramowicz, prawa Kościelne są obowiązującemi.

— Lecz dla wszystkich sądzę, rzekł Jan Karol dumnie, obowiązującemi są Litewskie, które równie małżeństwa między blizkiemi zaka-

zują, pod bękarctwem dzieci i zabraniem majętności.

— Wszakże nie piérwszy by to był przykład takiego małżeństwa, rzekł Lew; stare przykłady upoważniają do niego: mamy zawsze nadzieję, że ono się da ułożyć. Tym czasem, nim się te spory ukończą i rozstrzygną (o czém nie wątpim) prosi przez nas Wojewoda i my się o to wszyscy do JMPana Kasztellana wstawiamy, abyście przynajmniéj jednéj części Waszych obietnic dotrzymali, nie broniąc przystępu do X. Zofji i starania się o jéj względy Xięciu Januszowi.

— Do czegoż to ma służyć? spytał zimno Kasztellan: do tego, aby Xiężną Zofją wystawić na szkalowanie, aby ją niejako zmusić do przeciwnego prawom małżeństwa?

— Nie jest to myśl Wojewody—rzekł Lew Sapicha, ani go o to posądzać się godzi, lecz P. Wojewoda Wileński, gotów będąc zawsze obietnic swych dopełnić święcie, spodziéwa się mimo zajść i sporu, że JMPan Kasztellan ze swéj strony podobnież postąpi. Radby on, aby gdy to małżeństwo do skutku przyjdzie,

Xiąże Janusz nie był obcym swéj żonie. Gdy, co więcéj, powiedziano jest w umowie, iż Xiężna, nie przymusem i siłą (co słuszna) lecz z własnéj woli i natchnienia, gdy się za X. Januszem zdeklaruje, ma być daną mu za żonę; sprawiedliwa jest dozwolić mu starać się o to, aby jéj łaskę i affekt pozyskał.

Kasztellan zimno całego perjodu medjatorskiego z zwykłą Lwu Sapiezie płynnością, wycedzonego powolnie, wysłuchał, a po chwilce rzekł.

— Nie potrafim się zrozumieć, Mości Kanclerzu—bo z inszego punktu rzecz widzimy. Wy obstajecie za umową pisaną?

— Wyście ją sami podpisali?

— Zrobiłem to nieuważnie i nieprawnie, prośbami i naleganiem zmiękczony, a raczéj braterskiém zobowiązaniem się zmuszony — rzekł Kasztellan—W tém chętnie przyznaję się do błędu i winy—i chcę się poprawić. Umowa ta nie ważna.

— Wy więc, spytał Lew Sapieha, za nieważną całkiem uważacie tę umowę? Wy do-

pełnienia tego, coście Waszym szlacheckim podpisem stwierdzili, odmawiacie?

Na te słowa, które Kasztellana, jakkolwiek wytrwałego i cierpliwego, krwią oblały, gdy usłyszał o złamaniu szlacheckiego słowa, wymienioném umyślnie przez Sapiehę, spodziéwającego się zwojować wszystko przeciwne tym argumentem nieodpartym w owych czasach; na te słowa Kasztellan dumnie odstąpił krok, zaczerwieniony, blady na przemian, drżący.

— Nie jest to miejsce, nie czas, rzekł, dopominać się spełnienia umowy; a gdy będzie czas i miejsce potemu, okaże się jawnie, kto jak swoich zobowiązań i przyrzeczeń dopełni.

Domawiając tych słów, skłonił się Kasztellan, i unikając dalszéj rozmowy, nalegań, przeprosin, próśb, kilka kroków w tył odstąpił. Było to hasłem pożegnania dla PP. Senatorów, którzy zrażeni zimną a dumną Kasztellana postawą, surowemi wejrzeniami P. Alexandra i Jana Karola, więcéj nalegać nie śmieli, w duchu przypisując zły skutek poselstwa niezwykłéj przymówce Lwa Sapiehy,

i na niego zwalając całą winę. Za czém mieli się do wyjścia z niczém, i nadspodzianie krótko zabawiwszy, w milczeniu wracali do pałacu Radziwiłłowskiego.

— Kanclerz wszystko popsuł, mówili pocichu w drodze; niechże się jak chce przed Wojewodą teściem swoim tłumaczy teraz, my umywamy ręce.

Xiąże Wojewoda oczekiwał na nich z synem wielce niespokojny, wahając się między nadzieją a niepewnością skutku; lecz gdy z okien ujrzał tak prędko nazad powracający orszak, zdziwiony i pomięszany, sądził naprzód, iż Kasztellana nie zastali.

Syn równie, a może bardziéj jeszcze niespokojny, nie śmiał złowrogiego ojcowskiego milczenia żadną przerwać uwagą: spoglądał na powracających, nie pojmował powrótu.

Wreście podjechali pod Radziwiłłowski pałac, i w milczeniu szli po wschodach, naradzając się z sobą, jakby nieskuteczność poselstwa Wojewodzie Wileńskiemu osłodzić.

— Wam Mości Kanclerzu przystało, rzekł Starosta Mozyrski, zdać sprawę ze wszystkiego. Osłodźcie Wojewodzie jak można odmówienie PP. Chodkiewiczów—

Wojewoda oczekiwał na nich w progu, spójrzał i poznał niedobrą nowinę na twarzach.

— Cóż nam przynosicie Mości Kanclerzu! rzekł, czy Kasztellana nie było w domu, czy Was nie przyjął?

— Owszem, uczciwie nas przyjął — rzekł Lew najswobodniéj, medjatorską swą odgrywając rolę.

— I cóż odpowiedział? przerwał Wojewoda.

Kanclerz namyślał się jeszcze jak odpowiedź obrócić i ucukrować, gdy Xiąże, domyślający się wszystkiego, purpurowy stanął i wrąc od gniewu zawołał.

— Mości Kanclerzu! czyli nas i naszą prośbę znieważył??

— Bynajmniéj, owszem, odpowiedział Lew.

— Więc dozwolił? zapytał Wojewoda równie szybko. To być nie może! Zanadto

znam jego i tych Jezuickich jego bratanków! Cóż odpowiedział? co odpowiedział?

— Słowo w słowo; przerwał Starosta Mozyrski, widząc, że Kanclerz nie prędko odpowié, a Wojewoda burzy się coraz bardziéj; słowo w słowo, stryju—że gdy będzie czas i miejsce potemu, pokaże się kto swoich przyrzeczeń i jak dopełni.

— Cóż to znaczy? krzyknął Wojewoda — czy wyzwanie!

— Ale nie! nie! przerwał Lew Sapieha — nie w tém to sądzę rozumieniu powiedzianém było—Kasztellan jest obrażony, trzeba mieć wzgląd na jego żal poniekąd słuszny!

— Odmówił więc, wołał Wojewoda—odmówił WWMMościom i mnie—odmówił tego o cośmy prosili, odmówił dozwolenia widzenia się z Xiężną Panu Januszowi?

— Na to nie odpowiedział wyraźnie, rzekł Lew—ale sądzę —

— Ja sądzę, rzekł Wojewoda, że to się inaczéj jak z orężem w ręku nie skończy — Chce zatém, żebym poszedł z wojskiem dopomnieć się umowy! Chce tego, będzie miał.

Znajdę ja przyjaciół, znajdę ja swoich, tak jak on ma Króla i Jezuitów — Chce wojny, chce wojny —

— Ale, Xiąże teściu, przerwał Lew, nie wyciągajcież tak śpiesznie wniosków tak dalekich—nie mówił, nie myślał o wojnie —

— A cóż to znaczy Mości Kanclerzu—odpowiedział gorąco Wojewoda — jeśli nie to? Cóż to znaczy? że za nic ma umowę, że jéj dopełnić, nawet w warunkach mniejszych i na przedstawienie Wasze, na prośby moje niechce? Że ją zrywa — Ale na Boga Jednorodzonego, ja jéj nie zrywam. Ja się o nią dopomnę, srogo się dopomnę! Przepraszam WWPP. moich a miłych braci, żem Was naraził na to nieprzyjemne poselstwo — Wybaczcie mi to, alem się nie spodział, aby tak na niczém zejść miało. Bóc świadkiem moim! Ale znajdę ja inny, skuteczniejszy sposób na PP. Chodkiewiczów, i nie dozwolę żartować z siebie. Wszystkich WWMościów biorę za świadki, żem nie piérwszy umowę odstąpił, że nie ja ją zrywam, że ją sza-

nuję, a jeśli nie dobrą wolą, to musem i orężem dopełnienia jéj dopilnuję.

To mówiąc Wojewoda padł na krzesło zmęczony, trzęsący się od gniewu, spójrzał na Xięcia Janusza, który stał także w płomieniach: spójrzał, i uderzywszy ręką po kolanie, rzekł:

— Wojna! no to wojna! gotów jestem i do niéj! Lecz nie ustąpię, na Boga Jednorodzonego, nie pożyje mnie! Będziesz miał wojnę, kiedy jéj chcesz i do niéj wyzywasz! A krew ta niechaj spadnie na ciebie!

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

I. Wstęp. Litwa i Wilno w r. 1599 13
II. W kamienicy Starosty Żmudzkiego . . . 43
III. Dzban Wina 67
IV. Radziwiłłowie i Chodkiewicze 89
V. W Kardynalij 119
VI. Kasztellan i Xiężna 139
VII. Posłowie 173

SZKICE

OBYCZAJOWE I HISTORYCZNE.

(Każda powieść tego zbioru przedaje się osobno.)

SZKICE
OBYCZAJOWE
I HISTORYCZNE.

(J. I. KRASZEWSKIEGO.)

ODDZIAŁ DRUGI.

Powieść ósma.

Wydanie Adama Zawadzkiego.

WILNO.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1841.

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno. 1841 roku 29 Jnnij.

Cenzor, Professor b. Uniwersytetu Wileńskiego
Radźca Kollegialny i Kawaler
Jan Waszkiewicz.

OSTATNIA

Z XIĄŻĄT SŁUCKICH.

OSTATNIA
Z XIĄŻĄT SŁUCKICH.
KRONIKA
z czasów Zygmunta trzeciego

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

z trzema rycinami.

TOM II.

WILNO.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1841.

I.

Wieści. Narada pod Ratuszem. Wójt u Rektora.

I.

Wieści. Narada pod Ratuszem. Wójt u Rektora.

Po tym wypadku, któryśmy opisali, nie było już ani nadziei, ani podobieństwa zgody — obie strony gotowały się wziąść do oręża: Radziwiłłowie do napaści,

Chodkiewicze do obrony; a że, jakeśmy wyżéj rzekli, umowa druga naznaczyła dzień szósty Lutego 1600 roku za termin wydania Xiężnéj, i to w Wilnie, w kamienicy Chodkiewiczów, to więc owa gorsząca walka rozpocząć się miała.

Lecz siły były bardzo nierówne, bo jakkolwiek Chodkiewicze mieli swoje znaczenie w kraju i przyjaciół możnych i związki; daleko ich więcéj mieli Radziwiłłowie, a Wojewoda, stojąc na czele związku Protestantów i Greków, spokrewniony z Xiążęty Ostrogskiemi, przez nich całą Ruś starowierną mający za sobą reformowanych zaś, jako braci w wierze, popiérał się niemi silnie. Partji téj Chodkiewiczowska żadną miarą sprostać nie mogła. Prócz tego dom Radziwiłłów, wcześnie zrozumiawszy, jaką dla nich w kraju pomocą być mogła drobna szlachta, na dwory ją swoje zwoływał, protegował, forytował na urzędy, dawał dożywocia, jurgielty, swatał, żenił, i tym sposobem mnóstwo miał przyjaznych i obowiązanych, którzy nietylko na Sejmikach czynili co chcieli protektoro-

wie, lecz i teraz gotowi byli na zawołanie siąść na koń z szablą w ręku, nie wchodząc w jakiéj sprawie i dla czego. Takiéj szlachty, imieniowi Radziwiłłów zaprzedanéj, było bardzo wiele po całéj Litwie; ona nie patrzyła słuszności sprawy, lecz ślepo posłuszna była rozkazom: najechać, pogromić, nie dopuścić do deputacji na Sejmikach; zakrzyczéć, pobić, dla nich było rzeczą łatwą i pospolitą. Szlachta wcześnie zepsuta moralnie, czyli raczéj zobojętniona na moralne znaczenie czynności, nie zastanawiając się sama przez się nad tém, do czego użytą być miała, szła ślepo za Panami, którzy ją poili, karmili, a czasem w potrzebie głaskali. Jak Radziwiłłowie ujmowali szlachtę *czapką* i *papką*, to jest uściskiem braterskim i stołem zastawnym suto, w historji ich domu pozostały niezatarte ślady. X. Mikołaj Krzysztof, Sierotką zwany, powtarzał nieustannie, że się nie zowie Radziwiłł lecz *Rad-żywił*. Taka była polityka, rachuba i innych tego przemożnego domu członków. Dodajmy, że różnica wiary była w ich ręku bronią także, szli i tacy z Radzi-

wiłłem, którzy nienawidzili Katolików, i cieszyli się walką z niemi. To też nie dziw, że gdy w tym razie ozwali się do szlachty przez listy i posłów Radziwiłłowie, słudzy ich domu (tak ich zwano) chwycili się za ich sprawę do broni bez zastanowienia. Rozpisał Pan Wojewoda wezwania na wszystkie strony, gruchnęła z niemi wieść o przyszłej domowéj wojnie. Po Koronie i Litwie, nikt z tych, którzy mieli jakiekolwiek związki z domem Radziwiłłów, nie odmówił pomocy swéj; tak jakby wszyscy mieli na sercu wszczepić na Litwie wojnę domową.

Główni pomocnicy partji Protestanckiéj byli naprzód Xiążęta Ostrogskie trzéj: P. Kasztellan Krakowski, Wojewoda Kijewski i Wojewoda Wołyński. Oni, chowając tyle ludu na swych dworach, najmocniéjsi magnaci na Rusi Litewskiéj, obiecywali silny przystawić sukurs. Każdy z nich w sześćset koni a siedémset hajduków miał przybyć, co już wzięte razem czyniło trzy tysiące dziewięćset ludu. Jakkolwiek mniéj znaczny, nietak zamożny P. Abramowicz Wojewoda Smoleński, który i jako Ewangelik trzymał się Radziwiłłów, i jako prote-

gowany od nich, z obowiązku szedł wszędzie za niemi; choć nietak wiele obiecywał, chcąc jednak mieć jakikolwiek udział w téj sprawie, którą za sprawę wiary uważał, miał przystawić przynajmniéj pięćdziesiąt koni ze swego dworu. Szwagier Wojewody Pan Mikołaj Naruszewicz Kasztellan Żmudzki, dawał sto koni i stu hajduków. Zamojski nawet nie wahał się obiecywać, że nadeśle ludzi z Podola. X. Kurlandski na wezwanie Wojewody odpisał, że mu część swéj Rajtarji przystawi. Xiąże Jerzy Radziwiłł za kilkaset od siebie koni zaręczył, inni co kto mógł ofiarowali. Lew Sapieha, choć przyjazny i połączony blizko z Wojewodą, nie obiecywał jednakże ludzi— Było to, jakesmy powiedzieli, w jego charakterze, że się kompromitować nie lubił, i jako Katolik, i jako Króla partyzant wielki, przeciw Chodkiewiczom wyraźnie nie chciał stawać, bo oni wyraźną łaskę Zygmunta III. mieli za sobą, i stali na czele Litewskiego Katolickiego stronnictwa.

Co się tycze sił Chodkiewiczów, te ani się mogły mierzyć we względzie liczby z Radzi-

wiłłowskiemi. Chociaż ich wspiérała cała partja Katolicka, nikt im jednak, lub tak jak nikt, wyraźnéj w ludziach pomocy nie obiecywał. Dla tego téż chcąc się postawić na stopie obrony przeciw Radziwiłłom, musieli po większéj części wszystko kosztem swoim czynić, a kosztem wielkim: lud spisywać, najmować, opłacać, po kraju i za granicą zbiérać. Przyszło do tego, że dla intryg Radziwiłłów, trzeba im było najwięcéj po ościennych krajach szukać żołnierza, któren nie szedł, chyba nad miarę opłacony. Gdy do tego dodamy, że nie mieli wówczas bardzo rozległych i wielkich majętności, ani skarbów, pojmiemy jak ta potrzeba obrony stawiła ich w trudném położeniu, gdy majątki swoje musieli zadłużać i pozostawiać, aby pieniędzy dostać na opłatę ściągającego się wojska. Tym sposobem spodziewał się Jan Karol Starosta Żmudzki, będący na czele zbrojnych sił partji swojéj, zebrać najmem do tysiąsa sześciuset ludu jezdnych, a sześćset piechoty. Miał także za staraniem swym zapewnione działa do umocnienia swéj kamienicy.

Prędko wieść o tych przygotowaniach, nikomu już nietajnych, doszła do Króla; cały kraj mówił o tém i wypadkiem przygotowań był zajęty; wszyscy jednak na samo porównanie sił stron obu zapowiadali upadek Chodkiewiczom, a z niemi Katolikom, sądząc, że Wojewoda gdy raz zwycięży, i takie wojsko w ręku mieć będzie, nie omieszka z groźnéj postawy korzystać dla zapewnienia sobie i swojemu stronnictwu przewagi znamienitéj w Litwie. To Katolików trwożyło, ba i samego Króla, do którego coraz częściejsze dochodziły insynuacje aby się wdał swą powagą w tę sprawę. Lecz Król JMość nie wierząc spełna w to, co donoszono, zwlekał stanowcze wdanie się swoje; a może też i czuł, mimo swego niedaleko sięgającego wzroku, że Radziwiłłowie niewiele na jego pośrednictwo zważać będą.

Wojewoda odprawieniem ostatniego poselstwa zajętrzony bardziéj jeszcze na PP. Chodkiewiczów, ani się już więcéj o zgodę i umowę odezwał. Obie strony czekały szóstego Lutego z niecierpliwością i niespokojem.

A jakkolwiek Wojewoda silniéjszy był i pewniéjszy swego, niezupełnie jednak na wypadek ostateczny był obojętnym.

W takim stanie rzeczy przebiegły ostatnie miesiące 1599 roku, zaczął się w trwodze r. 1600 i zbliżał się Luty.

Tym czasem Król Zygmunt zniewolony bliskiém już rozwiązaniem się sprawy i dochodzącemi go o przygotowaniach wielkich słuchami, wybrał nareście cztérech Senatorów od siebie, i dawszy im listy do obu stron powaśnionych, aby do oręża brać się nie śmiano i nie rozpoczynano wojny domowéj, polecił im, aby czynili co tylko będzie w ich mocy dla odwrócenia zgubnego krwi przelewu. Panowie Senatorowie ruszyli do Wilna w Styczniu r. 1600, lecz nim przybyli tutaj i działać rozpoczęli, słuszna wrócić do opisania dalszego toku rzeczy w samém Wilnie.

Miasto było w niespokojności, czując, że nań piérwsze klęski spaść miały z téj wojny, która zawiązać się obiecywała na jego Rynku, na ulicach! Niektórzy już mieszczanie myśleli się wynosić, przewidując wszystko, co na

nich sciągnie natłok kilku tysięcy niesfornego żółdactwa przeciwnych partij. Próżno odzywali się z ubolewaniem i niepokojem o stan miasta, nikt na to nie zważał; zmuszeni zostali w końcu przypomnieć się wyraznie stronom zabierającym do walki.

Duch miejskiéj ludności sprzyjał więcéj Katolickiéj partji, niż protestanckiéj, gdyż większa część miasta Katolików była; Rusini tylko w niewielkiéj liczbie, skonfederowani w r. 1599, któremi Wojewoda się opiekował, zasłaniając ich od Jezuitów, za nim i jego byli. Na czele Magistratu stał wówczas Wójt Wileński, nieprawnie przez Króla mianowany, gorliwy Katolik i najniższy sługa Jezuitów P. Maciéj Borzyminski Sekr. K. J. M. Inni zasiadający z nim Ławnicy byli po połowie Grecy, Katolicy w połowie, już jednak w ławie Greckiéj więcéj było Unitów, niż Starowierców. Toż samo działo się między Burmistrzami i Radzcami, gdzie też Katolicy przeważali, i wpływ Jezuitów był bardzo wielki, choć go cząstkowe spory z Magistratem nadwerężały chwilowo. Wójt Borzymiński był

Sodalisem Bractwa Bożego Ciała, i Miłosierdzia Jezusowego, i do tego tercjarzem zakonu— to go dostatecznie maluje.

Na początku 1600 roku, kiedy się całe miasto plotkami i wieściami o przyszłéj rozlegało wojnie, chłodnym rankiem Styczniowym Ratusz zaczął się napełniać mieszczany. Jedni z nich szli sklepy swoje otwiérać, drudzy śpieszyli na Ratusz, inni sprawy sądzić w Ławie, inni do Skarbcu, wagi, postrzygalni i t. p. PP. Burmistrzowie, Rajcy, Ławnicy, Pisarz, wszystko to stało zgromadzone u wielkich drzwi Ratusza, gdy dziewiąta biła na półzégarzu wieżowym. Rozmowa toczyła się właśnie o owych rozruchach, a niektórzy widzieli je ze strony najniebezpieczniéjszéj dla miasta— mianowicie bogatsi i lękający się o całość swych dostatków, ci, którzy lubiąc spokojność, obawiali się zapisywania gospód po domach dla przybyłych téj i tamtéj strony posiłkujących. Jedni drugim rozpowiadali co słyszeli.

—Ja, Panie Bazyli, rzekł jeden gruby i czérwony, słyszałem zapewno od dworzanina P. Starosty, który to miał od Półkownika,

który Półkownik słyszał z ust JMP. Starosty samego, iż niechybnie w ulicach strzelać będą, a nie w polu; jak WM. mówicie się spotkają.

— Inaczéj, rzekł drugi — nacóżby kamienicę fortyfikowali?

— Wszyscy wiedzą, że tam jest już osiémdziesiąt dział (!) pozaciąganych po kątach; kaci wiedzą wiele ich jeszcze naprowadzą. Mówią że nawet w oknach od ulicy, w paradnych komnatach działa stoją.

— Co się tycze Wojewody, rzekł inny, to wiémy, że jak tu wojska nawiedzie, niechybnie Katolików heretycy w pień wytną, Kościoły porabują, Xięży wyduszą — Co o kramach i sklepach, to już i nie gadać. A zatém trzeba wcześnie myśléć o sobie — Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

— Zapewne! zapewne! wszystko to być może; ależ Król Jego Mość, odpowiedział piérwszy—czyż podobna, aby pozwolił?

— Otoć Król Jego Mość nie włoży palca między drzwi, rzekł inny mieszczanin; choćby i chciał dopomódz Chodkiewiczom, nie może.

Chyba zabroni brać się do oręża, bo inaczéj sukursować nie potrafi.

— Alboż go Wojewoda usłucha — prawił trzeci; on się śmieje z rozkazu, kiedy tylo wojska ma na zawołanie z Rusi i z Kurlandji, i Bóc wié zkąd. Powiadają, że Tatar i Turków pogan na zagładę imienia Katolickiego wezwał.

— No, azatém, odpowiedział inny znowu, kto ma rozum, niechaj się jak od powietrza wynosi z Wilna przed terminem, i niech im tylko mury odarłszy z nich nawet obicie zostawi. Przynajmniéj ja tak uczynię.

— Ja, co trzymam gospodę, rzekł maluśki garbusek, teraz tego nie uczynię — dopiéro mi będzie żniwo.

— Wypiją ci i wyjedzą co będziesz miał i figę pokażą potém, rzekł P. Bazyli, będziesz się miał z pyszna.

— A! nie taki djabeł czarny jak go malują, odpowiedział piérwszy; czemuż się ani Xięża Jezuici, ani Kapituła nie wynosi, ani nikt. Gdybyć było niebezpieczno, poszliby wszyscy precz.

— Macie słuszność, rzekł trzeci z boku, jak oni się rugować zaczną, to i my za niémi dopiéro. Miejmy się w gotowości, ale nie ruszajmy; bo jeśli, jak to być bardzo może, do wojny nie przyjdzie, to ten napływ ludu i gości da nam przynajmniéj w sklepach utargować, a i to dobre będzie. Nagrodzi za gospody.

— Wiécie, rzekł inny znowu, że ten, Boże odpuść, pogański Wojewoda, jest pono przyczyną także, że my od lat tylu i Biskupa nie mamy. On to się tak JM. Xiędzu Maciejowskiemu stawi i bechta na niego wszystkich, że go do Biskupstwa nie dopuszczają, dla tego, że jest Królewskiéj strony, i że po Radziwille na Biskupstwo siada.

— Może to i prawda, rzekł P. Bazyli; to pewne, że JMXiędza Łuckiego nie dopuszczają do Biskupstwa, bo nie Litwin, a jest jakieś tam prawo, co mówi, że nikt nie siądzie na stolicy Biskupstwa Wileńskiego, chyba Litwin. Otoż czemu go nie dopuszczają.

— Ale nie, rzekł inny; mnie mówił braciszek krawiec, Coadjutor S. Jezu, że dla tego,

iż przywiléj na installację dany JMX. Łuckiemu pod pieczęcią i z Kancellarji Koronnéj.

— A choćby też, to pewna, że to nie wadzi, kiedy nieboszczyk Król Stefan pieczętował przywileje kapturkiem od szabli, i były dobre, i walor miały, jak kazał.

— To też to że i Król niemy i głuchy tylko pacierze klepie, a wszyscy brózdzą jak chcą. Ale dajmy pokój tym sprawom, a myślmy o sobie, bo czas. Trzebaby nam coś postanowić na przypadek téj wojny.

W téj chwili nadszedł Wójt P. Maciej Borzymiński. Wszyscy mu się pokłonili, i P. Bazyli Janowicz spytał —

— Prawdaż to, że się nam już wojny niechybnéj spodziéwać trzeba między Chodkiewiczami a Wojewodą?

— Bóg to Święty raczy wiedzieć, odpowiedział suchy, chudy i wysoki mężczyzna, którego powitano jako Wójta—ale *probabiliter*, być to może.

— A toż czas, kiedy tak, rzekł P. Dwornik inny mieszczanin, żebyśmy pomyśleli o sobie.

— Zapewne, odpowiedział Wójt — myślcie WMość co poczniecie.

— A WMość co zrobisz? spytał niejaki Bildziukiewicz.

— Ja, odpowiedział Wójt, będę siedział, z mego urzędu nie mogę się ruszyć!

— I ja, rzekł jeden z Ławników, toż uczynię, ale kram zamknę, i towary do folwarku miejskiego wywiozę.

— Toćby to i nam trzeba, rzekł Dubowicz inny mieszczanin, a nie lepiéj żeby to, żeby z Magistratu Wileńskiego wyprawić deputację do JMP. Kasztellana i do Pana Wojewody, z prośbą aby nie chcieli na szwank wystawiać miasta Królewskiéj JMości?

— Ej dajcie pokój temu, zawołał P. Durnik, żeby nas ze śmieszkami wyprawiono. Właśnie oni co na nas zważać będą, kiedy się tam wmięszawszy nie jeden Senator wziął nosa.

— To prawda, rzekł Wójt, ale i my coś znaczym, będąc *brachium regium* w tém mieście. I nasze przełożenia nie mogą być źle przyjęte, bo nam więcéj niż komu o całość i *securitas* miasta chodzić musi. Dobra zatém

rada P. Dubowicza *ratione* deputacji i ja ją pochwalam.

— I ja, rzekł Bazyli Bildziukiewicz, a oto się tylko naradzimy i wyprawmy posły z instrukcją.

— Na co te ceregiele, zagadnął Dubowicz, prosto niech Magistrat cały pójdzie, to więcéj zrobi aprehensji.

— Zapewne, rzekł Wójt, tylko za nim to poczniemy, trzebaby się kogoś poradzić świadomego dobrze rzeczy i obrotów wszystkich—

— Jakby to kogo naprzykład? spytał Dubowicz.

— A juściż mnie się zdaje, rzekł Wójt, że nikogo jak JMX. Rektora Akademickiego Collegium.

— Macie WMość racją, potwierdził P. Durnik, idźcie WMość do niego, a popytajcie go, co on tam też powié na to.

— Choćby i *stante pede*, toby nie zaszkodziło — dodał Dubowicz, boć to dziś spraw niéma tak dalece i ani się ich spodziéwać, Możesz się WMość udać do Collegium, będą

też tu PP. Ławnicy i Burmistrze i Sławetny P. Pisarz.

— Dobrze, dobrze — I tak miałem intencję iść do Collegium po Sądach, rzekł Wójt, a no kiedy WMość chcecie, pójdę i zaraz.

To mówiąc i skinąwszy głową, udał się P. Wójt zamyślony, wprost ulicą do Collegium Ś. Jana.

Collegium to, było już naówczas wielkim gmachem, zrosłym z wielu domostw już kupionych przez Xiędza Biskupa Walerjana Protasowicza i fundowanych początkowo jeszcze, już z dawnéj Plebanji Ś. Jańskiéj przyłączonych (w któréj sławny ów Rojzius Mauraeus, ostatni Archiprezbiter pisał swoje *Decyzje*); już z przykupionych lub zapisanych domów i kamienic. Na przedzie zastanawiał Kościół Ś. Jana odnowiony przed kilkudziesiąt dopiéro laty, ozdobiony powierzchownie z wysoką wieżą, z gankami. U wrót Collegium cisnęła się młodzież Akademicka, na głos dzwonka u bramy wiszącego, w różnych strojach, z kałamarzami u pasa, xięgami pod pachą, w opiętéj oplamionéj i odartéj po większéj

części odzieży. Kilku laików i Xięży S. J. w czarnych sukniach z ogonami snało się przez dziedziniec tam i ówdzie z kluczami lub xięgami pod pachą. Witał ich P. Borzymiński po znajomości i przeszedłszy piérwszy dziedziniec, puścił się w korytarze, po których większa jeszcze ilość zakonników i młodzieży biegała — do celi Rektorskiéj.

W drzwiach Refektarza spotkała go ciżba, któréj dzwonek sniadanie zapowiedział, a z otwartych drzwi słychać już było głos lektora, poczynającego czytanie Reguł Zakonu, jak zwykle przy jedzeniu — słychać było biczowanie głośne kilku przestępnych braci, którzy z reguł tychże, publiczną pokutę w Refektarzu odprawiali.

Minąwszy ścisk ten, szedł Wójt do celi X. Rektora, która była najprzedniejsza po Prowincjalskiéj, bo w niéj Xiądz Rektor przyjmował zwykle dostojnych gości unikających solennego przyjęcia z umywaniem nóg w Refektarzu. Nad drzwiami celi był obraz Śgo Xawerego Patrona czy osobistego nie wiem X. Rektora i celi. Zapukał Wójt i wszedł

zaraz, bo laik Jezuita mu otworzył. X. Rektor stał w progu piérwszéj izby i kończył swą mowę do braciszka temi słowy.

—Niechaj go zasadzą na trzy dni, na chléb i na wodę wedle ustawy, a o reszcie poźniéj pomyślę.

Braciszek oddalił się kłaniając ze złożonemi na piersiach rękoma, a Wójt powitał Rektora. Cela w któréj byli, piérwsza, szczupła, niczém nie ozdobiona, prócz portretu Xiędza Warszewickiego. Kropielnica wisiała u drzwi, krzyż drewniany, ławki proste, szafki w murach. Porządniéj już było w drugiéj sklepionéj jak i piérwsza, komnacie do któréj X. Rektor wprowadził Wójta. Była ona obszérniejsza od piérwszéj, o dwóch oknach. Nieobite mury niczém, zasłaniały obrazy ŚŚ. Ignacego i Zakonników S. Jesu dziewięciu, piérwszych jego towarzyszy i także niektórych poprzedników X. Rektora w Wilnie na Rektorstwie Collegium.

Była tu czarna szafa z xięgami, łóżko proste i twarde, dyscyplina nad nim i krzyż, palma i gromnica w głowach. Zresztą nic do

ozdoby służącego, nic co by oko zatrzymywało.

— Ważna tu mnie sprawa do Was sprowadza, Miłościwy Xięże Rektorze, rzekł Wójt po przywitaniu — Miasto jest w niepokoju gwałtownym, radbym się z Wmością poradzić co czynić.

— Cóż to jest za niespokój? spytał Garsias Alabianus, wznosząc łysą głowę i otwierając na Wójta czarne żywe oczy.

— A to z téj nieszczęśliwéj wojny, do któréj się sposobią PP. Chodkiewicze z Radziwiłłami, rzekł Wójt — Całe miasto jest w niepokoju i niepewności nie wiedząc co czynić i jak. Czyli już uciekać i wynosić się, czy siedzieć spokojnie zdawszy się na łaskę Bożą.

— Cóż ja w tém poradzić mogę? rzekł Rektor udając głęboką obojętność. Postępujcie sobie jak wam rozum dyktuje.

— Ale tu nie dość naszego rozumu — powiedział Wójt, radzibyśmy wiedzieć na czém się oprzeć. Jestli się czego lękać czy nie?

— Ja tego od was nie wiem lepiéj — odpowiedział Rektor — To pewna, że się zanosi

na wojnę, ale Król JMość wysłał już z Inhibicją PP. Senatorów do Wojewody i Kasztellana.

— Z inhibicją! zawołał Wójt, ale czy oni jéj usłuchają.

— Tego ja nie wiém, ostróżnie rzekł Rektor, nie chcący się wydać, jak doskonale o wszystkiém co się działo w mieście, był uwiadomiony.

— A nie byłoby dobrze, spytał Wójt znowu, gdyby Magistrat szedł z przedstawieniem od miasta do P. Kasztellana i do P. Wojewody, aby nie chcieli mięszać pokoju i nadwerężać *securitatem Metropolis.*

— Nie byłoby nic od rzeczy, rzekł Rektor, ale ja WMościom ani radzę, ani odradzam.

To umiarkowanie X. Rektora w jego rozmowie z P. Wójtem, przypisać było potrzeba znanéj P. Borzymińskiego gadatliwości, dla któréj słowa bał się wyrzéc Rektor, aby przez jego usta całe się miasto o udziale jaki w tém miał, nie dowiedziało. Chodziło mu zaś bardzo o to aby choć pozornie *neutralitatem* w téj sprawie utrzymać; gdy i tak Pro-

testanci, wszystko zawsze kładli na Jezuitów; co się przez nich lub i bez nich stało.

— Ale nie będzież to źle? spytał Wójt, gdy to uczynim. Zdaję się w tém na światło i rozsądek WMości, Xięże Rektorze, poradźcie.

— Źle byćby nie powinno, rzekł Rektor, nie zaręczam znowu czy i dobrego co z tego wyniknie. Zresztą czyńcie coście uradzili między sobą, a ja mszę na waszą intencją odśpiewać każę. Nie zapominajcie tylko o dostarczeniu potrzebnych requisitów do kaplicy Bożego Ciała.

Po tych słowach powstał Rektor widocznie niespokojny, a P. Wójt rad nie rad musiał go pożegnać. Mijając wrota Collegium, ujrzał na nich karty, na które rzucił okiem. Były to zapowiedzenia nabożeństwa solennego, w dzień jakiegoś patrona, Dysputy z powodu doktoryzacji i exkluzji trzech Akademików za popełnione excessa.

II.

Deputacja Magistratu.

II.

Deputacja Magistratu.

NAZAJUTRZ jeszcze nie wybiła dwunasta na pół zégarzu Ratuszowém, a już ze drzwi jego, wychodziła Deputacja Magistratu, na któréj czele stąpał poważnie JMP.

Wójt Maciéj Borzymiński, za nim dążyli dwaj Ławnicy, dwóch Rajców, dwóch Burmistrzów i Pisarz miejski. Wszyscy ubrani byli od parady jakby iść mieli za processją, lub przynajmniéj na przegląd Musztry Cechowéj, w nowych sukniach jasnych kolorów, świeżém obuwiu z kurdybanu; a na mocy przywileju ś. p. Najjaśniejszego Zygmunta Augusta (tak go zwano wówczas) przywileju który Magistrat uszlachcił, wszyscy urzędnicy oznakę świeżego szlachectwa, szablę przypasali brzęczącą po kamieniach.

Nizko się im kłaniali po drodze, lud miejski, PP. mieszczanie nawet i kupcy, widząc ich tak strojnie i poważnie idących; ustępowano im z drogi, bo wszyscy czuli, że szli niedarmo, nie na lóżną przechadzkę tylko, ale brzemienni wielką jakąś sprawą miasta całego tyczącą. Tak w milczeniu honorowani przeszli oni główną ulicę i ażeby na nich zbyt oczów nie zwracano, zapuściwszy się w zaułek na Rybnym końcu, postanowili *unanimitate* przedmieściami udać się naprzód do pałacu Kasztellana Wileńskiego.

Tu, gdy stanęli, oznajmiono o nich wprzód Kasztellanowi, a po chwilce wpuszczono do sali, przeciw którym i sam Kasztellan wyszedł. Po nizkich ukłonach i powitaniu, odchrząknąwszy P. Wójt, począł oracją w te słowa.

— Jaśnie Wielmożny Kasztellanie Wileński! Panie nasz a Dobroczyńco! Niemały od niejakiego czasu przestrach i aprehensia opanowały mieszkańców miasta JKM. Wileńskiego, z powodu niejakich wieści i głosów, które poszły, jakoby spokojność tego miasta i *securitas* jego, zagrożoną być miała. Źli to ludzie zapewne, takowemi baśniami umysły spokojnych mieszkańców tego miasta stołecznego poruszają, a jednak mają, ku temu niejakie pozory. Albowiem J. W. Panie, widziémy niemal codzień zbierający się lud, fortyfikacje czyniące się wpośrodku i sercu miasta i jakieś przygotowania, które zdają się w istocie naruszenie blizkie pokoju zwiastować. Przeto obmyśliliśmy my Wójt i Rada miasta J. K. M. Wileńskiego, udać się tu, *ad Illustrissimum* i pokornie go upraszać, aby jeśli istotnie do

jakowejś (czego Boże uchowaj) wojny przychodzić miało, Wileńskie przynajmniéj miasto świadkiem jéj nie było. Mamy przywileje, które wojsk stawić w mieście samém zakazują, a codzień gęściejszym pocztom zapisują gospody w samém mieście, *in visceris* téj to Metropoli, co więcéj w Juryzdyce Ratuszowéj, czego dotąd nie bywało nigdy. A jeśli (czego Boże uchowaj) do wojny i boju przyjśćby miało, ostatnia to ruina dla miasta Wileńskiego, handlów i pomyślności. Albowiem kupcy cudzoziemcy i goście, już się na słuch o tém wynosić poczynają, sklepy zamykają, dom gościnny pustoszeje, płace od niego giną, wszyscy w przestrachu jakimś i oczekiwaniu. Przeto najpokorniéj *Illustrissimum* błagamy tu wszyscy w imieniu miasta całego Magistratu *Communitatis* kupieckiéj i pospolitego człowieka miasta Wileńskiego, aby, jeśli to być może, żadne tu wojny rozpoczynane nie były, któreby miasto do ruiny handlu i spokojności przywiodły, mieszkańców rozproszyły i zubożyły.

Jeszcze miał mówić daléj P. Borzymiński,

ale mu przerwał Kasztellan trochę zniecierpliwiony.

— Mój Panie Wojcie, rzekł, źleście się bardzo do mnie udali ztém poselstwem. Ja tu żadnéj wojny nie poczną, ani jéj pragnę, ani ją gotuję. Idźcie do Pana Wojewody Wileńskiego i proście go, ażeby się upamiętał, a na miasto, ieśli nie na co innego, już miał wzgląd. On to chyba, nie ja o wojnie myślę. Ja się tylko bronić będę, rzekł, jeśli mnie kto zaczepi, a bronić się każdy i wszędzie ma prawo, jak ci się zdaje, Panie Wójcie!

— Jest to prawo kardynalne, odpowiedział Wójt pokornie, lecz —

— Lecz co? spytał Kasztellan.

— Lecz wojsko się zbiéra, rzekł Wójt, i w okolicach i w mieście coraz go więcéj, coraz gęściéj, a mówią, że jeszcze znaczna ilość ma przybyć!

— Idźcie do Wojewody, przerwał Kasztellan, idźcie — Nie moja to rzecz, pewnie ja piérwszy nie wystrzelę. Jeśli się zaś pytać będzie czyliście u mnie byli, możecie powiedzieć, com wam rzekł, że ja wojny nie roz-

poczynam żadnéj, zaczém żegnam Waszmościów.

Deputacja nizko się pokłoniwszy, tym samym krokiem poszła w milczeniu do Pana Wojewody, znać tylko było z miny PP. Magistratowych, że to drugie poselstwo, ciężyło im bardziéj na sercu, niż pierwsze: szli bowiem do Wojewody, którego się lękali jako heretyka, odmalowanego im przez współbraci, za monstrum popędliwości; i chociaż byli pewni, że poważnéj Deputacji osób Magistratowych znieważyć nie zechce, coś ich jednak niespokojnemi czyniło. P. Wójt obracał niespokojne oczy na Pisarza, Pisarz na Ławników, Ławnicy na Burmistrzów. Im byli bliżsi pałacu, tém szli powolniéj — Nareście Wójt rzekł.

— Wnieście wy głos P. Burmistrzu.

— Kto? ja? rzekł cofając się zagadniony, ja? A tożby był niemały despekt dla WMości, który jesteś głową miasta i téj Deputacji! Ja tego nigdy nie uczynię.

— Ani ja.

— Ani ja— ozwali się inni zcicha— Do Pana Wójta oracja należy.

A Wójt, któremu język w gębie przysychał do podniebienia, sam już nie wiedział jak sobie poradzić. Gdy u wrót stanęli, weszli w korytarze, już ich oznajmywano, nie czas się było cofać.

Odzwierny zawołał.

— Deputacja Magistratu!

Wojewoda siedział w swojéj komnacie z P. Abramowiczem, a posłyszawszy oznajmienie, rzekł:

— Wpuścić ich. Pewnie ze skargą wieczną na Podwojewodziego, albo o targowe jakieś tam, przekupniów i partaczy durzyć mi głowę przychodzą.

Ledwie tych słów dokończył, wsunął się z głębszym niż do Kasztellana ukłonem schylony P. Wójt, a za nim na palcach reszta Panów deputowanych. Wojewoda nie powstał, ujrzawszy ich zmierzył okiem i odwrócił się tylko czekając co powiedzą.

Takie przyjęcie nie było wcale zachęcające; to też Wójt całkiem ze strachu przyto-

mność postradał, i zwijając czapkę kłaniał się, nie mogąc słowa znaleść w gębie i w głowie, od którego by począł. Nareście, gdy już to milczenie zbyt długo się przeciągnęło począł prawić temiż słowy, jakiemi do Kasztellana przemawiał, wprzód cicho i niewyraźnie a drżąco, kondolencje swoje.

Wojewoda się w piérwszéj połowie mowy porwał.

— Cóż to, zawołał, WWMość myślicie dawać mi nauki i przestrogi? Mnie? A co to do was należy, co ja czynię, albo Senatorowie i Rycerstwo między sobą? Siedzcie w kramach swoich, ważcie na Ratuszu, wybiérajcie powrótne, podymne i sierebrszczyznę, ale wara z nosem, tam gdzie was nie proszą! Słyszycie Waszmość!

Wójt zamilkł i pobladł jak ściana.

— Jednakże J. Oświecone Xiąże a Panie rzekł jąkając się — *securitas* miasta J. K. Mości, powierzonego.

— Pilnujcież jéj od hultajów i złodziei Wójcie, a nie turbujcie się o nasze sprawy, krzyknął Wojewoda. Słyszał kto takie zuchwal-

stwo. Warto, żebym was wszystkich do Turmy Zamkowéj posłał na tydzień za to, dodał coraz bardziéj zajmując się gniewem.

— Nie było w intencji Magistratu J. K. M miasta Wileńskiego, obrazić JO. Xięcia Pana, albowiem *zelus* o dobro powierzonych nam.—

— Ale mówię wam, zahuczał Wojewoda, skierujcie indziéj *zelus*, a będziecie mieli co czynić i na co go użyć — Nie mięszajcie się w to, co do was nie należy, wybierajcie podatki, sądźcie swoich mieszczan i gości, pilnujcie porządku i siedźcie spokojni.

Wójt miał się do drzwi przelękniony wspomnieniem turmy i coraz popędliwszą mową Wojewody. Gdy Xiąże ostatnich słów domawiał, drzwi się otwarły i Deputacja milczkiem wysuwała się nazad, a jeszcze Wojewoda burczał w komnacie swéj— Z zwieszonemi w dół nosami i posępną miną, sławetny Wójt i PP. Rajcy i Ławnicy szli ku Ratuszowi.

Zdaleka postrzegli, że na nich czekała ciekawa u wrót Ratusza ciżba mieszczan i kupców.

— Cóż im powiémy? rzekł Wójt.

— Co? odpowiedział Pisarz rezolutnie niepotrzeba im mówić o przyjęciu u Wojewody, boby to zwierzchność poniżyło, w ich oczach, lepiéj oznajmić, że P. Kasztellan i Wojewoda obowiązali się o tyle o ile — mieć wzgląd na miasto.

— A jak się zkąd inąd o tém dowiedzą?

— Łatwe przekonanie, że z nami prawda, a to baśnie wszystko, zawołał Pisarz. Inaczéj upokorzenibyśmy w oczach podwładnych zostali, czego Boże uchowaj, bo gdy i tak mało na nas mają względu, toćby do reszty sponiewierali.

— A co dobrego przynosicie? spytali oczekujący wracających.

— Słowa pokoju i dobréj otuchy, rzekł Wójt — wszystko dobrze.

— Przyjęto nas ze czcią należną — dodał Pisarz zuchowato.

— Miasto może się spodziéwać wszelkiéj powolności od Wojewody i Kasztellana; kończył Wójt.

— A nie będzie wojny?

— Choćby i była, (bo to tego przewidzieć nie można)— obiecano nam jak najmniéj szkodzić!

— Zapewne! rzekł kiwając głową jeden z mieszczan, przeproszą nas zrabowawszy i płakać będę gdy spalą!

III.

Tomiło.

III.

Tomiło.

Zmierzchało już, ale jeszcze na Ratuszu, nie wydzwoniono gaszenia ogni, pełne jeszcze były gospody, garkuchnie i winiarnie i mniéj śmieli mieszczanie z latarnia-

mi, w kije nasiekiwane zbrojni przesuwali się po ulicach. W kościołach dzwoniono na Anioł Pański, któren pobożni klękając śród ulicy nawet odmawiali. Głos dzwonów mięszał się z turkotem kolass i wozów, z głosami przechodzących. W oknie Chodkiewiczowskiego pałacu na Zamkowéj, siedziała Xiężna Zofja Słucka, wpatrując się przez drobne szyby na ulicę, oczyma, które jednak nic nie widziały. Smutna, zamyślona, chciała się widokiem ulicznego ruchu rozerwać, ale padający zmrok i ten jéj widok coraz bardziéj odbiérał.

Siedziała jednak i patrzała w ulicę, jakby wyglądała czego, jakby na kogo czekała— A w ulicy dość było pusto, bo prócz kilku osób, które wchodziły i wychodziły z szynku Malchera pod Bachusem, nikt się nie pokazywał. Wrota Chodkiewiczowskiéj kamienicy jeszcze były otwarte na oścież, stał w nich tylko wrótny staruszek, mówiący jak wszyscy Anioł Pański za dusze zmarłe, które głos dzwonu pamięci żyjącéj braci, przywodził. Wtém od Zamku coś się zaczęło chlapać po

błocie i ukazała się stara żebraczka w łachmanach odartych, która coraz tu powolniéj idąc, wreście przeciw okien Xiężnéj, spójrzawszy w nie, zastanowiła się podniosła głowę i popatrzywszy coś, zamruczała. Postrzegła ona bladą twarz Xiężnéj, między szybami bielejącą.

— Dajcie szeląg ubogiéj, zawołała— a Bóg Was pocieszy. I to mówiąc wyciągnęła rękę ku górze, a w dół na wrótnego patrzała, który zajęty modlitwą, na nią nie uważał— I powtórzyła jeszcze.

— Dajcie Pani, szeląg ubogiéj! a Bóg Was pocieszy!

Otworzyła się szyba w oknie i z niéj w papiér uwinięty piéniądz wyleciał na ulicę, który uboga schwyciła skwapliwie, podniosła oczy w górę i zaczęła dziękować.

— Bóg Wam zapłać za jałmużnę, Jasna Pani! Bóg zapłać!

Xiężna okno zamykała już za sobą, a stara obejrzawszy się raz jeszcze, nazad Zamkową ulicą poszła, prędzéj niżby po jéj zgarbieniu spodziéwać było można. Jak tylko stra-

ciła z oczów kamienicę, jęła rozwijać pieniądz i rzekła do siebie.

— Cały talar! ale więcéj wart ten kawałek papiéru, niż pieniądz, bodajby był portugał. To mówiąc uwinęła papiér starannie i pociągnęła się do Radziwiłłowskiego pałacu, a doszedłszy furtki mniejszéj, która na ulicę wychodziła, weszła nią i prosto udała się ku galerji, do któréj wązkie wiodły schodki.

Śmiało i zręcznie wdrapała się na wschody zapukała do drzwi, otworzyła je i weszła. Zobaczył ją w piérwszéj izbie siedzący dworzanin i rzekł.

— Idź się rozbiérz w komorze, bo tu jest ktoś obcy — Coś zrobił?

— Wszystko dobrze! odpowiedziała mniemana żebraczka, kryjąc się do alkierza.

Tu zrzuciła łachmany, umyła się i wzięła męzkie suknie. Był to bowiem Tomiło Tomiłowicz, powiernik Xięcia, który tym sposobem list od Xiężnéj mu nosił. Przebrawszy się znowu wyszedł do izby i zapytał.

— Kto tu jest?

— Sprowadził tu P. Adam, jakiegoś Chod.

kiewiczowskiego dworzanina, którego tu poją i muchy mu z nosa wyciągają.

Dosłyszawszy tego, wszedł Tomiło Tomiłowicz do izby, gdzie się kilku jego towarzyszy dworzan znajdowali nad dzbankiem, wpośród których Pan Brożek, znajomy już nam, trochę podpiły, głośno gadał.

Na widok Tomiły, którego był już widział kilka razy, choć go po nazwisku nie znał, chwycił się z ławy Brożek i uścisnął go serdecznie.

— A i ty tu!

— I ja tu — odpowiedział Tomiłowicz.

— Cóż ty tu robisz? spytał Brożek.

— Przyszedłem w gościnę, rzekł i mrugnął na otaczających.

— Siadajcież a przepijmy do gościa — rzekł inny nalewając do kubka. I przepili w koło jeden do drugiego, kubek z rąk biorąc, a kłaniając się sobie. Tomiłowicz szeptał w ucho swoim towarzyszom.

— Czy już co gadał?

— Jeszcze nie! odpowiedział któryś, ale go już czas wyciągnąć, bo sobie podpił u Mal-

chera, a od Malchera tuśmy go przywiedli, ani się domyśla, że jest z Radziwiłłowskiemi.

— Do WMości P. Brożek, rzekł Tomiło. Co tu u Was słychać?

— At! co słychać! zawsze jedno, fortecę robią, armaty kupują i sprowadzają, wojsko spisują, szable ostrzą, pancerze podszywają skórą— Zjedzą tyle go djabła Radziwiłłowscy, jeśli nam dadzą rady.

— Oj pewnie! rzekł drugi — I dużoż tam już macie ludu spisanego.

— Kto ich tam policzy, odpowiedział Brożek machając ręką, z całego świata ich zbiéra Pan Starosta. Teraz P. Marszałek pojechał za ostatkiem do Pruss.

— Któż to taki Wasz Marszałek? spytał Tomiło.

— Albo go nie znacie! wéj! P. Mikołaj Chamiec. Nie lada rodu człek, mówi, że jeszcze wszystka litewska szlachta bydło pasła i w skórzanych łapciach chodziła, kiedy jego przodkowie Xiążętami już byli.

— No — ale teraz za to, odpowiedział Tomiło, on już nie Xiąże, a szlachta bydła nie

pasie. A zatém kwita byka za indyka. A którą drogą pojechał?

— A Bóg go tam wié!

— Wiele tam armat macie, co się o nie tak staracie?

— Ja myślę, że ich tu będzie więcéj więcéj, niż na ostatniéj wyprawie, bo żeby tylko miejsca policzyć, które dla nich przysposobiono, w kamienicy, na dachach i murkach.

— Już porobiono?

— O! tylko postawić armaty — zawołał Brożek. P. Barberjusz pracuje niezmiernie i powiada, że lepiéj im się będzie bronić, niż Radziwiłłowskim napastować, a choćby heretycy nie wiem wiele ludu mieli, to go w ulicy nie pomieszczą razem. To co przyjdzie na strzał, chłast w oczy kulkami i śmigownice wyśmigają.

Tomiło Tomiłowicz kiwnął głową, popatrzał na swoich, i znów jął wypytywać o ilości wojska.

— Dużoż tam u was ludzi?

— Mówiłem wam, że nie wiém dobrze, ale słyszę jak go zawsze na tysiące liczą Pan Barberjusz z Panem Starostą i Panem Alexandrem.

— Zkądże go bierzecie?

— At, po świątu jak grzyby — rzekł Brożek, ten tam ten sam. Czy to mało takich, co się za dobry jurgielt zaciągną! Nie żałują też pracy, posyłają za niémi wszędy. U nas ruch teraz wielki, Starosta jeździ a jeździ.

— I teraz pono niéma go w Wilnie?

— Niéma, powróci chyba na samą uroczystość, a to z działami i wojskiem razem, za miesiąc dopiéro.

— Któż tam będzie dowodził?

— A któż? sam Pan Starosta — zawołał Brożek, a pod nim P. Mikołaj Chamiec. Wojak też nie lada jak to mówią. Inni będą mieli różnych swoich rotmistrzów.

I znowu pili do siebie i śmieli się i gwarzyli lecz Tomiło znikł wkrótce. Pobiégł do Xięcia młodego.

Wszedł nieopowiedziany i stanął przy drzwiach. W komnacie paliły się kilka świec żółtych. Xiąże Janusz probował broni, szable wyginał, opatrywał, i ze stosu wielkiego głównie, snać do oprawy wybiérał.

— Tomiło? rzekł podnosząc głowy — a co?

— Jest pismo! odpowiedział dworzanin. Xiąże rzucił szablę i chwycił podany papiér, podbiégł ku świécy, czytał je, marszczył czoło i kiwał głową. Potém schował list i podniósł oczy.

— Co więcéj?

— Tylko cośmy tu sprowadzili jednego z Chodkiewiczowskiéj psiarni — papistę rzekł Tomiło — pogadał nam wiele rzeczy.

— Cóż takiego? spytał X. Janusz.

— Że P. Starosta zebrał dział wiele, że wojsko aż z za granicy spisuje.

— To nie sekret, rzekł Janusz.

— Że sam Pan Starosta dowodzić będzie.

— Nic i to nie wadzi — odpowiedział młody z pogardą.

— Że wszystko w kamienicy gotowe, strzelnice wykute w murach.

— A zkąd działa pobrali?

— Tego nie wié — Ale powiada, że Barberjusz jakiś tam ich Francuz zapewnia, iż lepiéj mu stokroć będzie bronić się w kamienicy, niż nam napadać i szturmować, bo wojska nasze wszystkie się w ulicę nie pomieszczą, a po jednemu z kolei podchodząc hufce, z dział wybite być mogą,

— Alboż to na to niéma rady? odparł Xiąże, nim oni działa po raz drugi nabiją, my wrota wyłamiem.

To mówiąc ruszył z pogardą ramionami i dodał.

— Wiész Tomiło, ile Chodkiewicze, po kupcach ołowu i prochu pożyczyli albo piéniędzy.

— Ołowu i prochów a saletry nie wiém wiele, a piéniędzy ilem się dowiedział kilkaset kop. Te wszystkie poszły na wojsko —

— Przynajmniéj się wycieńczą, zawołał Janusz — choć im wszyscy pomagają —! Król Je-

go Mość milczkiem i pocichu—Jezuici—Polacy. Ale potopią oni wszystkie błony okien swoich pałaców i kamienic na kule, wszystkie blachy i ryny kościelne, nim nas przemogą. Łatwiéj nam o tysiąc niż im o dziesięć.

—Na, rzekł do Tomiły, weź tę głównię i każ ją płatnérzowi osadzić w tę rękojeść mocno i uczciwie. Niech mi też naprawi lekką zbroję, choć jéj może włożyć nie wypadnie, niech będzie cała, bo i rzemiona się poobrywały i łuska na piersiach odstawuje się.

Tomiło Tomiłowicz zabrał co mu kazano, a Janusz w milczeniu stanął zamyślony.

—Widziałeś Xiężnę? spytał.

—Widziałem. Jak zawsze tylko z okna.

—Nikt cię nie postrzegł?

—Nikt sądzę, choć wrótny stał u bramy.

—Jutro—rzekł po chwili Xiąże, ja pójdę sam na twojém miejscu.

Wy! Xiąże, zakrzyknął Tomiło.

—Cóż to za dziw! Ja sam—Mógł Xiąże Siemion Słucki w żebraczém odzieniu, wejść do Lwowa do swojéj Halszki, sprobuję i ja tego fortelu.

— A jeśli W. X. Mość złapią?

— Jużciż mnie nie powieszą—rzekł Xiąże.

— Ale zdespektować mogą.

— Będę miał tulich pod suknią — Wszak niema Starosty, Kasztellan u siebie, w kamienicy same baby?

— Ale ciżba dworzan, ale oczu tyle, wszyscy tak dobrze W. X. Mość znają rzekł Tomiło. Co na to powié rodzic W. X. Mości?

— Wojewoda wiedzieć nie będzie, prędko podchwycił Janusz, a ty nie plećprzed nikim Tomiło, wara! bo ci niechybnie języka oberznę. Myślisz że się potrafię dostać do środka?

— Jeśli słudzy na kułakach nie wypchną.

— Jużciż puszczą żebraczkę —

— Tego nie wiém — rzekł Tomiło, sam nigdym się do środka nie dostał.

— Bo tchórz jesteś.

— Ja, M. Xiąże? Ja? Kiedyż W. X. M. złapałeś mnie tchórzem?

— Ot teraz gdy mi odradzasz jedynego sposobu widzenia się z Xiężną — którego koniecznie potrzebuję.

— Bo o W. X. Mość się lękam, nie o siebie.

— O mnie, czy o siebie, dość że się boisz, rzekł Xiąże—Idź do płatnérza—Na jutro suknie żebracze!

IV.

Xiąże Janusz w Kamienicy Chodkiewiczowskiéj.

IV.

Xiąże Janusz w Kamienicy Chodkiewiczowskiéj.

Nazajutrz wieczorem samym, drzwi u X. Janusza, były na rygiel ze środka zamknięte, bo on brał na się żebracze odzienie, pod którém miał się weisnąć do

Xiężnéj. Odważny młodzian ze wstrętem dotykając łachmanów, któremi go Tomiło Tomiłowicz odziéwał, śmiał się niekiedy sam do siebie.

— Otożby dopiéro, mruczał, śmieli się ze mnie nieprzyjaciele, gdyby mnie w tym stroju widzieli, gdyby mnie pod temi chusty złapali. Ale licha zjedzą, nim się tego domyślą!

To mówiąc wdziéwał brudne płachty, i czarne swoje włosy związywał chustą a niższą część twarzy czarno obrastającą, przykrył także széroko pod brodę zaplątaną szmatą. Potém Tomiło podał mu kosztur i nauczył go jak miał iść, jak się garbić, jakim głosem mówić. Powtórzył przestrogi, jak się wkraść do kamienicy.

— O téj porze, rzekł, Xiężna zapewne jest sama w swojéj komnacie, bo P. Ochmistrzyni bawi zwykle na pacierzach z kobiétami, które Xiężna jako innéj wiary, osobno odprawia i wcześniéj. Znasz W. X. Mość drzwi pokoju Xiężnéj Pani, miéj cierpliwość pomodlić się przed niémi a nie wchodź, aż wprzód się przekonasz, że w kurytarzach niéma niko-

go. Pokój P. Ochmistrzyni jest tuż obok, przeto i głośno mówić nie radzę. Nie bardzo wrótny puszcza żebraków, bo i ja kilka razy probowałem wkraść się do kamienicy, a zawsze mnie bez litości odepchnął. Uważaj przeto W. X. Mość, abyś się wcisnął furtką, gdy on się zapatrzy i mniéj uważać będzie. Nie baw też W. X. Mość długo i nazad uproś Xiężnéj, aby Cię któréj słudze nazad do wrót odwieść przykazała; boby cię mogli trząść i szukać czy nie ukradła czego żebraczka. A takby się wszystko wydało.

Gdy to mówił Tomiło, Xiąże resztę swego ubioru wdziéwał, torbę narzucił, przypasał garnuszek i szedł do drzwi.

Czekaj W. X. Mość, rzekł jeszcze sługa, niech wprzód zobaczę, czy niéma kogo, coby zobaczywszy W. X. Mość w tym stroju mógł co pogadać nie do rzeczy.

I Tomiło wybiegł, obejrzał, powrócił.

— Idźże W. X. Mość z Bogiem, i daj Boże szczęśliwie!

Xiąże Janusz wyśliznął się z komnaty i śpiesznо zbiegał ze wschodów.

— Na Boga Żywego! rzekł Tomiło doganiając go, nie idźcie W. X. Mość, tak śpiesznie i tak prosto, bo wszyscy poznają, żeś nie jest kim się pokazujesz. Powoli potrzeba, zgarbiono, a oczy i głowę w dół opuścić.

X. Janusz poprawił się trochę i wyszedł w ulicę. Ale zaledwie tu stanął, znowu się zapomniał, podniósł głowę i gdy go ktoś przechodzący potrącił, omało się nie wydał; już zabrawszy się go karcić, przecież przejąwszy się duchem swego stroju, pomiarkował się w czas i już pokorniéj, powolniéj, wlókł się ku kamienicy Chodkiewiczowskiéj.

Zmierzchało właśnie, a wrótny znowu Anioł Pański odmawiał, w oknie blada świeciła twarz Xiężnéj. Udana żebraczka podniosła oczy i rzuciła się do bramy. Wrótny właśnie był zatopiony w modlitwie i nie uważał, jak się boczną furtką wślizgnęła — do kamienicy. Tu cicho było. Cały dom się modlił lub po izbach porozchodził, puste były wschody, a Xiąże Janusz obejrzawszy się dokoła, poszedł niemi, ku znajomemu sobie mieszkaniu Xiężnéj. Niespokojność go jednak mimowolnie

brała na każdy szelest wokoło, na każde szeleśnięcie, na każdy trzask otwiérających się drzwi. Z bijącém sercem stanął u proga i mruczéć począł jak gdyby się modlił.

Stał tak chwilę, a nikt do niego nie wyszedł. Coraz głośniéj się modlił i spójrzał w komnatę. Xiężna jeszcze stała w oknie—Chcąc jéj uwagę na siebie obrócić, Janusz odezwał się.

—Na miłość Boga dajcie szeląg ubogiéj.

Zofja odwróciła się szybko i spójrzała dokoła siebie, podsunęła się ku drzwiom.

—Po cóś tu wszedł? zawołała sądząc, że to był Tomiło Tomiłowicz—Idź! idź sobie, bo cię złapią—poznają—Idź!

Wtém Janusz, oderwał z twarzy swojéj chustkę, która go zasłaniała i pokazał się jéj. Mimo zmroku panującego w komnacie, poznała go a raczéj przeczuła Zofja i zakrywszy twarz rękoma odstąpiła od niego.

—Także to mnie witacie? rzekł Xiąże Janusz pocichu.

—Po cóżeś tu wszedł? odezwała się Zofja. A! idź! idź! mnie śledzą, spiegują, zobaczą Cię, Ty siebie i mnie narażasz—IdźXiąże—idź!

— Ja nie pójdę tak, rzekł Xiąże, i nie po tom przyszedł, abym z niczém odchodził — Chciałem mówić z Tobą Xiężno, bo Twoje pisma codzień bardziéj mnie trwożą. Tak że Cię to już nieprzyjaciele nasi, uprzedzili i obłąkali, że się nas zupełnie wyrzekasz?

— To nie czas, to nie miejsce odpowiedziała Zofja lękliwie się oziérając dokoła, nie czas się tłumaczyć. Ja dałam słowo Kasztellanowi, że się z Tobą widzieć nie będę — Idź Xiąże, zaklinam, idź — idź prędzéj. Idź ztąd!

— Ja nie pójdę — rzekł Xiąże — ja tu zostanę, bodajby mnie Chodkiewicze wyrzucić kazali za wrota. Ja z Tobą muszę pomówić Zofjo. Tak dawnom Cię nie widział, chcę się przekonać, czyś zapomniała ze wszystkiém już mnie i twoich dawnych przyrzeczeń.

— O! ja wszystko pamiętam — wołała stłumionym głosem Xiężna, lecz na miłość Boga, na Trójcę Przenajświętszą, na wszystko Cię zaklinam, idź ztąd idź, poznają Cię — Xiąże pomyśl tylko, co o mnie, co o Tobie powiedzą, co ze mną poczną, jeśli tu Ciebie odkryją. Ja będę najnieszczęśliwszą, mnie zamkną

w klasztorze, mnie obstawią strażą, ja będę niewolnicą! Ulituj się nade mną, idź, idź!

Xiąże nie ustępował.

— Jedno tylko słowo, a pójdę, rzekł — Jesteśli zawsze jak byłaś moją, Zofją, czy nie?

— Zawsze Twoją jestem duszą — odpowiedziała Xiężna, ale nigdy twoją nie będę.

— Jakto! Cóż to znaczy?

— Dałam słowo i dotrzymam słowa Kasztellanowi stryjowi, że tę myśl nawet i nadzieję odepchnę. Nie naglij mnie Xiąże, nie obwiniaj mnie, bo nie moja wina. Wyście to sami zrobili — nie Ty Xiąże, ale Twój ojciec.

— Mój ojciec! Was już Xiężno nauczono na nas patrzéć inaczej niż wprzódy, lecz cóż na Boga winien nasz ojciec; że się o swoje na Chodkiewiczach dopominał, i że gdy oddawać nie chcą, przed Sąd ich powołał? Jestli to taką zbrodnią, jak niedotrzymanie i połamanie obietnic, które tak haniebnie połamali oni?

— Nie mów nic na nich Xiąże, odpowiedziała Zofja, jam im winna wdzięczność, ja tego słuchać nie będę — Idź, idź? Niech to

Bóg przemieni. Jeśli kiedy zmienią się okoliczności, jeśli oni się nakłonią, znajdziesz mnie zawsze taką jak byłam, kiedyśmy z sobą dziećmi w Brzostowicy igrali!

To mówiąc Xiężna wezwawszy wspomnień owych lat dziecinnych, mimowolnie się poruszyła i zamyśliła, tak żywo jéj one przed oczyma stanęły.

— Więc to tylko odpowiedź twoja Zofjo!

— Tyle tylko odpowiedzieć mogę — rzekła, bo ja nie jestem swoją, ja sobą nie rządzę— ja nic nie mogę — chyba płakać i cierpieć.

Xiąże Janusz uderzył nogą w podłogę i wyprostował się dumnie pod swojemi żebrackiemi łachmany, a patrząc na bladą piękną twarz Xiężnéj, poruszył się gniewem okropnym, wspomniawszy na swoje położenie dzisiejsze, i na nadzieje jakie miał wprzódy.

— Otoż co oni zrobili! zawołał.

— Nie oni, odpowiedziała Zofja — nie oni zrobili dwoje nieszczęśliwych — Na cóż było ich jątrzyć, na co ich było do ostatka doprowadzać?

— Mogliżeśmy się im płaszczyć, my! my! rzekł Janusz.

— Lecz czyż dla mnie nie mogłeś tego uczynić?

— Dla nikogo, i za nic i nigdy! zawołał dumnie Janusz.

Xiężna cofnęła się.

— Idź, rzekła, już i tak nadto tu jesteś długo; zaraz się skończą paciérze, ludzie się po kórytarzach rozpierzchną i gdy Cię tu spotkają — A! idź, idź na Boga!

— Słowo jeszcze — tylko słowo — odezwał się Janusz, tak to mi dziwno, z Tobą Xiężno mówić ukradkiem, widzieć się tylko tak krótko! — O! nie tak bywało dawniéj — Zofjo, ja się o Ciebie dobijać będę orężem i wojną, ty wiész o tém. Jeśli do Ciebie przyjdzie nasz spór jedném słowem rozstrzygnąć, pomnij na naszą młodość, na wszystko dawne. Wszak wyrzeczesz się za mną? wszak gdy Cię spytają, czy mnie żądasz za męża — nie zamilkniesz, nie odepchniesz mnie. Wszak mogę na to rachować — Zofjo! I Xiąże czekał odpo-

wiedzi, Xiężna Zofja milcząc patrzała na niego.

— Niéma temu nad kilka miesięcy pytał mnie o toż samo, temiż prawie słowy Kasztellan, odpowiedziała, powiedziałam mu, że jestem Twoją i nigdy się Ciebie usty nawet nie wyrzeknę, alem mu obiecała, że nigdy Twoją nie będę bez jego zezwolenia. On mnie zna, on nie dopuści ażebym ja rozstrzygała między wami, bo wié, że mijając wszystkie waśnie, za Tobą bym się wyrzekła.

— Za mną! zawołał Janusz — Dzięki Ci za słowo! Dałaś mi nową broń do walki z niemi! Jeśli tak, ja będę stał przy tém, ja dopnę tego, że Ty wszystko rozstrzygniesz, że Ty będziesz moją. Tak, tak, dodał, bądź spokojna — próżno się Chodkiewicze zmagają, będą oni musieli ustąpić, bo nie po ich sile z nami się zadziérać. Gdyby przyszło miasto zburzyć całe, a Ciebie tém dostać — my je zburzym, my je wywrócim, rozniesiem po cegle. Nie bój się więc Zofjo i miéj nadzieję — Jeśli Ty za mną, my swego dopniem. Tyś moja!

Ale Xiężna, gdy to Janusz domawiał, już

się była odwróciła, i dawała znak Xięciu, aby odszedł, gdyż usłyszała, skrzypnięcie drzwi i wprzód nim Xiąże potrafił twarz zasłonić ukazała się Ochmistrzyni, w całéj swojéj wspaniałéj strukturze, ukazała się i stała w progu. A ujrzawszy żebraczkę w mroku, zawołała.

— Co to? kto to? Kto tu śmiał wejść? Xiężna poskoczyła ku niéj śmiało.

— Mója Pani Włodska, rzekła, nie łajże i nie hałasuj — chciałam dać jałmużnę, téj biédnéj kobiécie i zawołałam ją tutaj z ulicy— Cóż w tém złego?

— Co złego? podchwyciła Ochmistrzyni, ale to szkaradnie! Czyż to się godzi żeby żebracy dotykali W. X. Mości. Coby na to rzekł P. Kasztellan, gdyby się dowiedział; Bóg wié jaka żebraczka złodziéjka.

— Ale ona się zawsze modli w naszéj Cerkwi — odpowiedziała Xiężna — ja ją znam.

— Oni to roznoszą zarazę i choroby po mieście, mówiła ciągle szybko Ochmistrzyni, jeszcze tu, Boże uchowaj, jakiéj zarazy naniosą — Precz! precz! ja jéj muszę kazać dać

naukę, żeby się drugi raz nie ośmieliła włóczyć po kamienicy.

— Na miłość Boga, zawołała Xiężna nie czyńcie tego Pani Włodska, nie czyńcie — Czyż się to godzi, mnie wstyd robić. Kiedym ja ją zawołała, a wy jéj krzywdę uczynicie, to spadnie na moje sumienie, moja droga Pani, dajcież jéj pokój. A do Xięcia ozwała się.

— Idźcie sobie, idźcie poczciwa kobiéto— Bóg z wami, idźcie, czego stoicie. Xiąże się ruszył, a Zofja schwyciwszy za ręce Ochmistrzynią, trzymała prosząc ją ciągle. Ta zaś wyrywała się i krzyczéć chciała na sługi, aby żebraczkę ze wschodów zepchnęli. Tym czasem Xiąże Janusz schodził ze wschodów i śpieszył do bramy, ale tu niespodzianie, zastał ciżbę dworzan, którzy rozmawiając z wrótnym, wyjście mu zaparli. Chciał się przecisnąć przez nich, nie było sposobu. Skurczywszy się więc jak mógł, przypadł w kątku ciemniejszym i czekał. Tym czasem noc stawała się coraz ciemniejsza, a panowie dworscy, pogadawszy chwilę, rozchodzić się poczęli i już Xiąże Janusz do wrót się cisnął,

gdy go wrótny postrzegł i za kołnierz pochwycił!

— Coś ty za jedna? Po co ty tu? Héj! złodziejka! krzyknął — Hola, he!? Jest tam kto? trzeba ją przetrząść i ochłostać, kiedyś ty się tu wkradła? jak?— I wrótny wrzeszczał na całe gardło, a na hałas ten u bramy już się posunęli ludzie z drugiego dziedzińca, gdy Xiąże Janusz widząc niebezpieczeństwo swoje szarpnął się mocno, wyrwał wrótnemu i pogonił w drugą stronę pędem, sądząc, że wrota przeciwne zostanie otwarte. I te wszakże zamknięte już były i zasunięte drągiem. Od nich więc biegł po pod murem, ku stajniom, a dopadłszy gdzieś siana, ukrył się i znowu przypadł.

Tym czasem na głos wrótnego—

— Złodziéj! złodziéj! wszyscy się zbiegli.

— Gdzie? co? wołali.

— O tu, tu był, trzymałem go za kołnierz, mówił wrótny, tylko co mi się wymknął i pobiegł w tamtą stronę dziedzińca — Latarni dajcie, latarni.

Pobiegli po latarnią. Słyszał to wszystko

Xiąże Janusz i myślał co miał począć, a przygotowawszy broń którą miał pod łachmanami z bijącém sercem wyglądał, aż go znajdą. Wkrótce dało się słyszeć chodzenie po kamienicy i gadanie. Przetrząsano kąty, zaglądano w kryjówki, otwiérano drzwi. Głosy zbliżyły się do stajeń, ale tu nie wiém czemu nikomu na myśl nie przyszło, szukać złodzieja... Długa godzina tak upłynęła w niespokoju i Xiąże Janusz usłyszał wreście jak wrótny drzwi zamykał, mówiąc.

— Niechaj no przyjdzie dzień, to go tu znajdziemy, boć się przez mury nie przedrapie, ani się gdzie skryje — Ja go jutro dopilnuję, gdy wrota otworzą. Jakoż wszyscy się rozeszli powoli i Xiąże Janusz, sam w stajniach na sienie pozostał. Wkrótce uciszyło się zupełnie, a miarkując po czasie i po wołaniu nocnych stróżów, wyrachował, że około północka już być musi. Nie biédził się wcale Xiąże wyjściem, bo szczęściem miał z sobą, ów klucz, któren mu kazał dorobić z wycisku na wosku Tomiło Tomiłowicz. Zapomniał tylko Xiąże, od któréj był furtki. Nie tracąc

jednak śmiałości wyszedł ze stajen i po pod murem, korzystając z ciemności powlókł się naprzód do furtki od ulicy Sawicz, odrzucił drąg, poprobował klucza — klucz nie przypadł.

Potrzeba więc było Xięciu przebyć cały dziedziniec i do drugiéj furtki się dostać. Ale wtém, gdy się już z kluczem do drzwiczek zbliża, i w ciemności ich szuka, słyszy za sobą chód. Zastanawia się. Ktoś idzie do furtki także. Xiąże już ją odemknął i miał się z kamienicy wysunąć.

— Kto tam? ozwał się nadchodzący.

Xiąże Janusz przypomniał sobie, jakim sposobem Tomiło Tomiłowicz klucza dostał i odpowiedział.

— Swój, idę po wino dla P. Barberjusza.

— Co? zawołał nadchodzący — i wy? a któż wam dał klucza od furtki?

— Kto? a co Waści do tego?

— I bardzo do tego, rzekł zbliżając się Brożek, on to bowiem był, bo ja mam klucz od téj furtki dany mi przez P. Burczaka i idę po wino dla P. Barberjusza.

Gdy to mówił, już Xiąże znikł w ulicy i szybko dążył ku swemu pałacowi, gdzie go u wrót czekał Tomiło Tomiłowicz przestraszony długą niebytnością, niespokojny, nie wiedząc już co począć, lękając się gniewu Wojewody, gdyby się o tym wypadku dowiedział.

— To Wy! zawołał, a dziękić Bogu! bo od kilku godzin truchleję ze strachu.

— Zawsześ tchórz Tomiło Tomiłowicz, odrzekł Xiąże — Byłbyś niechybnie umarł gdybyś był na mojém miejscu i w mojéj skórze, gdy mnie jak złodzieja chwytano.

— Jak złodzieja! wykrzyknął Tomiło, W. X. Mość!

— To szczęście żem miał z sobą twój klucz Tomiło, boby inaczéj dali mi byli naukę dobrą, odpowiedział Xiąże, wchodząc do pałacu. A tak im z rąk uszedłem.

I śmiejąc się dodał.

— A twój dworzanin znowu po wino poszedł, właśnie go spotkałem we wrotach ze dzbanem i gdy mnie spytał — kto jestem? odpowiedziałem mu, że idę po wino dla P. Barberjusza, będzie tam z tego gadania wiele.

—Nic to wszystko, rzekł Tomiło, byleby W. X. Mości, nikt nie poznał — a niechaj im się we łbach jak chce przewraca!

To mówiąc otworzył furtkę Kardynalij i wprowadził Xięcia Janusza do jego mieszkania tylnemi wschody.

V.

Ostrabrama.

V.

Ostrabrama.

Niedaleko Monastéru i Cerkwi Stauropigjalnéj Ś. Ducha, a z drugiéj strony o staje tylko od Gościnnego Dworu Kupców Ruskich, na Ostrym końcu, wznosiła się

jedna z pięciu bram miasta, przed stu laty za Alexandra zmurowanych, gdy popłoch od Tatarów, przynaglił Króla, Wojewodę, Biskuka Wojciecha, do pomyślenia o obwarowaniu miasta i zabezpieczeniu się w niém, od najazdu dziczy pogańskiéj. Brama ta była nastrzępiona blankami i dwóma wieżyczkami, w których gdyby oczy, czerniały strzelnice puste, bo minęła chwila strachu i śmigownice leżały znów i rdzawiały w Cekhauzie miejskim. Ciężkie dębowe nabijane żelaznemi gwoździami wrota, stały jeszcze otworem na potężnych wrzeciądzach, w górze po nad niemi gęsta żelazna krata zasłaniała otwór Bramy. Nie było na piętrze mieszkania żadnego, tylko od strony miasta, po nad wrotami w murze, widać było w framudze nieglęboko wydrążonéj Obraz Matki Bozkiéj, zasłonięty malowanemi okiennicami, przed którym paliła się mdłém światełkiem lampa. W koło framugi wystająca, była galerijka żelazna, do któréj z dołu pobożnych, wiodły wschodeczki wązkie, z boku budowy, zewnątrz przyczepione. Już naówczas obraz w Ostréj Bramie znaj-

dujący się, był w wielkiém poszanowaniu u ludu, który się doń modlił we wszystkich swoich potrzebach i strapieniu wszelakiém. Nie było jednak przed obrazem ołtarza i jedna tylko lampa utrzymywana przez pobożnych, paliła się w framudze, a wązka galerijka przy obrazie, zaledwie kilka osób razem pomieścić mogła. Magistrat swoim kosztem, gdy nie dostawało ofiar, palił lampę przed obrazem, uważając już za opiekunkę i patronkę Matkę Bożą, której łagodne oblicze wznoszące się po nad głowami mieszkańców, z założonemi na piérsiach rękoma, zdawało się tulić biédnych do siebie i płakać nad niemi.

Mieszczanie przechodzący tędy zdejmowali z uszanowaniem czapki i kapuzy, a kupcy Rusey stojąc we drzwiach swego gościnnego domu, ganiali Żydów którzy zbliżając się do Ostréj Bramy nie zdejmowali nakrycia z głowy; — tak, że rzadko Żyd tamtędy, chyba po nocy, przejść się odważył.

W Bramie siedział Wrótny i Strażnik miejski pobierający od przejeżdżających na targowisko chłopków, grosze od woza lub ka-

mienie, któremi także prawo wjazdu do miasta opłacano w początkach. Nieraz pod tym Matki Bozkiéj Obrazem zacięta walka i spór i bójka się wszczęła, nieraz się zakrwawił bruk i garśćmi włosów zarzucił, nieraz krzyki pijanych i przekleństwa rozhukanych, o te mury się odbiły. Lecz Matka Boża, darowała grzesznikóm.

Nieco opodal od Bramy siedziały kilka przekupek, jedne ze świętościami, inne z pierniczkami. Te ostatnie zwano łakotnicami, bo po mieście roznosiły łakocie w koszykach. Piérwsze zaś przedawały szkaplerze, pierścionki, krzyżyki, obrazki i t. p. Były to ubogie niewiasty, które tym sposobem wstydząc się żebrać, powszedni chléb zarabiały uczciwie. Łakotnice, kobiéty po większéj części z przedmieść trudziły się przedażą słodyczy, owoców, to roznosząc je po mieście, to siedząc w miejscach najętych na zydlach, po za stoły drewnianemi, na których na misach i czerepkach, rozłożone stały łakocie, pierniki, makowniki, owoce. Tego wieczora już się łakotnice zabiérały do domów, już prze-

kupki szkaplerzy i krzyżyków zwijały swój kramik, już i Strażnik Miejski, chodził gwarząc po bramie, czekając chwili, w któréj z czystém sumieniem, będzie mógł zamknąć wrota i pójść do ciepłego swego kąta.— Wtém od miasta, ulicą dał się słyszéć chód szybki po bruku i młody wysoki mężczyzna ze dzbanem w ręku próżnym, przybiegł pod Bramę. Wszyscy spójrzeli na niego, pomięszany był i nieprzytomny. Wdrapał się na wschodki do obrazu wiodące i ukląkł przed nim, a postawiwszy dzban jął się gorąco płacząc i chlépiąc modlić. Lampa mdlała przed obrazem, on płakał.

— Otoż, ozwała się Marussa łakotnica, spoglądając na stróża bramnego, jakiś biédny pacholik modli się do naszéj Matki Bozkiéj, a płacze!! Widać go coś przypiekło!

A strażnik wychyliwszy się z wrót, spójrzał w górę, pokiwał głową i rzekł.

— Gorącoż się modli, musi mu coś djable dolegać.

— I stara szkaplernica Iwanowa z Łuki-

szek, obróciła się, utarła nos poważnie (bez pomocy fartucha) i rzekła.

— Jakiś nieborak, ode dworu czyjegoś, bo porządnie ubrany, znać go kara może jaka ma spotkać, bo się Matce Bożéj wyprasza.

A na galerji klęcząc i płacząc modlił się P. Brożek (on to był znowu) załamawszy ręce.

— Matko Bozka cudowna! wołał podnosząc oczy i ręce, cóżem ja uczynił, że mam umrzéć. — Ach! czyż to na mnie pora umiérać!

— Gada o śmierci! rzekła zcicha do łakotnicy Pani Iwanowa, coś to niemałego!

— O śmierci? spytał ciekawie strażnik. Daćby może znać do Ratusza, może to hultaj jaki, albo się myśli targnąć na siebie. Wziąśćby go i związać i w turmę posadzić, a dać na pytki, toby wszystko wyznał.

— To nawet czego nie zrobił! dodała Pani Iwanowa.

A P. Brożek modlił się.

— Matko Bozka cudowna, ochroń mnie od niezawodnéj śmierci! Zlituj się nad młodo-

ścią moją, ja życie poprawię i do Klasztoru wstąpię.

Strażnik podsłuchiwał Brożka.

— To już nie chybi, szepnął, jakiś zbrodniarz skazany, złapać by go, musiał się tylkoco wyrwać z więzienia i myśli do Klasztoru, żeby go ztamtąd władza świecka nie odebrała.

Gdy się tak P. Brożek modli, a Strażnik domyśla więcéj niż jest, z drugiéj strony nadbiegają od Ostrego przedmieścia Miednickim gościńcem ku Bramie, jacyś jezdni. Strażnik ku nim się odwrócił i twarzą i uwagą całą. Bo było ich kilkunastu, a jechali kłusem na tęgich hestrach, a śpieszyli znać, żeby Bramy nie zaparto przed niémi. Jak tylko ujrzeli Strażnika, jęli na niego wołać.

— Hola ho! Straż! Nie zamykajcie wrót!

— Albo co? spytał Strażnik mając się do czapki, bo przeczuwał w jezdcach dwór jakiegoś znakomitego Pana.

— Zaraz za nami dążą, posłowie J. Królewskiéj Mości. Panowie Senatorowie z Warszawy!

Strażnik się pokłonił, oni wjechali wrotami, pozdejmowali czapki przed obrazem i stanęli na ulicy, oglądając się po za siebie.

— Strażnik był ciekawy, jakoż nizko czapkę zdjąwszy i łagodną nastroiwszy uśmiéchającą się minkę, zbliżył się ku nim i rzekł.

— A nie można by wiedzieć, co są za ci Panowie Senatorowie?

— Cóż ci z tego przyjdzie, spytał jeden konny — choćbyś i wiedział?

— Będzie nosił po mieście nowinkę — dodał drugi.

— Alboż to pospolitemu człowiekowi, niewolno mieć i odrobiny ciekawości, rzekł strażnik uśmiéchając się a wdzięcząc. Toć to każdy ciekawy, każdy radby wiedzieć coś więcéj od drugich. A zaniosłszy nowinę na Ratusz, dostałbym co od Panów Radnych.

Nie odpowiedzieli jezdni, nic na to, tylko się na wrota patrzali, a tym czasem podeszła ku nim łakotnica z koszykiem i częstowała ich łakociami, na które się rzucili bardzo łapczywie i targować je, jeden przed drugim zaczęli.

Mieszczka zaś, po swojemu wdzięcząc się i uśmiéchając do Panów Dworzan Senatorskich, powoli badać ich zaczęła. Co inszego to, gdy pyta kobiéta, co innego gdy mężczyzna; zwłaszcza gdy kobiéta jeszcze młoda i hoża; jakoż rozwiązały się usta poniewoli dworzanom, gdy ich tylko zaczepiła łakotnica, poprawując sobie czarnego czółka, i rzucając na nich po kolei, niebieskiemi oczyma.

— Wieleż to tych Panów Posłów? spytała. A gdzież to oni jadą?

— Tutaj jadą do Wilna, tu, odpowiedział najbliższy chowając pierniki do kieszeni kaftana, prosto i umyślnie do was, do Pana Wojewody i P. Kasztellana, żeby ich rozbroić i wojny między niémi, nie dopuścić.

— A! chwałaż Bogu, odpowiedziała mieszczka, to już wojny nie będzie?

— Pewnie, że nie będzie! rzekł drugi.

— I miasto zostanie spokojne! Chwałaż tobie Boże! dodał strażnik.

— A jacyż to Panowie? wypytując zagadła znowu łakotnica.

— Xiądz JM. Biskup Żmudzki — rzekł jeden jezdny, mój Pan.—

— Pan Wojewoda Witebski — ozwał się drugi.

— Pan Marszałek Litewski — rzekł trzeci.

— I Pan Podskarbi, dorzucił pierwszy. Ale cicho! sza! precz z drogi — bo oto już jadą — Jakoż gdy to mówili, ulicą przedmieścia, pokazał się jakby sznur czarny ruszający się, zbliżający ku bramie. Gdy głowa jego wsuwała się w Bramę, ustąpili wszyscy na bok z drogi i w milczeniu poglądali. Jechały tam kolassy ozdobne, szły wierzchowe konie, byli dworzanie, byli pachołcy i wielkie bryki skórami okryte, na których kuchnią i tłumoki wieziono. Dwóch z Panów Senatorów, których łacno było poznać, po bogatych strojach i po minach poważnych, jechali konno; dwóch w kolassach posunęli się prosto minąwszy Bramę ku Ratuszowi i daléj pod Zamek.

Gdy się to dzieje, modli się na galerji u Bramy. P. Brożek, a wymodliwszy się zabiéra dzban i odchodzi wolnym krokiem do do-

mu dumając. I on był świadkiem wjazdu, dowiedział się o PP. Senatorach, śpieszy z nowiną do domu, trochę uspokojony modlitwą, Jednakże nim do Chodkiewiczowskiéj kamienicy doszedł, napełnił dzban u Malchera i skrywszy go pod połę, wtacza się w dziedziniec, drapie się na wschodki, wchodzi, gdzie na niego czekali P. Barberjusz, P. Stanisław, P. Burczak i kilku jeszcze innych.

— Ale żeś się bawił, Panie Brożek — rzekł Francuz wyciągając rękę po dzbanek, jak gdybyśmy cię posłali o cztéry mile. Dobrze WMości, po tutejszemu mówiąc, posyłać po śmierć, nie po wino.

— To też ja sobie śmierć wychodziłem — rzekł Brożek smutnie dzban stawiając.

— Co? spytał Barbier — co? Jaką śmierć? WMość od wczora jesteś jak postrzelony?

— Bo to się wczoraj stało — odpowiedział Brożek.

— Cóż się wczoraj stało? spytali ciekawie wszyscy.

— Na co to już i mówić!

— No! ale cóż to jest? podchwycił żywy

Francuz, ja uważałem zaraz po Wasz Mości, żeś wczoraj jak zdjęty z krzyża powrócił i nic nie mówił. Cóż to ci się stało? Przecież to nie tajemnica żadna, zapewne—? Co WMość o jakiéjś śmierci prawisz?

— Trzeba mi umrzéć! odpowiedział Brożek.

— A toż dla czego? Cóż to jest, mówże wszystko? rzekli przytomni otaczając go. Jak to było? odgroził się kto na WMości, czy co?

— Żebyż się tylko kto odgroził? Ale to.

— Ale cóż?

— Ot tak było, rzekł wreście obsedowany Brożek. Wczoraj WMość posłaliście mnie po wino, bardzo późno, i myślę że już północ być musiała — godzina duchów i zjawisk.

— Cóż się WMości ubrdało! rzekł Francuz gdzieżeś widział jakie zjawisko?

— Zbliżałem się do furtki kamienicy, aby ją otworzyć, gdy ujrzałem —

— Cóż ujrzałeś?

— Drugiego takiego jak ja, z kluczem i dzbanem idącego przede mną? Kto tam? spytałem? A on mi grubym głosem — Idę po wino dla P. Barberjusza — Ja jeszczem się

nie zląkł— To ja idę po wino — rzekłem — To ja, odpowiedział mi duch i otworzył furtkę.

— Furtkę otworzył! krzyknął P. Burczak, czémże ją otworzył, kiedy u WMości był klucz.

— Bo to był duch — rzekł Brożek — otworzył ją mówię, wyszedł przede mną w ulicę i zniknął.

Wszyscy słuchając tego opowiadania osłupieli.

— To się WMości śniło chyba — zawołał P. Barbier.

— Żebyż mi się śniło! odpowiedział płaczliwie Brożek, ale to święta prawda, na którą przysięgnę— Chodziłem wczoraj umyślnie pytać rozumnych ludzi i kobiét starych, powiedzieli mi, że ten duch, to oznajmienie śmierci mojéj, któréj się nie uchronię, chyba wstępując do Klasztoru.

— Brednie, odrzekł Barbier szybko — Wszystko ci się marzyło — To być nie może.

— Kiedy mówię — zawołał Brożek i ręczę, że tak było. Taciem nie ślepy, tać się furt-

ka otworzyła, taciem ja ją potém zamknął, chociażem nie odmykał. I mimo ciemności widziałem jednak, że to był zupełnie *alter ego*, drugi ja, takusienki.

— W głowie mu się pomięszało — rzekł Barbier, pijmy tym czasem. I kubki nalewał, a potém rzekł do Brożka.

— Rozpatrz no się WMość, czyś tylko nie był wówczas pijany.

— Na Świętą Trójcę WMości przysięgnę, żem w gębie nic nie miał— rzekł Brożek ręce krzyżując. Byłem przytomny, jak teraz jestem i widziałem to oczyma własnémi.

— Dziwna rzecz — przerwał Burczak, ale najdziwniejsza, że ten duch furtkę otworzył, bez klucza — Bo klucz był u WMości.

— Jak Bóg Bogiem prawda, że furtkę otworzył i w moich oczach nią wyszedł.

Wszyscy umilkli.

— A gdzieżeś się dziś tak długo bawił, spytał P. Barbier— Przecież to wczoraj się działo.

— Chodziłem się modlić — odpowiedział Brożek wzdychając, modlić się do Najświęt-

széj Panny w Bramie Ostréj i prosić, żeby mnie ode złego zachowała. Widziałem tam właśnie, jak Panowie Senatorowie przyjechali.

— Jacy PP. Senatorowie?

— Od Króla J. Mości, wysłani do Pana Kasztellana i Pana Wojewody dla ugody.

— Przyjechali? zawołał zrywając się Pan Barbier,

— Przed chwilą.

— A czemuż tego nie mówisz— trzeba biedz z uwiadomieniem do JMP. Kasztellana. To mówiąc Francuz rzucił dzban i porwał płaszcz i szpadę— Daj mi WMość klucza, rzekł do Burczaka, ja zaraz powrócę.

To mówiąc skoczył pędem do Kasztellanij.

VI.

Ojcowie Jezuici.

VI.

Ojcowie Jezuici.

Gdy się to dzieje, a Panowie Senatorowie od Króla przysłani do Wilna przybywają dnia trzydziestego Stycznia 1600 roku; wieść się tym czasem rozchodzi, że

wojska Radziwiłłowskie w wielkich ufcach ciągną ku Wilnu, ze wszystkich stron i kupią się razem. Głośno o tém stronnicy Wojewody mówią i o liczbie i o doborze. Ale nawzajem Katolicy głoszą, iż Jan Karol Starosta Żmudzki z kilką tysiącami ludzi i kilkunastu działami, ciągnie także do Wilna i już jest tylko o cztéry dni drogi od niego. Obie strony w milczeniu i pozornéj obojętności gotują się zetrzéć i orężem popiérać sprawę; obie strony powtarzają — Zobaczemy!

Tym czasem o przybyciu Senatorów, wieść głucha rozchodzi się po mieście, jako o wypadku ważnym, z którego wszyscy wielkich oczekują skutków. Każdy inaczéj wysłańftwo ich tłumaczy i dane im polecenia; ten w ich przyjeździe widzi z urzędu Królewskiego zupełne zabronienie wojny, krok przynaglający do zgody. Inni lepiéj widzący rzeczy postrzegają, że PP. Senatorowie są tylko medjatorami, którzy absolutnie nic nie rozstrzygną i siły potemu nie mają, aby rzecz ukończyli. Oczekiwania niespokojne — oczy wszystkich zwracają się na nich, mówią o tém tyl-

ko, spoglądają tylko w tę stronę. Jakkolwiek bądź, zawsze ciekawe, jak medjacja Królewska przyjęta zostanie i jaki sprawi na umysłach powaśnionych skutek. Jeden drugiemu szepce do ucha — Senatorowie przybyli! Jeden drugiemu w oczy patrzy jak to przyjmie, najśmielsi czynią wnioski, najograniczeńsi formalnie widzą w tém hasło pokoju, zwiastuństwo zgody.

Zaledwie Bramą Ostrą wjechali do miasta Senatorowie posłowie i rozjechali się do domóstw i pałaców znajomych swych krewnych, lub zamówionych gospód — już wszyscy wiedzą o nich w mieście. P. Barbier pobiegł do Kasztellana z wiadomością, Tomiło Tomiłowicz do Wojewody, a laik Jezuicki, wszedł cicho do celi Rektorskiéj, w któréj Ojciec Garsias Alabianus z Janem Brandtem siedzieli rozmawiając pocichu.

Na szelest chodu Ojcowie umilkli i obrócili się. Z założonemi na piersiach rękoma, ze spuszczoną głową i oczyma, zbliżył się do ucałowania ręki Rektorskiéj laik — Po czém ozwał się zcicha.

— PP. Senatorowie od Króla JM. już przybyli.

— Kiedy? spytał Rektor.

— W téj chwili.

— Dobrze — odpowiedział O. Garsias i ręką dał znak wyjścia braciszkowi. Ten znowu trzykroć się skłonił i cofając się powolnie wyszedł. Ojcowie zostali sami. Ledwie się drzwi zamknęły powstał z siedzenia Garsias i wodząc oczyma po celi, rzekł do Jana Brandta.

— Teraz do dzieła Ojcze — mówiłem Wam i nie potrzebuję powtarzać, że zgoda heretyków z naszemi, będzie dla nas śmiertelną. Raczéj wojnę przystało wybrać, w któréj wedle wszelkiego rachunku, nowowiercy szwank ponieść muszą śmiertelny. Rachujmy też na to, że wojna drażni i utrzymuje w nienawiści ku tym, do których związki familijne—jedność towarzyskiego położenia, stosunki—zbliżają. Jeśli przyjdzie do zgody, jeśli PPowie Chodkiewicze podadzą ręce Radziwiłłom i heretykom, ustanie ich czynna opieka nad nami, wojna spadnie na nas samych — a zaiste nam samym jest ciężka. Chodzi więc o

to, chodzi bardzo, w sprawie religji, w sprawie Zakonu, aby PP. Senatorowie zgody *nie zrobili*. Aby waśń i zajątrzenie trwało i rozszérzało się.

— Bez wątpienia, odpowiedział Brandt widzę to i mogę ręczyć, że Chodkiewicze dalecy są od zgody.

— Dalecy! Tak sądzicie Ojcze? spytał Rektor. Ja inaczéj. Ja się boję powagi listów Królewskich, rozkazu, boję się aby patrząc na wysilenie heretyków i ogromne ich siły PP. Chodkiewicze, nie pożądali zgody, lękając się o zwycięztwo.

— Nie lękają się nikogo to pewna — Zwłaszcza Jan Karol, rzekł Brandt, ufa on że stojąc tylko w odporze, nie da się im pożyć.

— Nasza rzecz, rzekł Rektor chodząc, utrzymać niezgodę, ogień podsycać, bo zgoda ich, jak mówiłem i powtarzam WMości, spędzi wojnę na nas samych, odbierze nam sprzymierzeńców silnych, zgoda uspokoi umysły, którym niebezpieczny pokój, które potrzeba utrzymywać w ciągłéj nienawiści ku heretykom. Nasza znowu, nie dopuścić starcia się

zarówno jak zgody. Bo i starcie się niebezpieczne równie. Kto wié, przy kim zwycięztwo. Zwycięztwo uzuchwaliłoby ich i mogłoby mieć niewyrachowanie złe skutki. Chodzi więc o to, aby nie dać im się pogodzić i nie dopuścić się zewrzéć. Rozumiecie mnie Ojcze?

— Doskonale — odpowiedział Brandt, i tak myślę właśnie o tém, jak Wy.

— Przyłożcież starania do piérwszego naprzód, rzekł Rektor, to jest postarajcie się przygotować Panów Chodkiewiczów, aby zgody jako uwłaczającéj im nie przyjmowali. Mówcie im że Król w prywatnych spory mięszać się nie ma prawa, że Radziwiłłowie pragną zgody, że się boją, że oniby okazali mało serca, gdyby podali rękę. Niech stoją śmiało, a pewni będą, że nie damy im paść, bo wszyscy Katolicy z niémi i z nami.

— Powiém to wszystko, rzekł Brandt i więcéj jeszcze. Znam ja PP. Chodkiewiczów, boli ich to, że Radziwiłłowie silniejszemi się okazują i lekce ich ważą. Potrafię to uczucie któregom pewien podnieść i rozżarzyć, potrafię im dowieść, że zgoda by ich upokorzy-

ła, że nie mają się czego lękać wojny, boć o to świeżo Xiąże Wojewoda posyłał ku nim Kanclerza Sapiehę z innemi. A to co znaczy, jeśli nie, że ich się lękają i potrzebują. Rachujmy też coś na wielką obrazę Kasztellana, któremu dekret ów do żywego dopiekł.

— Nie wadziłoby, rzekł Rektor, trafić wprzód i do przybyłych Panów Senatorów. Zważałem to nieraz, że kiedy kto z góry o skutku zwątpi, nie tak popiéra to, z czémby był wprzódy szedł śmiało, gdyby miał nadzieję co zrobić. Dobrzeby więc było, zrazu PP. Senatorom odebrać wszelką nadzieję skutku, aby lżéj koło tego chodzili, nie biorąc bardzo do serca zgody zupełnéj.

— A tu naprzód, rzekł Brandt, do Xiędza Biskupa Żmudzkiego, trzebaby się udać i zachwiać go, bo najsłabszy sądzę, a do niego najłatwiejszy przystęp. Potém do Panów Zawiszów, przez kogośby trafić wypadało.

— Znajdziemy przez kogo i trafim w czas— lecz myśl tylko Ojcze o Chodkiewiczach, abyś im zgody zrobić nie dał—przerwał Rektor— Już ja od siebie insynuację do X. Biskupa

Żmudzkiego i innych, drogą pewną prześlę — Bierzcie tylko na siebie Kasztellana.

— Chętnie, rzekł X. Jan.

— Mam ja takiego, odpowiedział pocichu Rektor, który jeszcze i Radziwiłłom dumę rozjątrzy dobrze wcześnie, aby i oni ze swéj strony trudni byli. Bo powtarzam zgoda dla nas straszna i sprawie religji nie dobra. Czas do wojny, wojną pożyliśmy już heretyków trochę, wojną ich dobijem. Większość nasza wszędzie, wpływy wielkie. Krzyczéć im wolno i konfederować się, ale co to pomoże, gdy każdy z nich jak *exul* w kraju i obcy.

— Jedno mię straszy, rzekł Brandt pocichu, to położenie JMP. Kasztellana który zależy wielce od PP. Radziwiłłów dla tego niesłusznego processu.

Nie dał mu mówić Rektor i przerwał.

— A do czegoż Jan Karol i Alexander — Oni go strzegą od zgody. Wy zaś starajcie się okazać mu, że się poda w pogardę pojednaniem, że z heretyki zgoda niemożna jest i zła, że nawet małżeństwo X. Janusza, wedle

praw krajowych, nie już Kościelnych, niepodobne —

To są rzeczy o których wié Kasztellan, i któremi mu uszy nabito, ani wątpię że daleki jest od zgody. Ale wszakże, gdy jak w każdym człowieku przyjdzie zwrót myśli na siebie —

— Jeżelibyście sądzili, że ten zwrót myśli blizki albobyście ku niemu nakłonienie postrzegli, naówczas zręcznie wspomnieć wszystko co poniósł i wycierpiał od Radziwiłłów— a w ostatku —

— W ostatku? spytał Brandt.

— W samym ostatku, rzekł Jezuita pocichu, zbliżając się do Brandta, można by zdala ukazać, podobieństwo znalezienia takich przyjaciół, którzy mu dopomogą do uiszczenia się, tak, że honor jego nie ucierpi.

— Ale kogoż wskazać? spytał Brandt—tak ogromna summa?

— Rozumiécie mnie, pocichu szeptał Rektor, w ostatku i ostateczności, jeśli Zakon będzie miał do wyboru zgodę i wynikające z niéj skutki, albo jaką ofiarę — może *indirecte*

Kasztellan weźmie pieniądze i uczyni zapis— To prócz tego zrobi na umysłach wrażenie—

— Rozumiém—odpowiédział Brandt.

— Nie jest to jednak rzecz, którąby na stół przed wszystkiemi wykładać było można, Ojcze. W ostatku, w konieczności—i to—zdaleka—ostróżnie, nie wyrywając się przed czasem, nie okazując zkąd to pochodzi, przez drugie ręce—mogłoby się.

Brandt powstał z krzesła i kiwnął głową.

— Dość, dość, rzekł—ale rozumiém że tego nie będzie potrzeba.

— I ja życzę tego i rozumiém, że się obejdzie—bez ofiar ciężkich.

— Idę więc do Kasztellana, dodał Brandt.

— Niech was Bóg szczęśliwie prowadzi, odrzekł O. Garsias wiodąc go do drzwi, a z powrotem bądźcie u mnie i powiécie mi co uczynicie.

Za czém wyszedł Ojciec Jan Brandt z celi Rektorskiéj, pociągnął się kurytarzem i wyszedł w ulicę, mimo Kościoła Ś. Jana.

Zmrok już padać zaczynał, a przecież dostrzegła Jezuickiéj czarnéj sukni przesuwają-

céj się po murze białym Kościoła, służba Radziwiłłowska stojąca u wrót Kardynalij, przeciwległych Archiprezbiterjalnemu Kościołowi. Śmiéchy, najgrawania, szyderstwa poleciały w tę stronę. Nie odwrócił wszakże głowy Jezuita i szedł spokojnie daléj; aż się zwrócił w ulicę Zamkową, gdzie go te głosy nie dochodziły. Daléj już spokojną miał drogę do Kasztellańskiego domóstwa.

Ale niełatwo O. Jan Brandt docisnął się do Kasztellana. Była to wieczorna jego modlitwy godzina. Pobożny starzec odmawiał paciérze przechadzając się po obszérnéj komnacie sam jeden, z paciórkami w ręku, z xięgą oprawną w jaszczur z wielkiemi srébrnemi klamrami. Zapukał wreście długo wyczekawszy się Jezuita i wejść mu dozwolono. Kasztellan ukończył modlitwę, przeżegnał się, położył różaniec i xięgę, kazał podać krzesło Ojcu i sam usiadł przeciw niego.

— No — Ojcze — cóż słychać? spytał naprzód — To zwykły początek każdéj rozmowy! Zapewne nic nowego!

— I owszem, odpowiedział Brandt, jest nowina i ważna.

— Cóż to takiego! kogo się to tycze partykularnie?

— Was Mości Kasztellanie najbardziéj, cicho dodał Jezuita.

— A więc? Co to jest, Ojcze?

— Panowie Senatorowie przybyli posłani od Króla Jego Mości, dla uczynienia tu zgody.

— Już przybyli! rzekł z widoczną niespokojnością Kasztellan.

— Tylko co! — Przed godziną — Wiadomo zapewne jacy.

— O! wiém o tém i mało nie to, co w listach J. K. Mości do nas pisanych się zawiéra — odrzekł Kasztellan.

— Dziękujemy Bogu, rzekł Jezuita, że to może zgodę upragnioną sprowadzić.

Kasztellan spójrzał w oczy Jezuicie z podziwieniem i nic nie rzekł na to.

— Zgoda zawsze pożądana, dodał Ojciec Jan, tém bardziéj, gdy między jednego kraju obywatelami i znakomitemi ludźmi, których

nieporozumienia mogą być tak dla wszystkich szkodliwe.

— Zapewne, rzekł Kasztellan, a jednak mamli WMości szczérze powiedzieć, to nie wierzę w tę zgodę.

— Jak to? z udaném doskonale podziwieniem zawołał Jezuita. I Wy nie myślicie Mości Panie, aby ona dójść mogła?

— Bardzo o niéj wątpię.

— Tak to jest! rzekł Jezuita znowu z podziwieniem odgrywaném, gdyby w dialogu.

— Wieleby o tém mówić, rzekł Kasztellan, a napróżno, bo sami wiécie to jak ja, wiécie ile nas obrażono, ile —

— Obrazę znam, rzekł Jezuita przerywając. Co chwila ją jeszcze mnożą językiem i odgróżkami.

— Potém, dodał Kasztellan, nic nie znamionuje, aby JMPP. Radziwiłłowie na *nasze* warunki zgodzili się, my zaś od nich nie odstąpim.

Jezuita spójrzał ciekawie w oczy Kasztellanowi, jak gdyby badał go, ale ujrzał w nich

tylko potwierdzenie wyrzeczonych wyrazów i uspokoił się.

— Zapewne, dodał naówczas — Ja sam życząc zgody niewiele miałem nadziei, aby przyszła do skutku. Z heretyki ona nawet dla sumienia niebezpieczna.

— To pewna, rzekł Kasztellan, że jeśli zgoda, związki przyjaźni i stosunki ma przywrócić, tychbym się lękał nawet jako Katolik, gdyż obcowanie z zarażonemi, zaraża i kala.

— Święta prawda, podchwycił Jezuita wzdychając pobożnie. Wszakże, dodał probując ciągle—powaga J. K. Mości, perswazje Panów Senatorów.

— Nic nie potrafią, żywo i prędko dodał Kasztellan—nic nie potrafią na nas. Szanujem wolę J. K. Mości, ale rzeczy tyczących się spraw, nasz honor i familję obchodzących rozstrzygać nie można jednym rozkazem. Albowiem to nie dziecinny spór, któren rodzice do pocałunku sprowadziwszy powaśnionych

kończą—W sercu tkwią głęboko niedarowane obrazy.

— Zaiste bolesna słuchać o tém i żyć w czasach takich—rzekł Jezuita. Cóż to wszystko przywiodło, jeśli nie jedna wielka omyłka ś. p. Zygmunta Augusta, który się dał ludziom innych wyznań w kraju nagniezdzić i wiarom wszelkim swobodę nadał, gdy był powinien jak pobożny Jagiełło, zastawić się od nich zaporą postrachu. Otoż dziś skutki jednéj chwili pobłażania —

— Prawda, macie słuszność Ojcze—rzekł Kasztellan smutnie, wszystko to z tego idzie, żeśmy nie jednéj wiary — Panowie Radziwiłłowie nie śmieliby żądać tego związku, aniby tak postąpili, postąpić mogli, gdyby nas łączyła jedność wiary. I zgoda byłaby łatwiejsza i wyrozumienie większe z ich strony. Podzielił się dziś kraj, szlachta, panowie, a dobraż to? — a chwalebnyż to przykład dwóch partij w kraju i nieprzyjaciół między bracią.

— Cóż na to radzić, rzekł Jezuita, alboż z heretyki zgoda i przyjaźń, dobrą być może?

Nigdy — póki się nie nawrócą. Bracia to są, prawda, ale w błędzie zostający i do błędu pociągający. Słuszna więc że się od nich dobrzy dzielą i rozstępują, aby o zapowietrzonych nie ociérać.

— Poślę, zawołał po chwilce Kasztellan wstając, poślę do PP. Senatorów, z pokłonem dworzanina mojego.

Zadzwonił, wszedł sługa starszy, wydany rozkaz i natychmiast wyjechał w miasto dworzanin do Panów Senatorów.

— A nie sądźcie, rzekł do Jezuity, żeby to gotowość do zgody znaczyć miało. Tak każe uczciwość, a co każe sumienie i honor, to zobaczycie.

Jeszcze z półgodziny rozmawiali, aż spóźniona pora zmusiła O. Brandta ustąpić, bo też i furta klasztorna już się zamykać musiała.

Powróciwszy do klasztoru, prosto do celi Rektorskiéj się udał.

— Niech będzie pochwalony —

— Na wieki.

— A co słychać?

— Kasztellan ani chce przypuścić zgody.

— Dobrze! Jutro sam zobaczę JMX. Biskupa Żmudzkiego! Dobréj nocy Ojcze. Będziecie u mnie jutro rano — potrzebujem się naradzić.

VII.

Posłowie
od Króla Jego Mości.

VII.

Posłowie od Króla Jego Mości.

Wróćmy teraz do Panów Posłów Królewskich i przypatrzmy się bliżéj ich wyborowi; gdy oni na resztę tych smutnych wypadków, największy wpływ mieć mają.

Głową ich był Xiąże Melchior Gedrojć Biskup Żmudzki, człowiek doświadczony, charakteru łagodnego, spokojny, właśnie jak Lew Sapieha na pośrednika stworzony. Używany on był już nieraz, w podobnych temu wypadkach przy trudnych i zawsze z wycięzko wyszedł. Zaraz po śmierci Zygmunta Augusta w roku 1574, będąc jeszcze Kustoszem Katedralnym Wileńskim, jeździł w charakterze poselskim z innemi do Francji, do Henryka. Od Henryka zalecony Papieżowi na Biskupstwo Żmudzkie; nominowany Biskupem i łacno od Żmudzi za listy installacyjnemi Papieża przyjęty.— Zjawił był się jakiś współzawodnik Woroniecki Proboszcz Geranowski, któren także listy jakiemiś poparty, o tę infułę się starał; lecz że nie Żmudzin, i podstępnie wymożoném zaleceniem posła Królewskiego popierał się tylko, odpadł od spodziewanego Biskupstwa, na którém Xiąże Gedrojć się utrzymał.—Kilka razy potém Biskup kommissarstwa różne sprawiał, naznaczony w r. 1580, na Trybunał fiskalny Wileński i w r. 1600, na medjatora między Chodkiewiczami a Radziwiłłami. Pobożny,

wielki Jezuickiego Zakonu protektor; pod jego wpływem zostawał. Łacno było domyśleć się, jaką miał grać rolę tutaj i jakiemu stronnictwu sprzyjał widocznie.

Marszałek Wielki Litewski, Krzysztof Dorohostajski, potomek Moniwidów, przedtém Stolnik, Marszałek Nadworny, Starosta Wołkowyski, Mścibowski, Szereszowski; mężny wojak, rębacz i sławny Koniarz; spowinowacony z Radziwiłłami i Chodkiewiczami, zapewne dla tego właśnie wybrany był przez Króla na pośrednika między niemi. Miał bowiem za sobą Zofję córkę Mikołaja Radziwiłła Wojewody Nowogródzkiego, po Chodkiewiczu Jerzym Staroście Żmudzkim, wdowę. To mu do obódwu domów dawało przystęp swobodny, jako kolligatowi. Zresztą nie był to człowiek na pośrednika stworzony, owszem żołnierz ciałem i duszą, otwarty, rubaszny, odważny i zaprzątniony końmi i sztuką wojenną, xięgami i mysliwstwem; nie zdał się tam gdzie potrzeba było, więcéj przebiegłości, rachunku; niż otwartości i męztwa. Stał on w liczbie pośredników, jakeśmy już rze-

kli, z powodu familijnych swych związków, które go zbliżały do obódwóch stronnictw. W materjach religijnych obojętny prawie, nachylał się w duszy ku reformie.

Jan Zawisza dawniéj Wojewoda Mścisławski, potém Witebski, gorliwy Katolik, zręczny i wytrawny człowiek, życie swe spędził na kommissarstwach; już to rozgraniczając Kurlandję od Bracławskiego, już obiérając na pograniczu sposobne na fortecę miejsce, już na korrekturach różnych i t. d.

Znał on doskonale ludzi i rzeczy, wiedział jak gdzie postąpić należało, umiał w rachunek kłaść słabości ludzkie i pobłażać im, gdy tego było potrzeba.

Brat jego Jędrzéj Podskarbi Litewski równie gorliwy Katolik, jak poprzedzający, równie zręczny i wytrawny. Na nich to dwóch, cała nadzieja dobrego skutku poselstwa leżała, któremu tylko za przewodnika dodany Dorohostajski, dla powagi Gedrojć. Ani piérwszy jednak, ani drugi, nie mieli być czynni w téj sprawie, nie potrafiliby. Wszystko leżało na Zawiszach, i jakkolwiek głos mieć

mogli i Biskup i Marszałek, nie wiele po nich spodziewać się było można.

Biskup Żmudzki, stanął przyjechawszy w dworku swoim pod Zamkiem, Dorohostajski zajął kwatérę w Kardynalij, kędy dla niego wcześnie ją zgotowano, a Zawiszowie w kamienicę swą na Bakszcie zajechali.

Nazajutrz zaraz rano, od Posłów i do Posłów konni i piesi biegać zaczęli, kolassy i poczty przesuwały się tam i sam po ulicach. Niesiono powitania, życzenia, rady — o sprawie saméj słowa jeszcze nie wyrzeczono. — Raniéj nad wszystkich udał się pod Zamek Ojciec Garsias Alabianus, już to aby wszystkich uprzedzić, już aby nie być widzianym, chociaż postrzeżony mógł się był łacno tłómaczyć, znaną skłonnością Biskupa dla Zakonu i obowiązkami jakie Jezuici dla Pastérza mieli.

Nie zastał już doma Biskupa Rektor, pobożny starzec, udał się był na mszą do Katedralnego Kościoła, o staje tylko położonego. Poszedł i tam za nim Rektor, aby go piérwszy wychodzącego powitał; lecz spotkał już na progu.

Biskup był to siwy, blizko osiémdziesiątletni starzec, rzeźwy jeszcze i rumiany, od którego bielejących włosów, zdrowy rumieniec dziwnie odbijał. Wiek nie przycisnął go był widocznie, ledwie trochę pochylił i pomarszczył lice. Oczy siwe świeciły jeszcze z pod nawisłych brew ogniem wyszafowanéj młodości, usta rumiane uśmiéchały się łagodnie; w wyrazie twarzy całéj znać było dobroduszność, i swobodę duszy. Prowadzili go pod ręce dwóch Xięży Kanoników Żmudzkich, jeden Wikarjusz niósł za nim mszalik i brewiarz. Rektor powitał go w krużganku kościelnym i w milczeniu przeprowadził do domku.

Tu dopiéro, gdy Xiąże usiadł w swojém krześle, a Xięża oddalili się, poufalsza zawiązała się rozmowa.

— Wasza Pasterska Mość, rzekł Rektor— przybywacie tu w cale chrześcijańskiéj missji, w posłannictwie zgody, z rószczką oliwną— O! jak się ona nam zmęczonym wojną i niepokojem przydała, jak jéj gorąco pragniemy! —

— Któżby zgody i pokoju nie pragnął, odpowiedział Biskup—byleby tylko do osiągnienia były.

Spójrzał na Rektora; O. Garsias potrząsnął głową, spuścił oczy.

— Jak sądzicie Ojcze, da się tu co zrobić?

— Powaga listów Królewskich wielka, rzekł Rektor, wybór pośredników wysokie światło J. K. Mości okazuje. Mógłże im lepszego obrać wodza nad W. Xiążęcą Mość? Ale —

— Jest, ale —

— Jak we wszystkich rzeczach ludzkich.

— Trudności! mało nadziei?

— Trudności wielkie, jeśli wolno o tém przed W. X. Mością mówić, nadzieja zawsze w Bogu!

— Sądzicież, iż którakolwiek strona skłania się więcéj do zgody?

— Obie mocno rozjątrzone, obie nienawiścią ku sobie pałające — Jeśli kto, to Chodkiewicze dalecy od zgody! P. Kasztellan Wileński obrażony do żywego, Jan Karol Starosta Żmudzki dumny i niedarowujący uraz nigdy

i nikomu, pomimo wielkich cnót chrześcjańskich, wielkiéj pobożności, niełatwy do przejednania.

— A Radziwiłłowie? spytał Biskup.

— Wojewodę znają wszyscy, rzekł Rektor, dusza nieugięta, duma niepowściągniona; względem Króla i władzy Królewskiéj, najgorzéj usposobiony. Czuje się silnym i mało dba o wyższą władzę, chociaż ją do czasu tylko może przez przyzwoitość szanować zdaje się. Nieprzyjaciel Katolików największy, niewyrozumiały, popędliwy — Możnali spodziewać się nakłonienia do zgody takiego człowieka; możnali myśléć pobratać z Chodkiewiczami, gdy świéżo przeciw nim i całemu katolickiemu w kraju stronnictwu pisał się do téj konfederacji?

— Prawda, rzekł wzdychając Biskup, smutna prawda! Ale Bóg z niemi, nie myślémy ich godzić; to zapewne niepodobna doprowadzić do skutku, pragniem tylko i mamy rozkazanie Królewskie, zapobiédz wojnie bezprzykładnéj między swemi, rozlewowi krwi

haniebnemu, gorszącemu, między braćmi! Niechby to zdali na Sejm, na Króla!

— Wasza Pastérska Mość, wiész o wojennych przygotowaniach.

— Słyszałem i wzdrygam się rzekł Biskup. *horrenda!* Blizko sześć tysięcy wojska zebrano dla jednego sporu, gdy dla obrony kraju połowy tego wyprosić by tysiącznemi uniwersały trudno!

— I Panowie Chodkiewicze, przystojną też ilość mają i dobrego żołnierza. Potrafią się opiérać.

— Bodajby tego nie było potrzeba. Mam zawsze nadzieję, iż pomimo groźnéj postawy stron obu, do zwarcia się nie przyjdzie. Pojmą Radziwiłłowie ohydę napaści, ohydę takiego przykładu, pomiarkują, jakimby okrzykiem zgrozy przyjął kraj cały wieść o wojnie!

— Ależ zewsząd ciągną wojska?

— Nic to jeszcze Ojcze, rzekł Biskup. Kilka dni wiele odmienić może; w Bogu nadzieja i w tém, że to piérwszy przykład, że nim się targnie brat na brata, zadrżéć musi w sercu swojém jak Kaim. Przed samém starciem się,

otworzyć się mogą serca i zachwiać męztwo; do ostatka potrzeba mieć nadzieję!

— Nadzieję zupełnej zgody? spytał Garsias, zupełnéj zgody z heretyki?

— Pojednania w téj sprawie tylko i zawieszenia jéj, *ad decisionem Regiam*, odpowiedział Biskup. Co się tycze zgody z heretyki, to rzecz druga.

— Lecz pomięszały się tu tak sprawy, odrzekł Rektor, iż je trudno rozeznać. Stronnictwo Wojewody—konfederacja cała, Chodkiewiczów prawowierni Katolicy. Nie o Zofję tu Słucką chodzi, ale o swobodę sumienia.

— Tego, Ojcze, my, ani gdyby i sam Król tu przybył nawet, nie potrafiémy zatrzeć i unikczemnić. Zbyt na nieszczęście głęboko wrosło złe ziarno i chwasty poszły széroko, nie wyplenisz ich tak skoro — Powierzmy o tém staranie Bogu!

Walczyć o swobodę sumienia, jak oni zowią, czyli prawo gorszenia i psowania ludzi, będą jeszcze i będą długo różnowiercy. Nasza rzecz nie dać się w krwawą walkę, sporom przerodzić.

— Bodajby choć to dostąpioném było westchnąwszy rzekł Rektor! Kiedyż W. P. Mość, rozpoczniecie dzieło swe?

— Jak skoro spocznièm nieco. Samym nam pilno, na sercu leży święty obowiązek. Zdaje się jednak iż, do przybycia Jana Karola Starosty Żmudzkiego, kroku naprzód postąpić nie można. On jest prawą ręką Kasztellana, to coby się tu bez niego zrobiło, odrabiaćby się potém mogło. A nawet wątpię, czyli Kasztellan, przystąpiłby do traktacji, związany umową, z synowcami, iż bez nich począć nic niéma. Tym czasem rozpatrzemy, rozsłuchamy się, namyślim.

Ojciec Garsias spójrzał w okno i ujrzawszy wysoko już podeszłe słońce, pożegnał Biskupa, któren wziął różaniec w ręce i znowu modlić się zaczął.

Gdy się to dzieje w dworze Biskupa Żmudzkiego pod Zamkiem, Marszałek Litewski Dorohostajski, śniada w Kardynalij z Wojewodą sam na sam,

Przed niémi srébrna z polewką winną wazka i kubki złociste. Oni naprzeciw siebie w krze-

słach — Wojewoda zmarszczony, zamyślony, Marszałek jak w całém życiu swobodny, wesół, rubaszny. Po postawie jego poznasz wojaka, któren inaczéj życia nie rozumie, nie pojmuje, tylko ruchem, działaniem, czynnością nieustanną. Wysoki, silnie zbudowany, trochę łysy, rumiany, z oczyma niebieskiémi, rzymskim nosem, usty nieco szérokiémi, czołem podniesionem; Dorohostajski ma wszystkie ruchy żołniérza, wyraz odwagi nieustraszonéj w twarzy.

— Więceście przyjechali gwałtem nas pogodzić? rzekł Radziwiłł po długiéj rozmowie.

— Gwałtem nie gwałtem, ale pogodzić koniecznie, zawołał Dorohostajski zacierając czuba nastrzępionego na wierzchołku głowy. Bo, kiego djabła zréć się braciom, synom jednéj matki i przelewać krew chrześcjańską, gdy niewierni i panowie sąsiedzi proszą się aby ich szabla nasza nauczyła rozumu! Tać by to, cały świat wskazywał nas palcami, jak głupców, z pozwoleniem, taćby to raz wszczęte zamięszanie, obudziło uwagę panów sąsiadów.

Nie omieszkaliby skorzystać z domowéj wojny i wybyście się tu bili, o Xiężnę, a oniby Xięztwa wasze pobrali tym czasem. A jakby się rozigrali, gotowiby i wasz Słuck z Kopylem do taszki schować, i Birże i tam daléj i i ten sam Kopyś, co tu tylego licha nawarzył. Nie dajcie z siebie obcym żartować, plasnijcie tylko w dłonie, i jakoś się to ułoży. Wy sobie Ewangelicy, oni sobie Katolicy, wy swoją drogą, oni swoją, a jak przyjdzie na wroga, do kupy wszyscy i razem.

— Ślicznie prawisz, odrzekł Wojewoda, szkoda tylko, że to są mary próżne. Gdybyż to można im wmówić, aby sobie papiści papistami, a my po swojemu być mogli! Ale nie, chce się im obłąkanych nawracać! tak prawią, gdy tym czasem, sami ślepi bałwochwalstwa swojego nie widzą.—Ja, nie jestem tak daleki tak trudny do zgody, jakim mnie nieprzyjaciele mianują. Wiele mam uraz do PP. Chodkiewiczów, ale na słuszne warunki zgody, podam rękę, niech tylko uczynią czego ja chcę!

— A toć niewielka sztuka! Wojewodo, każdy tak się zgodzi! I Marszałek zaryhotał

wesoło na całe gardło. Chciałbyś żeby nic nie ustąpić i mieć zgodę w kieszeni!

— Ja nic ustąpić nie mogę!

— Takim sposobem nic Xiąże nie zrobisz. Trochę z téj strony, trochę z tamtéj, tu obciąć, tam obciąć, to się sprządz możecie. Wymagać zaś, aby ktoś wszystkiego, a Wy nic nie ustąpili, to znowu zawiele, Wojewodo. Chybabyście z nożem na gardle Chodkiewiczom stanęli, toby taki absolutny warunek przyjąć mogli. Ale to potém o tém. Teraz ja u W. X. Mości, nie poseł J. K. Mości, ale dobry druh i gość, dajmy tym waśniom pokój! Musicie się pogodzić. Wiérzcie mi drzéć się dobrze to tylko z wrogiem, a ze swemi podąsawszy się, naprychawszy, nabrykawszy, zawsze najlepiéj kończyć zgodą. I potrzeba, potrzeba koniecznie. I tak będzie.

— Łatwy z WMości Baronie prorok.

— A z W. X. Mości ciężki niedowiarek. Wiérzcie tylko w zgodę, a będzie zgoda. I czego, do tysiąc koni, macie się szarpać? Hm? O Xiężnę Zofję abo raczéj o jéj Xięztwa? Że dobrego stada Xiężna to pewna, że warto,

aby sobie trochę włosów narwali dla niéj, ani słowa, ale żeby znów od czubów przyszło, do dobycia szabel i zapisywania wojsk, jakby na zawojowanie prowincji! Wybaczajcie! Dalipan, żeby miała jeszcze z jedno Xięztwo i jeszcze jedną mitrę starożytną! tyle poczciwéj krwi dla kawałka ziemi i jednéj białogłowy, (jakich z przeproszeniem tysiące po białym świecie) tyle krwi i hałasu nie warto! nie warto!

— O! jakże to WMPanie Marszałku lekko nas szanujesz!

— Wybacz W. X. Mość, wojakowi staremu, niezwykłemu do waszéj polityki! U mnie co w myśli, to i na języku, cała prawda. Całą pierś nastawiam na wojnie nieprzyjacielowi, całą duszę pod przyjacioły wyléwam. A na com barwić i stroić to, co i bez stroju dobre? Nie urażajcie się W. X. Mość.

— W głowie ani w sercu nie postała obraza, odpowiedział Wojewoda, tak mi to tylko przykrém było, iż WMość lekko nasz spór uważacie—Ale wola Wasza, każdy po swojemu widzi.

— I Wy sami Xiąże Wojewodo dodał Marszałek, chłodną krwią wziąwszy na rozwagę całą rzecz przyznacie mi że dalipan, bić się niéma o co!

Wojewoda zamilkł, P. Marszałek poszedł do okna. Po chwilce popatrzywszy, ruszył się z pokoju i zawołał:

— Prawdziwéj krwi tureckiéj! prawdziwy Turek!

— Co? kto? spytał Wojewoda podnosząc się —

— Najrzałem turka, siwaka — oto tu u wrót W. X. Mości, muszę wysłać na zwiady czyj.

Wojewoda wyjrzał także oknem.

— Wasz własny, rzekł spokojnie.

— Wasz Wojewodo?

— Nie, Wasz Panie Marszałku!

— Mój! Nie mam takiego! mylicie się, ani tu, ani w mojéj stajni Dorohostajskiéj i stadninie, podobnego niéma. Są innéj maści, i innéj krwi.

— Ale to Wasz koń, dorzucił Wojewoda.

— Juścić ja to, z przeproszeniem, wiém lepiéj, że nie mój odparł, marszałek.

—Wybaczcie, to Wasz własny!

—Żarty stroicie Wojewodo!

—Szczérze, Wasz! bo go wam ofiaruję! A juścić przyjmiecie?

Marszałek zadumał się.

—Jak będzie pokój i zgoda, a ja przestanę być posłem J. K. Mości do Was, przyjmę ten piękny podarek. Teraz—jeszczeby głupcy gadali, żeście mnie podkupili.

—Jednym koniem! rzekł smiéjąc się Wojewoda. Każcie go poprowadzić do Waszéj stajni. To mizerja i oczu nawet nie zwróci! Nam miło takiemu jak Wy miłośnikowi koni, zrobić podarek z prawdziwego turka.

Dorotostajski wziął za czapkę i miał się do drzwi.

—Serdeczne dzięki! pozwólcież mi go zaraz obmacać, bo mi już aż swędzi, pójść obejrzéć siwosza, i daléj nie wytrzymam.

Wojewoda zawołał Koniuszego, a Marszałek z nim razem szybko zszedł ze wschodów, zapomniawszy w téj chwili o wszystkiém, o listach królewskich, swojém poselstwie i zajściu Chodkiewiczów z Radziwiłłami.

My spójrzym jeszcze, co się dzieje u PP. Zawiszów, w ich dworze na Bakszcie.

Dwór ten murowany, niewielki, do oberwanéj góry przyczepiony, niebielony, z obu stron do murów miejskich przytykający; wyglądał teraz na gospodę. Przed nim stały wozy, w części wyładowane, w części jeszcze pełne, kręciła się liczna służba, któréj ciasno było we dworze samym. Konie, których szczupłe nie pomieściły stajnie, pasły się nakryte kapami, przy podróżnych za wozami przypiętych płóciennych żłobach. Ogień naniecony był nawet przy murze w podwórku, a wkoło siedzieli i leżeli woźnice i pachołki.

Porządniejszych cztéry izby na górze zajmowali bracia, PP. Jan i Jędrzéj Zawiszowie. Szczupło im tu było i dość niewygodnie, chociaż zwyczajem krajowym, wszystko z sobą wioząc, mieli czém i podłogi wysłać i mury zawiesić.

Wilgotne jeszcze mury, poczepione na nich osłoniły makaty, wyrabiane w bogate ze złotem i srébrem wzory, podłogę z cegieł tylko ułożoną, zasłały grube, twarde kobierce

tureckie i perskie. Na ławach ciesielskiéj roboty rozwieszono także kilimki różnobarwne a stoły sosnowe proste, aż do dołu spadające sukna szyte zakrywały. Tym sposobem izby przed chwilą nagie, teraz zdawały się ozdobne, bo całe osłonięte były od sufitu począwszy, któren jedyny tylko swiadczył, czém to pomieszkanie wczoraj jeszcze było. W dwóch izbach narożnych usłano łoża Panów braci. Na prawo starszy Jan na lewo Jędrzéj i oba spoczywali na złoconych zydlach przysłanych garścią siana i skórą niedzwiedzią. Skórzane poduszki pódgłową, futrzana opona na wierzch.

W kominach i piecach wrzał nieustanny ogień, bardzo potrzebny w ochłodzoném domóstwie. Średnie dwie izby przeznaczone były, jedna na jadalną druga dla przyjęcia gościa. Ta ostatnia największa.

Wschodzące słońce uderzyło w okna dworu na Bakszcie, i Wojewoda z Podskarbim już byli na nogach, już się głośno modlili, poczynając dzień jak zwykle dawniéj bywało, od Godzinek i pobożnych pieśni. Niektórzy

z starszych sług, także z różańcem w ręku, w dolnych izbach pierwociny dnia P. Bogu oddawali. Tylko pachołkowie i niższa służba, raniéj i króciéj pomodliwszy się, na nogach już była. Minęła godzina modlitwy, Podskarbi poszedł do brata; zastawiono sniadanie, po którém udać się mieli oba do kościoła Bernardyńskiego na mszą. Tu taka przy polewce, ciągnęła się rozmowa.

— Miłościwy panie bracie, aby tylko nie darmo.

A choćby i darmo, kiedy tak się J. K. Mości podobało nas do tego wezwać. Będziemy czynili co podołamy, a reszta w woli Bożéj — rzekł starszy Jan Wojedoda Witebski.

Przybiegał tu wczora znajomy nam ojciec Brizius Jezuita, W. Mość już spałeś pono, alboś się zaparł na modlitwy, bo już było poźno; jam go sam przyjął.

— Mówił co?

— Wiele i strasznych rzeczy a wedle niego, ani podobieństwa niéma, aby tu się co zrobiło. Rozjątrzenie w najwyższém stopniu, wojna nieuchronna.

Jan potrząsł głową. Wtém wszedł dworzanin oznajmując Pana Krzysztofa Zenowicza Wojewodę Brzeskiego.

— Tak rano! rzekł Jędrzéj; i wyszedł na spotkanie.

Wtoczył się otyły, rumiany, sapiący, na lasce z złocistą gałką podparty, Pan Wojewoda Brzeski.

Na twarzy jego widać było pewien rodzaj pomięszania, któren szkodził ogólnemu wyrazowi fizjonomji, malującéj człowieka gadatliwego, ruchawego, czynnego. Takim był w istocie Wojewoda, lecz ranne odwiedziny i myśl jak one przyjęte i uważane będą (gdyż go powszechnie znano jako wielkiego partyzanta Radziwiłłów) omroczyły zawsze wesołe oblicze, na ten raz tylko osłonione niezwykłém pomięszaniem.

Zaledwie we drzwiach się ukazał Wojewoda, już usta otworzył; zaledwie mówić począł, już ufny w wymowę swoją, odzyskał zupełną swobodę, przytomność i wesołość.

—Witajcie Posłowie zgody i pokoju! zawołał, witajcie pożądani goście w stolicy!

Otwartém sercem i rękoma przyjmujemy Was, oczekiwaliśmy jak kanie deszczu! Witajcie Panie Wojewodo Witebski i Wy Panie Podskarbi—Jakże się podróżowało, jak się dojechało, jak się spało!

— Wyśmienicie! odpowiedzieli bracia.

— Pilno mi było WMMościów powitać, i dla tego chociaż zaledwie ósma może na półzégarzu i godzina nie do odwiedzin, pośpieszyłem piérwszy miłych gości zobaczyć.

— Wielceśmy wdzięczni? Siadajcież! Panie Wojewodo!

— Choćbyście nie prosili siądę, bom się zadychał idąc po schodkach—Co tam nowego w Warszawie, Król JMość?

— Zdrów dzięki Bogu.

— Pan Maciejowski *in partibus* Biskup Wileński?

— Już się zrzekł Biskupstwa —

— W nadziei Krakowskiego —

— Być może.

— Dobra zamiana! No! a będzie li tu u nas zgoda?

— Spodziéwamy się — rzekł Jędrzéj Zawisza—listy Królewskie —

— Wielce je wszyscy szanują — odpowiedział Zenowicz, ale mało kto ich słucha! To biéda!

— Większa nadzieja w perswazjach Waszych, w pośrednictwie przyjaciół. Chodkiewicze szaleją. Co im się porywać, jak brać się przeciw Radziwiłłom! Gdzie siły, gdzie bogactwa odpowiednie! Ruina dla nich, ruina dla kraju, przykład fatalny! nieszczęśliwy, okropny!

— Ależ oni nic nie poczynają?

— Na co było łamać umowy!

— Kiedy umowy przeciwne prawu?

— Prawo da się nagiąć różnie—Nie piérwszy to przykład. Na cóż było obiecywać, kiedy to było bezprawném.

— W tém ich wina; ale i PP. Radziwiłłowie, poco dowiedli rozjątrzeniem, processem, do takich ostateczności?

— Teraz niéma sposobu innego na dobry koniec, chyba niedopuścić wojny. Wojna ostateczną zgubą dla kraju! wołał P. Zeno-

wicz. Już pogodzą się czy nie, byleby się nie pobili tylko!

— Zdaje się, że do tego przyjść nie może, rzekł Wojewoda Witebski; na toć my tu przyjechali, aby temu zapobiedz; i spodziewamy się, iż zacni powaśnieni pomiarkują wczas, co za wagi krok, wojna domowa. Upamiętają ich listy Królewskie i przyjaciół perswazje.

— Daj Boże! odpowiedział wzdychając Zenowicz! a westchnienie jego i uczuciem i wysokiemi wschodami Baksztowskiego dworu tłumaczyć było można.

VIII.

Przygotowania wojenne.

Xiężna.

VIII.

Przygotowania wojenne. Xiężna.

Dnia pierwszego Lutego, okolice Wilna i miasto same, przybrało postawę zupełnie wojenną; ktoby zdaleka tu przyjeżdżał i okoliczności spełna nie wiedział, po-

myślałby że te hufce gotują się odeprzéć najazd niewiernych pogan, lub napad sąsiedniéj Rusi. Po przedmieściach snuło się żołnierstwo przybyłe tłumami, powiéwały rozwite proporce, hasały wyrywające się konie, przechodzili różnobarwnie ubrani, różnemi języki mówiący, żołdacy z Podola, z Kurlandji, z Litwy, z Rusi, z Polski.

W samém mieście wszystkie niemal gospody zajmowali starsi, Panowie Rotmistrze, Półkownicy, towarzysze.—Szczękały szable, huczały bębny, słychać było śpiéwki wojskowe dodające ducha pospolitemu ludowi. Ale na ten raz śpiéwający, musieli je dziwacznie wykręcać, aby zastosować do okoliczności. Mnóstwo bowiem pieśni tego rodzaju, klęło Turka, łajało Moskwę; ale żadnéj gotowéj nie było, przeciw—Chodkiewiczom i braciom będącym przy nich. Duch więc prowincji tylko, wysilał się, w obelżywych dwuwiérszowych śpiéwkach przeciw Żmudzi, Litwinom, Mazurom, Rusi i t. p. I pozór tego wojska, którego główny obóz był na Łukiszkach, a reszta półków, rozsiedlona po okolicy i przedmie-

ściach, pozór jego dziwny był. Doborny lud, ale każdy z innego kąta, każdy w innym stroju, z inną bronią i co największa z innym duchem. Było bowiem i Katolików w wojsku Radziwiłłowskiém niemało. Ci szli cicho, z spuszczonémi głowy, sami nie wiedząc, jak sumienie z interesem pogodzić; gdy towarzysze broni, zabiérali się do wyprawy; uważając ją jako sprawę konfederacji, jako pomstę na katolikach, za ich ucisk na różnowierców wywiérany.

Wojsko Radziwiłłowskie sklejone z różnobarwnych tłumów, którego jednak główną podstawą było, blizko cztérech tysięcy Rusi, nadesłanéj przez XX. Ostrogskich; sciągało się w okolice, przedmieścia i do samego Wilna, nie razem, ale częściowo i różnoczasowo, ostatnich dni Stycznia i piérwszych Lutego. Zaludniło się, zakwitło i ożyło miasto którego tylko najwłaściwsi mieszkańcy z trwogi i obawy pochowali się ustępując z ulic i rynków szumiącym przybylcom. Magistrat i Rada po niefortunném owém poselstwie do Wojewody, nie śmieli już występować raz drugi. Dozwo-

lili wojsku zajmować gospody i słowa nie rzekli. Słuszna jednak wyznać, że odłożywszy na stronę nadużycia nieuchronne, umyślnych przynajmniéj nie było i Wojewoda hojnie żywiący zgromadzoną tłuszczę, nakazał żołdakom, jak najspokojniéj i najłagodniéj z mieszkańcami się obchodzić. — Niewiele jednak zaufania miał ogół, w obietnicach pokoju i zapewnieniach nienaruszania własności, Kupcy, Katolicy mianowicie, z wielkiego strachu pozamykali sklepy i kramy, pochowali towary, przygotowali ciężkie do drzwi swoich zapory, oczekując jak wybawicieli Chodkiewiczowskich, których dotąd nie było, chociaż codziennie ich się spodziéwano. Tym ostatnim w samém mieście i w blizkości kamienicy Starosty Żmudzkiego, rozpisane i najęte kwatery, które tém łatwiéj ustąpiono, że żołnierze Katoliccy, stanowić mieli niejako załogę przeciw heretykom, strasznym dla mieszkańców.

W Chodkiewiczowskiéj kamienicy przygotowania wojenne ukończone już były, strzelnice wyrąbane, bramy umocnione, słabe mury

podwojone, okna zabite, miejsce uczynione dla armat, oczyszczony plac dla żołnierza, mającego po większéj części pomieścić się wewnątrz. Pomyślano nawet o skupieniu zapasów żywności, o zapewnieniu wody, na przypadek oblężenia, gdyż szturm prawie był niepodobny w ścieśnionéj ulicy. P. Barbier obejrzawszy wszystko dokoła, decydował, iż ze spodziéwaną załogą, bronić się można Radziwiłłowskim, jak długo zapasów żywności i amunicji stanie i śmiéjąc się dodawał, że z wiérzchołka kamienicy, wystrzela jak wróbli do jednego wszystkich protestantów, którzy się tylko pomkną bliżéj.

Całe jednak to przygotowanie, dla tych nawet, którzy je czynili, którzy się z myślą tą oswoili, miało w sobie coś tak dziwnie niezwyczajnego, iż w oczach rozsądnych ludzi, zbliżało się do sennego marzenia. Wypadek to był z rzędu takich, którym współcześni niepomiernie się dziwią, a którego odległa przyszłość nie pojmuje, czasem im wiary nie daje. Gdzieindziéj, nic pospolitszego nad to zapewne, lecz w tém Wilnie, w którego

wnętrznościach, ciągle wrzała mała walka i bój, to nagle wezbranie tak wielkie, było szczególnością, nie mającą przykładu w dawnych dziejach i zdało się na oko, bez przyczyny ważnéj.—To też, pomimo przygotowań tak wielkich, pomimo widocznéj stopy wojennéj, dwóch stronnictw, wielu jeszcze nie wierzyło i wierzyć nie chciało w wojnę domową.

—Kłócić się mogą, kłócą się zawsze od wieków i kłócić się będą do skończenia świata, a kto wié czy i na Jozefatowéj dolinie, o precedencją nie posporzą; ale żeby bić się mieli — to być nie może; mówili niedowiarkowie.

Dnia trzeciego Lutego oznajmiono Panu Kasztellanowi Wileńskiemu, iż Jan Karol z działami i wojskiem, już jest tylko o jeden dzień drogi od Wilna. Przywiózł tę wiadomość P. Mikołaj Chamiec Marszałek Dworu, przybyły z ulubionym dworzaninem Jana Karola Tomaszem Dąbrową. Kasztellan, ustąpiwszy domu swojego na żołnierzy przybywających, przeniósł się zaraz do kamienicy Chodkiewiczowskiéj na Zamkową — Tu także mie-

ścił się Alexander brat Jana Karola, naówczas jeszcze tylko Starosta Borysowski (poźniéj Wojewoda Trocki). Wreście co było najlepszego pomieszkania oddano Wojewodzie Sandomirskiemu Jerzemu Mniszekowi, któren zaproszony przez Chodkiewiczów, nie odmówił osobistego przybycia, acz bez żadnego pocztu—z kilką tylko dworzan.

Xiężnéj Zofji zmieniono pomieszkanie, usuwając ją dla bezpieczeństwa większego, w sam głąb domu, zkąd już nic prócz wewnętrznego ruchu i przygotowań przestraszających ją niemało, widzieć nie mogła. Łatwo pojąć co się działo z Xiężną dla któréj brak wieści o wypadkach, o okolicznościach, okropnym domysłom i czarnym marzeniom zostawiał szerokie pole. Przy niéj, wkoło niéj wszyscy, wszystko było milczące, przestraszone, na nią wszyscy patrzyli jak na przyczynę złego, sami PP. Chodkiewicze mimowolnie, czuli w sercu niechęć ku sierocie, nad którą tak ciężka była opieka. Najbliższa osoby Xiężnéj, Pani Włodska Ochmistrzyni, kobiéta sztywna, twarda, zimna, i rzą-

dząca się tylko najściśléj danemi rozkazy; słowa pociechy nie wyrzekła nigdy. W czém była powinna, posłuszna, z resztą obojętna i surowa, lękała się na włos przestąpić, danych sobie instrukcij, ceniąc wysoce miejsce i lękając się go utracić. Panny służebne Xiężnéj, młode, przelękłe, a prócz tego oddzielone od niéj, położeniem swém, nie ważyły się być powiérnicami. Ona więc sama jedna zcierpieniem swém, z myślami, z bojaźnią kobiécą w pół, w pół dziecinną, bez pociechy, bez przyjaciela bez wieści o wypadkach, żyła okropném życiem, które na pozór mając wszystkie warunki szczęścia, w istocie było męczarnią.

Zrana modlitwy — samotna po komnacie przechadzka, krótka z Panią Włodską rozmowa, obiad, robota u krosien i znowu modlitwa i długi wieczór i długa noc nieprzespana.

A wśród tego, wszystkie mary wojny, morderstw, zabójstw, przychodziły targać młodém sercem siéroty, wojny która o nią i z jéj przyczyny począć się miała, wojny, która

codzień zdawała się bliższą, groźniejszą, któréj terminem poczęcia, był dzień urodzin Xiężnéj! Na każdy trzask zamykających się wrót, na każdy chrzęst czyszczonéj zbroi, brzęk pałasza, głośniejsze wołanie, zdało się Zofji, że idzie ku niéj ta wojna okropna. Widok przyborów wojennych nabawiał ją przestrachem, drżeniem, obłąkaniem; a z okien nowego mieszkania nic innego nad dziedzińce ufortyfikowane i fortyfikujące się, widać nie było. Często wśród nocy, budziła się słysząc stąpanie żołnierzy, odgłosy ozywającéj się straży i z bijącém sercem, cisnąc krzyż matki do piersi, czekała godziny całe, wystrzału, któren (zdało się biédnéj) co chwila miał się dać słyszéć.

W takiéj to niepewności i strachu, żyła Xiężna; a kiedy podarkiem, słodkiemi słowy, chciała na Ochmistrzyni wymusić wiadomość o rzeczach, o wypadkach, najczęściéj tylko dowiadywała się dzikich wieści o Radziwiłłach, które ją drażniły, którym wiérzyć nie mogła; bo oczéwiście wymyślone były i skierowane, aby zachwiać w niéj znaną skłon-

ność w dziecinnych latach powziętą ku Xięciu Januszowi.

Kasztellan Wileński rzadko się pokazywał u Xiężnéj; po ostatniéj rozmowie, ledwie parę razy widział ją i to krótko. Dopiéro dnia trzeciego Lutego, kazał się oznajmić nad wieczorem.

Xiężna oczekiwała go niespokojna, modląc się w duchu, i nie wiedząc co z sobą pocznie. — Po półgodzinném przeciągnioném oczekiwaniu, ukazał się Kasztellan, twarz jego była wypogodzona, oblicze swobodne, jak gdyby w wilją zgody, nie dniem przed wojną. Powitał Xiężnę czule, troskliwie dowiadując się o zdrowie, którego niedostatek widoczny był na twarzy.

Zofja odzyskała przytomność i odwagę.

— Stryju, odpowiedziała, nie pytać mnie czym zdrowa, ale czy jeszcze żyję potrzeba?

— Jakto? dla czego? przerwał Kasztellan jestże Wam tak źle na świecie!

— Przynajmiéj ciężko, o! ciężko okropnie. Patrzcie sami, na co oczom kobiécym, codzień, co godzina kazano poglądać, o czém

myśléć muszę. Dokoła mnie wojna, oręże, postrach! Gdzie spójrzę żołniérze, wojsko, działa, co posłyszę to straszne i przerażające! Powiedzcie mi Stryju, jakże mogę być szczęśliwą, spokojną, jak nie mam niszczéć? A gdy pomyslę jeszcze, żem temu wszystkiemu przyczyną — ja! A! Stryju, to nad siły dziecięcia! nad siły moje! Na Boga. —

— Ależ Xiężno, nie lękajcie się tak bardzo. Nic Wam się nie stanie!

— Alboż ja się lękam o siebie? odpowiedziała Zofja. Ale ta wojna, ta wojna!

— Jeszcze się nie poczęła i my jéj poczynać pewnie nie będziemy.

— Dla czegoż takie uzbrojenia?

— Na przypadek — dla obrony, odpowiedział Kasztellan. Widząc opasujące dokoła Wilno wojska Radziwiłłowskie, trudno abyśmy i my nie pomyśléli o sobie.

Xiężna zamilkła, potarła ręką po czole i spuściła oczy.

— Pamiętacie ostatnią naszą rozmowę, rzekł po chwili Kasztellan.

— Nie mogła mi wyjść z pamięci, cicho

odpowiedziała Xiężna — i jeśli chcecie ją odnowić. —

— Nie myślę, aniWas pytać, ani Was prosić, ani przynaglać, do niczego, chcę Was tylko jeszcze raz, w interessie sumienia Waszego objaśnić. — Jeśli do Was przyjdzie, wszystko słowem jedném rozwiązać, nie chcę już wiedzieć, co wyrzeczęcie. Wola Wasza Xiężno, macie słuszne lata, macie poznanie, nie jesteście już dziecięciem — Robcie co i jak się Wam podoba. Dotąd jednak jam Wasz opiekun, a piérwsze opiekuna staranie, o sumienie; piérwsza myśl być powinna uchronić od grzechu. Przyjmijcie więc moją przestrogę. Małżeństwo projektowane z Xięciem Januszem, bez osobnego zezwolenia głowy kościoła naszego, Papieża, które się daje bez błogosławieństwa (zważajcie to dobrze) małżeństwo to, jest grzechem, jest prawami kościelnemi wzbronioném i prawem naszém Litewskiém uznaném za nieważne. Słyszeliście zapewne już o tém, ja dziś tylko, mam za obowiązek sumienia, powtórzyć Wam to raz jeszcze i przypomnieć. Nie wymagam

od Was nic, nie pytam o nic; lecz zechcecież, bez zezwolenia Papiezkiego, gdyby przyszło do jakichkolwiek bądź nieprzewidzianych układów, zechcecież zawrzéć te śluby?

Nie zastanawiając się Xiężna powstała i odpowiedziała.

— Bez zezwolenia, nigdy — Zezwolenie jednak, dodała zaraz, może być dane? Kasztellan mimowolnie wzruszył ramionami —

— Zezwolenie, bez błogosławieństwa. Xiężna spuściła głowę—Ktoś do drzwi zapukał.

— Oto jest Wielebny Ojciec, Weljamin Rutski Archimandryta Monastéru Ś. Trójcy, ten Was dostateczniéj objaśni i com mówił potwierdzi.

Oczy Xiężnéj na otwiérające się w téj chwili drzwi obróciły. Wsunął się niémi, bladéj twarzy, pokornego układu, w sukni Zakonu Ś. Bazylego Wielkiego, Mnich. Był to sławny Weljamin Rutski.

Xiężna podeszła ku niemu i pocałowała go w rękę, on ją pobłogosławił w milczeniu; potém usiadł.

— Wezwałem Was Ojcze, rzekł zaraz Ka-

sztellan, abyście potwierdzili słowa moje przed Xiężną. Małżeństwo z X. Januszem, nie jestli przeciw wyraźnym prawom i zakazowi Kościoła dla blizkiego pokrewieństwa?

— Tak jest, odpowiedział, i zawierający takie śluby, podpadają surowéj karze Kościoła; sam ślub choćby go dawał duchowny najwyższego stopnia, nie ważny.

— Lecz—Xiężna poczęła i nie śmiała dokończyć.

— Lecz w pewnych przypadkach, odgadując myśl dokończył Weljamin Ruski, Kościół dozwala takich małżeństw, chociaż ich nie błogosławi.

— Nie błogosławi! powtórzyła Xiężna i oczy utopiła w ziemię.

Jeszcze kilka słów powiedzieli Kasztellan i Archimandryta, ale Zofja więcéj oczów nie podniosła, nie spójrzała, nie wyrzekła słowa— pogrążona w smutnych myślach, milczącém ucałowaniem ręki Kasztellana, ukłonem zimnym Archimandrycie, pożegnała odchodzących.

Zaledwie drzwi się za niémi zamknęły, upadła na krzesło i płakać zaczęła rzewnie—

— A więc nigdy razem, nigdy z błogosławieństwem Bożém, nigdy nie będziem szczęśliwi! I gdyby nas kiedy nawet los zbliżył, połączył, nasze przywiązanie nie będzie miłém Bogu; każdą chwilę zatruje wyobrażenie okropne niebłogosławieństwa! — Tak, rzucili siérotę, dozwolili umiłować tego, którego wskazali jéj od lat dziecinnych za męża; a teraz— teraz powiadają, że skłonność jest grzechem, małżeństwo świętokradztwem —

I upadła na kolana, gorąco zaczęła się modlić!

Powstała potém z suchemi oczyma, spokojniéjszą twarzą i pocichu wyrzekła.

— Tak Bóg chciał, niech będzie Imie Jego błogosławione—Nie długo mi cierpieć, pójdę do ciebie matko, któréj nie znałam, ojcze, któregom nie widziała, pójdę do was!

IX.

Starosta Żmudzki w Wilnie.

IX.

Starosta Żmudzki w Wilnie.

Dnia czwartego Lutego, przyjechał nowy goniec do Wilna, oznajmujący Kasztellanowi, o zbliżaniu się wojsk pod wodzą Jana Karola; które już w mili tylko od

miasta spoczywały i tegoż dnia wejść miały jeszcze. Rozeszła się o tém wieść prędko i poruszone nią tłumy ciekawych posunęły się na trakt Miednicki, którym Jan Karol miał przybyć. Radziwiłłowscy także posłali tam swoich, którzy wmięszawszy się w ciżbę ludu, mieli uważać liczbę i postawę żołniérza, ilość armat i smigownic, aby o nich donieść szczegółowie Xięciu Wojewodzie. Od południa już widać było niezwykły ruch w mieście; ciekawsi wdrapywali się na dachy kamienic, na mury i wieże, aby prędzéj dójrzéć i oznajmić o przybywającém wojsku. Wieża Ratuszowa pełna była widzów na wszystkich galerjach, dzwonnice kościelne na każdém piętrze, najeżone głowami, zwróconemi na Miednicki gościniec. Ostre przedmieście zasiał lud liczny, w oczekiwaniu od rana krzątający się. Dzień był piękny zimowy, lekki przymrozek błyszczał na śniégach, słońce świeciło na czystém niebie i cisza była w powietrzu.

Z południa zaczerniał gościniec. Dojrzano ruszających się na nim wojsk, czarniejących na śniégu. Poruszyli się wszyscy; jedni śpie-

szyli wprzód, aby prędzéj przychodzących zobaczyć, drudzy pięli się wyżéj, inni jeszcze biegli oznajmywać. Wszyscy powtarzali:

— Idą już! idą już!

Hufce tym czasem zbliżały się ku miastu, a nad niémi powiéwały chorągwie rozwinięte, huczały bębny i pieskliwie odzywały się piszczałki. Coraz bliżéj, coraz bliżéj, nareście ulicą wsunął się piérwszy szyk w miasto i na widok jego lud ucichł, cały w oczach, cały w przyglądaniu się. Spokojnie, powolnie szła naprzód jazda. Na jéj czele z kilką starszych jechał sam Jan Karol Starosta Żmudzki, na karym koniu po turecku osiodłanym i przybranym, w szubie axamitnéj karmazynowéj podbitéj sobolami, ze złocistemi pętlicami; na głowie jego kołpak soboli z czaplém piórem i spinką bogatą. Z pod szuby wysuwał się koniec w jaszczur i srébro oprawnéj, wygiętéj szabli. Na twarzy Jana Karola śladu poruszenia nie było, tylko mars potężny na czole, tylko warga wierzchnia wzdęta i wąs najeżony. Jedną ręką od niechcenia wiódł dziarskiego konia, drugą się w bok podparł.

Za nim jechało kilku Rotmistrzów, daléj już szła jazda, człek w człeka doborny, na koniach silnych, średniego wzrostu. Nad głowami powiéwały proporczyki i świéciły wierzchołki kopij. Jechali wolno w rzędach po pięciu, spokojnie, w milczeniu. Zaraz za piérwszym ufcem jazdy, ukazały się działa i śmigownice, w znacznéj liczbie. Ciekawi naliczyli ich dwadzieścia i cztéry. Za działami znowu jechała jazda, różnie opatrzona i zbrojna, lecz wszystka doborna.

— Nie widziałeś tu, jak w Radziwiłłowskiém wojsku, karła podle olbrzyma, ociężałego Niemca, przy smukłym pacholiku Litwinie, wszyscy zdali się jednéj krwie, rodu, siły i lat, tak zręcznie ich podzielono na ufce.

Ani podobna było najciekawszym dójść liczby wojsk wchodzących, tak długo ciągnęły się one i ciągnęły; a jeszcze widać było na gościńcu daleko nieprzerwany łańcuch wijący się po górach. Już się miało ku zmierzchowi, gdy jazda wszystka weszła w miasto, a piechota sunąć się zaczęła.— I znowu do ciemnéj nocy szła piechota nieustannie.

Mieszczanie znużeni i nasyceni porozchodzili się po domach, ciekawszym cierpliwości nie stało, wreście noc nadchodząca nic już widzieć nie dozwalała. W powieściach ludu Chodkiewiczowskie siły, stały się nieprzeliczone, niezmierne, powiększono je, czyniąc sobie otuchę, w trójnasób przynajmniéj.

Gdy się to dzieje u wjazdu w miasto, Jan Karol wchodzi do swojéj kamienicy, przygotowanéj już na jego przyjęcie, ze wszystkiém swém wojskiem. Nie zsiadając z konia, wprowadza działa jedne wewnątrz, zewnątrz zostawia drugie. Kilka z nich zostaje przed kamienicą samą, w ulicy, ze strażą przyzwoitą; resztą natychmiast rozporządza P. Barbier, któren przy szpadzie, w kapeluszu, kieruje wgłos rozstawianiem ich po murach. Większe i mniejsze armaty i śmigownice zajmują przeznaczone miejsca i czarne paszcze, wystawują na wszystkie strony. Tuż przy nich już leżą kupami ładunki, stosami kule żelazne.

Nie zsiadł z konia Jan Karol póki wszystkich swych żołnierzy nie porozstawiał, póki wszystkiemi nie rozporządził. Główny obóz

wpośrodku dziedzińców, które zalało żołdactwo, tu rozstawione kotły, rozpalone ognie, tu rzędami stoją konie przy naprędce przygotowanych żłobach. Tentent, szczęk, gwar, hałas, krzyki po całéj kamienicy, rozlegały się bezustannie. Ci szli oglądać naznaczone im na murach miejsca, inni pomagali wciągać działa, które stać miały wyżéj, tamci zdéjmowali i rozwieszali zbroje. Wódz był wszędzie, tam spójrzał, tam coś wyrzekł, tam przejechał tylko w milczeniu, rozporządził wszystkiemi, poustawiał straże, a zdawszy dopiéro pilność na Pana Mikołaja Chamca Marszałka Dworu, zsiadł z konia i udał się do Kasztellana.

Oddawna już oczekiwano go tutaj. Wojewoda Mniszech, Starosta Borysowski, Kasztellan i kilka jeszcze osób stronnictwa Katolickiego, zgromadzonych było w komnacie, któréj okna wychodziły w dziedzińce.—Ogromny ogień palił się w kominie, a na stole zastawiona była wieczerza nietknięta.

Wszyscy się ruszyli witać Starostę Żmudzkiego.

— Witajcie nam, bohatérze, rzekł Mniszech, witajcie! jużeście swoje ukończyli przecie, i hetmaństwo zdali, możecie więc spocząć z nami.

— Nareście, po całym dniu znoju, odpowiedział Jan Karol zrzucając z siebie ciężką szubę. — Nareście chwila folgi. Ale bo też naszego prowadzić niekarnego i swawolnego żołniérza, nie łacna rzecz! No! daj Boże w dobry czas, wwiedliśmy i my swoich. Może już myśléli Panowie Radziwiłłowie, że się i na dziesiątek ludzi, przeciw ich tłumom, nie potrafimy zdobyć! Ale jakkolwiek naszych mało, wolę ja tę trochę, od ich tysiąców! Mój to żołniérz co go znam dobrze i nie zawiedzie mnie, kiedy trzeba będzie począć co.

To mówiąc Jan Karol witał się i podawał ręce.

— Wszystko więc z naszéj strony gotowo na przyjęcie? spytał Kasztellan.

— Wszystko — rzekł Starosta Żmudzki, Xiężna tuż, umowa na stole, wojsko i działa dokoła — termin blizki. Czekamy Ichmościów Panów.

— A wiécie o przybyciu PP. Medjatorów od Króla Jego Mości przysłanych, spytał Alexander Chodkiewicz.

— Wczorajsza Wasza ceduła oznajmiła mi o tém. Ale panie bracie, do Radziwiłłów to, nie do nas posłowie, my wojny nie poczniemy sami.

— Zapewne, odpowiedział Kasztellan, a kiedy nas zaczepią, bronić się będziemy musieli.

— Jaka jest liczba wojsk Radziwiłłowskich? spytał Jan Karol, wiele oni tam mają zbiéraniny? i co myślą poczynać?

— Różnie różni prawią — rzekł Alexander, ale najpewniéjsza, co z dworu Xięcia Wojewody nam wiadomo, że mają blizko sześciu tysięcy ludzi. Nie licząc drobnych pocztów szlacheckich i pojedyńczych ludzi, nie licząc dworskiego żołniérza P. Wojewody, mają od trzech Ostrogskich po sześćset koni i siedémset hajduków, pięćdziesiąt koni Abramowicza, Naruszewicza sto i stu hajduków, Zamojskiego z Podola dwieście jazdy pod Piotrem Zboryńskim rotmistrzem, Xięcia Kurlandzkiego raj-

tarów dwieście, którzy dla postrachu w dziedzińcach Kardynalij stoją, Starosty Mozyrskiego; ludzi ze dwie sotnie. Ot i wszystko— Byłoby czém zawojować kawał kraju.

— Cóż oni z tém wszystkiém czynić będą? rzekł Jan Karol uśmiéchając się. Dość spójrzéć tu do koła, aby zmiarkować, że cisnąc ludzi jak śledzi trzeciéj części tego tłumu, nie pomieszczą tu pod kamienicą moją, gdyby ją dokoła obsaczyć chcieli i leść na armatnie strzały, które ich pozmiatają jak muchy! W pole nas nie wywabią, szturm niepodobny, chyba wprzód nim poczną, poburzą dokoła domostwa, czemu trudno dać wiary.—Na cóż więc i do czego to wszystko? Dla pokazania chyba co mogą Radziwiłłowie?

— Takżeś to WMość Panie Starosto, pewien swéj kamienicy? rzekł Mniszech?—

— Nie potrzeba tu nawet wielkiéj znajomości sztuki wojennéj i znacznych wysileń rozumu, odrzekł Jan Karol, aby umocnić, tak samém swojém położeniem osłonione domóstwo nasze. Przystęp do niego zewsząd zagrodzony drugiemi zabudowaniami, ulice do-

koła ciasne — Najszérsza z przodu Zamkowa, w pół już zajęta stojącemi tam naszemi działami i strażą. Kędyż dostąpią? gdzie wojsko postawią i do kogo strzelać będą? Nasi ukryci za murami umyślnie wyprowadzonemi, razić ich mogą bez ustanku z góry, z ręcznéj broni, hakownic i szmigownic, gdy sami zasłonieni, spokojnie siedzieć będą. Jesteśmy tu jednem słowem, z prosta mówiąc, jak u P. Boga za piecem. — Oddane listy Królewskie? spytał po chwili.

— Jeszcze nie, rzekł Kasztellan — czekano zapewne na Was, aby je wszystkim razem wręczyć.

— Senatorowie najmocniejszy mają przykaz od Króla J. Mości, nie dopuścić wojny i zwarcia się.

— Wątpię, aby rozkazy na konfederatach skutkować miały — odpowiedział Jan Karol. Pożyjemy, zobaczemy. A Xiężna?

— Byłem u niéj wczora — rzekł Kasztellan, przestraszona, niespokojna, zwyczajnie kobiéta?

— Mogliście zbadać co myśli?

— Zawsze toż samo!

— Chciałażby, popędliwie ozwał Jan Karol — chciałażby się wyrzéc za niemi, to być nie może!

— Po ostatnich moich odwiedzinach inaczéj się spodziewam — zwolna odpowiedział Kasztellan. Byłem u niéj z wielebnym Ojcem Rutskim, który jéj dostatecznie wyłożył, jakim jest grzechem i bezprawiem podobne małżeństwo.

— Dałaż się przekonać?

— Nie wątpię — Skłonność jednak myślę zawsze taż pozostała, tylko ją teraz pobożność tamować będzie i uśmierzać. To pewna, że gdyby się nawet wyrzekła za Xięciem Januszem, nie inaczéj chyba kładąc za warunek, dozwolenie i dyspensę z Rzymu.

Jan Karol umilkł nasrożywszy się; w tém dworzanin oznajmił — Xięcia Melchiora Gedrojcia, Marszałka Dorohostajskiego i Zawiszów.

Jan Karol ruszył ich spotkać na wschodach, Kasztellan we drzwiach komnaty — Ukazał się naprzód Biskup z łagodném i u-

śmiéchającém się obliczem, potém reszta Posłów — Po zwykłych przywitaniach i kilku słowach obojętnych, podane listy Królewskie do każdego z PP. Chodkiewiczów zosobna, przy których wręczeniu, odezwał się Biskup Żmudzki, w imieniu Króla i Kraju prosząc i zaklinając, aby wojny nie poczynano.

— Piérwszy i najokropniéjszy byłby to przykład u nas, rzekł, a kto wié i wyrachuje jego skutki?

Ciężko swoje sumienie obarczy, kto piérwszy dla błahego sporu, broń na brata podniesie.

— W. X. Mość, przerwał prędko Jan Karol, nie do nas z tém odzywać się powinniście. My wojny nie rozpoczynamy, opłakujem smutną konieczność, lecz mamyż się dać powiązać i nie bronić?

— Waszmość piérwsi dajcie z siebie przykład posłuszeństwa rozkazom J. K. Mości, nakłońcie się do zgody!

— Do zgody! zakrzyknął Starosta Żmudzki. Byłoby ostatniém poniżeniem dla nas, piérwszym wyciągać rękę!

— Byłoby to prawdziwie bohatérskiéj Chrześcijańskiéj cnoty dowodem, dodał Jan Zawisza.

— No, no! lecz trudnoż znowu wymagać aniélskich cnót po ludziach z ciała i kości! rzekł Dorohostajski, nie wątpię że P. Starosta na słuszne warunki przystanie, ale —

— Możemy Wam przełożyć warunki nasze? spytał Gedrojć.

— Przyjmiemy je, rzekł Kasztellan, jeśli pochodzą od Króla, z uszanowaniem, jeśli od Was, z wdzięcznością, lecz dozwólicie wprzód się nad niemi zastanowić, czyli nas nie upokorzą. Mniéj na pozór silni, podalibyśmy się wpodejrzenie, żeśmy o sobie zwątpili, gdybyśmy zbytecznie do zgody spieszyli.

— Czegoż W. Mość Panie Kasztellanie i Wy Panie Starosto, wymagacie?

— Jasna rzecz, bo sprawiedliwa i długich tłumaczeń nie wyciąga, prędko głos zabrał Jan Karol. Co do umowy o wydanie Xiężnéj, niech ona sama rozwiąże, czy chce Xięcia Janusza lub nie. My jéj silić, poddawać nic nie będziemy. Ma lata i wolę własną.

Lecz w razie gdyby nawet zezwoliła na to małżeństwo, ono jest przeciw prawom i do skutku przyjść bez osobnych dyspens nie może. Co do nas, widzicie sami do czego nas PP. Radziwiłłowie przywiedli — Do zadłużenia i pozastawiania imion ojczystych, dla ściągnienia żołnierza, w liczbie znacznéj, do kosztów niesłychanych, na tę wojnę. Wszystkie Sądy i Trybunał sam w ręku Wojewody, wszędzie nas osądzono jak chciano, nie wedle sprawiedliwości, lecz wedle potrzeby — liczą na nas przezyski, summy ogromne, chcą nam odbiérać majątki, grożą bannicją — a potém jaka tu może być zgoda. Możemyż my ustąpić wszystkiego, dać się zniszczyć i słowa nie wyrzéc?

— Ani słowa, rzekł Zawisza, iż nie podobna po Was wymagać, zaparcia się samych siebie i swojego interessu, lecz nie macież warunków pośrednich któreby PP. Radziwiłłowie przyjąć mogli, i któreby WWMościów razem uspokoiły?

— Niech wprzódy zobaczym, rzekł Kasztel-

lan, czego po nas wymagają Xiąże Wojewoda z synem.

Dajcie przykład, przerwał Biskup, pokażcie im, iż piérwsza u nas myśl o dobro Kraju i jego spokojność, niż o własną — powiedzcie swoje warunki?.

— Lecz dorzucił Jan Karol, nasze warunki nie mogą być, tylko odpowiedzią na ich wymagania. Sami zawsze toż powtarzamy, cośmy już powiedzieli. — O Xiężnéj losie, ona sama rostrzygać będzie własną wolą. Z nami niech wszystkie sprawy zmażą i skasują, pretensje, umorzą, processa zniszczą, szkody nagrodzą — a spór na wspólnych przyjaciół zdadzą.

— Sądzę, odezwał się Dorohostajski, iż PP. Radziwiłłom, przy ugodzie o nic tyle, jak o upewnienie ręki Xiężnéj Zofji dla X. Janusza, chodzić nie będzie. O to więc naprzód porozumiećby się wypadało.

Jeśli Xiężna zechce sama, a Papiéż dozwoli, rzekł Kasztellan spoglądając na Jana Karola — wtedy. —

— Wtedy będzie mogła być wydaną, dodał Starosta Żmudzki.

— Xiąże Wojewoda chciałby natychmiast spełnić obrzęd ślubny, w terminie umową zakréślonym, odezwał się znowu Dorohostajski — Jego prawa kościelne nie obowiązują.

— A prawo krajowe?

— Król J. Mość, uczyni wyjątek dla PP. Radziwiłłów i specjalne da pozwolenie. —

— Jeszcze go niéma?

Dorohostajski nic nie odpowiedział.

— A jeśliby się czekając dyspensy z Rzymu ślub przeciągnął, powolnie wyrzekł Biskup — wszak dozwolicie WWMMość, aby Xiąże Janusz u Xiężnéj Zofji bywał?

— Było o to osobne poselstwo — rzekł Kasztellan — i teraz jak wówczas powiadamy, odłóżmy to do terminu i końca. Zobaczemy — Jeśli małżeństwo do skutku nie przyjdzie, do czego się to zdało? Szkodliwe raczéj niż pożyteczne.

— Wojewoda, gdyby nawet co bardzo wątpię, przerwał Dorohostajski, (acz nie taję, żem z nim mówił o tém nawiasem) gdyby na-

wet jakim szczególnym wypadkiem nakłonił się na odwleczenie ślubu, wymagać koniecznie będzie wolności odwiedzania Xiężnéj dla syna; jak wprzódy domagał się tego.

Chodkiewicze milczeli, spoglądając po sobie. Wojewoda Sandomirski przystąpił do Kasztellana i szeptał mu do ucha.

— Co szkodzi dozwolić tego, warując, że odwiedziny mają być albo w Waszéj, albo w któregokolwiek z Was przytomności?—Jeśli i tego nie chcecie nawet, bądźcie pewni, że innych warunków nie przyjmą, więc i ten upadnie. Dozwólcie—Z Waszéj strony będzie to miało pozór największéj powolności, gdy w rzeczy nic z tego nie będzie. A nuż ten warunek zachęci do zgody—

— Wojny się nie lękamy — odrzekł Kasztellan —

— Lecz żądacież jéj? spytał Mniszech—pewnie nie—Wszystko co osobista Wasza godność pozwoli, uczynić możecie, aby jéj uniknąć, tego Wam nikt za złe nie weźmie.

Gdy tak umawia Kasztellana, Wojewoda

Sandomirski, podobnemi prawie słowy i argumentami, przekonać się stara Jana Karola, sędziwy Biskup z Janem Zawiszą.

Rozstępują się potém i naradzają między sobą Posłowie, szepczą Kasztellan z Janem Karolem.—

Po chwili przyjęty warunek.

— Zgoda więc—odrzekł Starosta Żmudzki zgoda więc na odwiedziny Xięcia Janusza, byleby w przytomności naszéj i z naszą wiedzą. Spodziewam się że więcéj powolności, po nas wymagać nie będziecie. Oto są nasze warunki ostateczne:

Wojewoda powróci nam wszystkie zapisy i obligi, urzędowie je kassując i onych odstępując, processa umorzy, przezysków się zrzecze i dochodzić na nas nie będzie, sprawy o Kopyś popierać przestanie, szkody i koszta których był przyczyną nagrodzi. Xięciu Januszowi wolny przystęp do Xiężnéj w obecności naszéj, a gdy dyspensę od Papieża w powinowactwie otrzymamy, gdy Xiężna dobrowolnie się zgodzi na to—wtedy wydaną zostanie za Xięcia Janusza.

Gdy Jan Karol mówił, Zawisza pisał podane warunki. Nic już więcéj nie rzekli Posłowie i po chwili oddalili się. Był już poźny wieczór, gdy się za niémi wrota Chodkiewiczowskiéj kamienicy zawarły.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

I. Wieści. Narada pod Ratuszem. Wójt u Rektora 11
II. Deputacja Magistratu 35
III. Tomiło 49
IV. Xiąże Janusz w Kamienicy Chodkiewiczowskiéj 65
V. Ostrabrama 85
VI. Ojcowie Jezuici 103
VII. Posłowie od Króla Jego Mości 123
VIII. Przygotowania wojenne. Xiężna . . . 149
IX. Starosta Żmudzki w Wilnie 167

SZKICE

OBYCZAJOWE I HISTORYCZNE.

(Każda powieść tego zbioru przedaje się osobno.)

SZKICE
OBYCZAJOWE
I HISTORYCZNE.

(J. I. KRASZEWSKIEGO.)

ODDZIAŁ DRUGI.

Powieść ósma.

Wydanie Adama Zawadzkiego.

WILNO.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1841.

Pozwolono drukować pod warunkiem złożenia po wydrukowaniu exemplarzy prawem przepisanych w Komitecie Cenzury. Wilno. 1841 roku 29 Junij.

Cenzor, Professor b. Uniwersytetu Wileńskiego
Radźca Kollegialny i Kawaler
Jan Waszkiewicz.

OSTATNIA

Z XIĄŻĄT SŁUCKICH.

OSTATNIA
Z XIĄŻĄT SŁUCKICH.
KRONIKA
z czasów Zygmunta trzeciego

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

z trzema rycinami.

WILNO.

NAKŁADEM I DRUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

1841.

I.

Piąty Lutego.

I.

Piąty Lutego.

Nazajutrz rano dopiéro Xiądz Biskup z dwóma Zawiszami i Marszałkiem Dorohostajskim, udał się do Radziwiłła.

Przyjął ich Wojewoda ze wszelką czcią

należną, ale wyraźnie oziębłe. Oddane sobie listy Królewskie odczytywał i zaraz na nie odpowiedział Biskupowi.

— Jego Królewska Mość, wielkiéj łaski swéj dowód nam daje, chcąc wejść w to, aby zgodę uczynić, wszelako nie jest to sprawa, któraby rozkaz mógł rozstrzygnąć, i my najlepiéj tylko wiémy, jak ją ukończyć. Cudza rana nikomu nie boli, więc radby przykazać aby nie jęczéć. Cóż kiedy choremu dolega?

— Xiąże Wojewodo, odparł Biskup poważnie i łagodnie—wasze rany znane są Królowi Jego Mości; nie rozkazuje on dotąd, ale radzi i życzy, abyście z osobistéj sprawy, nie wszczęli w kraju wojny domowéj. Do was najsilniéj odzywamy się, bo Wy, Panie Wojewodo piérwsi jęliście spisywać wojsko, dając przykład szkodliwy —

Wojewoda przerwał.

— Moja to rzecz, i nikomu się w to nie mięszać — odpowiedział — Rady Jego Królewskiéj Mości z wdzięcznością przyjmuję, ale jak mam postąpić, mój mi honor obrażony podyktuje sam i jego tylko słuchać będę.

— Posłuchajcież i tych, którzy W. X. Mości dobrze życzą, rzekł Dorohostajski. Juściż tu na jego szkodę, upokorzenie nikt nie godzi. Co się czyni, czyni się, jak mówią, aby był i wilk syty i koza cała. Możnać przecie znaleść środek między Waszemi Panie Wojewodo i Chodkiewiczów żądaniami pozwólcie przynajmniéj poprobować, nic na tém nie stracicie.

— Tak, dodał Zawisza, wszakże W. X. Mość nikt nie musi i nie pociąga gwałtownie. Co się uczyni, uczyni się z dobréj woli — Azaliż Panie Wojewodo, nawet probować zgody nie zechcecie?

— Ja jéj całą duszą pragnę! zawołał Radziwiłł, ja jéj sam życzę — ale zgody na słusznych warunkach, które ja sam podam, bez których dopełnienia, nic nie uczynicie W Mość.

— Pozwólcież nam wiedzieć, spytał Biskup, jakie są wasze warunki?

— Napróżno będę je wyprowadzał na plac, odrzekł dumnie Wojewoda, Chodkiewicze ich nie przyjmą — Oni to oni, najdalsi od pojednania i zgody; oni szukają tylko przyczyn

do wojny, oni gdybyśmy im ustępowali nawet, nie będą radzi póty, aż zmuszą do nieszczęśliwej wojny! Tak, tak! czemuż odpychają mnie ciągle, czemu gdym ostatnią razą, uprosił dwónastu Panów Senatorów na pośredników, gdym się zniżył do przedstawień i prośb, odpowiedzieli tylko — wzgardliwém odrzuceniem podanéj im już ręki. Drugi raz nie wyprowadzą mnie na to, abym jakikolwiek krok uczynił.

— A gdyby teraz oni uczynili ku Wam krok jaki, Xiąże Wojewodo — rzekł Jan Zawisza.

— Oni! oni tego nie uczynią! zawołał X. Janusz przytomny.

— Nie dość ich widać znacie, odpowiedział powolnie Biskup. Oto i my Wam przynieśli od nich właśnie warunki, a warunki słuszne i uczciwe, którym nic zarzucić nie można, które Was nie upokorzą, ani pokrzywdzą, jeśli je przyjąć zechcecie.

Wojewoda z synem spójrzeli po sobie, zaledwie wierząc słowom Biskupa, w ich twarzach malowało się podziwienie z trochą wzgar-

dy. Milczeli oczekując położenia na stół warunków zapowiedzianych.

— Ciekawiśmy powolności PP. Chodkiewiczów ku nam! rzekł wreście dumnie spoziérając na Kommissarzy Wojewoda.

A Jan Zawisza dobył ceduły i podał ją Xięciu Radziwiłłowi.

Chwycił on to pismo skwapliwie, i czytać począł, a X. Janusz za nim stojąc, zarówno z ojcem przebiegał oczyma. Łatwo było z malujących się uczuć, na fizjonomjach obu, poznać jak przyjmą podane sobie propozycje zgody. Brew Wojewody marszczyła się, oczy zmrużały, usta mu drżały, ramionami poruszał. Syn mniéj okazał oburzenia, a więcéj dumy czytając. Przebiegłszy oczyma cedułę rzucił ją ojciec synowi z uśmiéchem mówiąc.

— Naści, spójrz Wasze na traktat Chodkiewiczowski! Zaiste, przewyborne warunki! mówił daléj. Ale do czegoż prowadzą, gdzie powolność, gdzie słuszność sama? Przecież łaskawie dozwalają X. Januszowi przystępu do Xiężnéj Zofji, któregośmy dotąd wyprosić nie mogli! I to jedno ma walor jakikol-

wiek. Reszta to szyderstwo tylko! Oddać im obligi i zapisy, pokassować processa, zdać się na łaskę, zdać się na przyjaciół, kłaść głowę pod miecz, gdy w mocy naszéj samemu sprawiedliwość sobie wymierzyć! — I czekać jeszcze ze ślubem do dyspens Papieża! Mnie na nic Wasz Papież i jego pozwolenie nie potrzebne, z Waszém przeproszeniem, Mości Xięże!

Gedrojć pochylił głowę i zamilkł, zdawał się w milczeniu, prosić Boga o upamiętanie dla obłąkanych. Jan Zawisza odezwał się tylko.

— Zdanie sprawy na przyjaciół, nie wydaje nam się, ani tak dziwném, ani tak groźném, jak Wam Mości Xiąże.

A co się tycze sprawiedliwości, którą sami sobie wymierzyć chcecie, wierzcie mi, jeszcze nie było takiego Anioła na ziemi, któryby swego sumienia nie podając na szwank, mógł być Sędzią własnéj sprawy. Szanując Was, Panie Wojewodo, jako dobrze życzliwy. —

Wojewoda się skrzywił.

— Jako dobrze życzliwy, kończył nieuważając Zawisza, nie doradzałbym samemu w gniewie, rozsądzać między sobą, a nieprzyjaciółmi swemi. Cóż dopiéro, gdy ten sąd, ma być sądem miecza i wojną?

— Rzucacie nam nieustannie wojną w oczy, przerwał Radziwiłł, ależ my tylko zmuszeni i w ostateczności, do niéj się dopiéro porwiém. Ani sobie, ani Litwie, ani nikomu jéj nie życzym.

— Dajcież dowody tego, rzekł Biskup, pokażcie chociażby intencje zgody, choć ścieżkę którą do niéj dójść można?

— Niech zadość uczynią obligom i przyrzeczeniom swoim, a stanie pokój i zgoda— zawołał Wojewoda— Naówczas je poniszczym, processa skassujem i koniec wszystkiemu.

— A jeśli wedle sumienia swego, w zupełności natychmiast uczynić zadość umowom nie mogą, bo je widzą prawom przeciwne? spytał Zawisza.

— Na cóż się pisali do nich, ś. p. Starosta Żmudzki i Kasztellan? odrzekł X. Janusz. Wszakże to było dobrowolném.

Umilkli; Gedrojć ozwał się po chwili.

— Więc żadnym sposobem tych warunków przyjąć nie możecie? Xiąże Wojewodo.

— Są to szyderskie propozycje! odrzekł Radziwiłł prędko, wiedzieli oni podając je, iż przyjęte nie będą! Wszakże jedno w nich tylko widziémy dozwolenie bywania u Xiężnéj dla X. Janusza, na które jak na lep złapać nas chcieli. Resztę chyba zwyciężony, nie zaś gotujący się zwyciężyć, przyjąć by mógł.

— Podajcież swoje ultimatum, rzekł Zawisza zbliżając się do Xięcia.

— To naprożno! odpowiedział Wojewoda.

— Sprobujcie, dodał Dorohostajski.

— W imie dobra kraju i spokojności jego, prosiémy Was o to, rzekł Biskup, położcie warunki Wasze.—Wszak to Wam uwłaczać nie może, mieliście wprzód podane sobie od PP. Chodkiewiczów kondycje, ukażcież swoje.

Radziwiłłowie spójrzeli po sobie i Wojewoda nic nie odpowiadając, z synem i P. Zenowiczem Wojewodą Brzeskim jął się naradzać. Nadszedł do rady P. Abramowicz Wo-

jewoda Smoleński i Lew Sapieha. Tym czasem posłowie w milczeniu oczekiwali końca. Lew Sapieha jak zawsze tak i teraz przyjaciel zgody i pokoju, gorąco umawiał teścia, aby słuszne podał warunki i nie uchylał się od zgody, gdyby ta można się okazała. Nareście Wojewoda dał się pożyć i wyszedł do Kommissarzy z propozycjami od siebie.

— Chcieliście, macie więc WMość ultimatum moje, i zaprawdę, jeśli się pilnie zastanowicie nad niém, przyznacie mi większą od PP. Chodkiewiczów powolność i chęć zgody.— Co słuszna przyzwalam na wszystko; co słuszna wszystko ze szkodą nawet swoją uczynię— Wierzcie WMość, ja chcę zgody, nie wojny, ale zgody bez upokorzenia, zgody bez szkody! — Oto moje warunki.

„Jeśli Kasztellan czuje się i rozumié przezemnie obrażonym w osobie swéj, jeśli i przyjaciele wspólni uznają że tak jest, gotowem jak być może najuroczyściéj, z ochroną wszakże familji i osoby mojéj, chętnie go przejednać. Co się tycze szkód i strat jakie ponieśli PP. Chodkiewiczowie przez zaciągi żołniérza, proces-

sa, nie odmawiam słusznego wynagrodzenia, i ze swych bodaj majętności przyłożę się, do zatarcia śladów téj opłakanéj sprawy. Małoli mojego słowa i przyrzeczenia, użyję dla większéj pewności teścia mojego Xięcia Wojewodę Kijowskiego i szwagra Xięcia Kasztellana Krakowskiego, aby za mnie poręczyli, że dopełnię co przyrzekam.— A zgodali na te kondycje, więc natychmiast wesele nie zwłócząc!

Mówił i obejrzał się na Biskupa, któren przyjął te słowa spokojnie i bez zadziwienia.

—Dziękujemy W. X. Mości, za tę powolność, jakąście na prośby nasze okazali, rzekł po chwilce, poniesiemy te warunki PP. Chodkiewiczom i dołożym starań wszelkich, aby je przyjęli. Nie taim jednak, iż nie zdadzą się pewnie dostatecznemi. Teraz jeszcze raz serdeczne dzięki Wojewodo.

Radziwiłł skłonił nieco głowy.

—Małożli jeszcze ze mnie? spytał. Wejdźcie w to co czynię, i w położenie moje, gdym pewien swego, a uznacie, że czynię bardzo wiele.

Nikt na to nie odpowiedział, a Jan Zawisza postąpił sam ku Wojewodzie z pismem w ręku.

— Aby zbliżyć W. X. Mość z PP. Chodkiewiczami, nie dość myślę, warunków z obu stron podawanych, zwłaszcza, gdy nikt nic ustąpić nie chce i na oko powolność okazując, przy swojém stoi. Pozwól W. X. Mość, nam pośrednikom w imieniu J. Królewskiéj Mości działającym, nasze mu podać, a raczéj królewskie propozycje. Jeszcze o nich nic spełna, nie wiedzą PP. Chodkiewiczowie, którym ich nie ukazywaliśmy, chcemy abyś W. X. Mość wprzódy je widział i osądził, azali na nie przystać możesz. Podaliśmy warunki piérwsze, jako medjatorowie, przynosząc co nam dano, te zaś pokładamy W. X. Mości, nie od PP. Chodkiewiczów, nie od siebie, ale od Jego Królewskiéj Mości.

Wojewoda wyciągnął rękę po papiér i chwycił go skwapliwie, w twarzy jego jednak niedowierzanie jakieś i szyderstwo zimne świéciły.

— Od Jego Królewskiéj Mości! powtórzył,

to toż samo co od PP. Chodkiewiczów, znamy jak serce Pańskie skłonne jest dla nich.

— Równo dla wszystkich — rzekł Biskup. Wszyscy poddani równi są w oczach i sercu J. K. Mości.

— Równi! powtórzył Radziwiłł — bodajby! Biéda że nie tak jest. J. K. Mość chce, aby wszystkie jego dzieci jednakowo się modliły, poszcząc Piątek i Sobotę!

— Cóż w tém złego i dziwnego! podchwycił Zawisza — Każdy swoją wiarę ma za najlepszą, bez tego nie miałby prawdziwéj wiary — Mając ją za taką, z prawdziwéj tylko przychylności, usiłuje wszystkich na najlepszą zwrócić drogę.

Wojewoda się uśmiéchnął.

— Czytajmy cedułę, rzekł.

I czytał co następuje.

— Sprawa cała ma być zawieszona do Sejmu! Na Sejmie ma być wyznaczony dzień i miejsce, na których z obu stron naznaczona pewna liczba przyjaciół, do rozstrzygnienia o krzywdach, sprawach poczętych i pretensjach wzajemnych, dla zaspokojenia ich w cza-

sie zamierzonym. Jeśliby zaś przyjaciele w czasie zamierzonym zgody uczynić nie potrafili, tedy to wszystko J. K. Mość jako superarbiter, w przytomności tychże przyjaciół na tydzień przed skończeniem Sejmu zdecyduje. Na decyzji J. K. Mości, obie strony poprzestać mają. Tym czasem zaś złożywszy broń rozjechać się spokojnie, żadnéj zaczepki nie czyniąc. Nim zaś Sejm nastąpi Kasztellan żadnéj obietnicy o rękę Xiężnéj, nikomu nie uczyni; a przystęp do niéj ma być wolny Xięciu Januszowi.

— Na niektóre punkta, odpowiedział zaraz Wojewoda, ale na niektóre tylko, mógłbym przystać, na resztę nie podobna. A mianowicie, ażebym sprawę swoją na przyjacioły, albo na Króla zdawał! Na Króla, któren całém sercem i duszą za PP. Chodkiewiczami i za niemi pewnie osądzi! Na przyjacioły, którzy nie czują co ja czuję i w których oczach lżejsza zgoda, bo ich jak nas nie boli nic. Nigdy! nigdy, nie mogę na to przystać! Prędzéj już na wszelkie inne, niż na te propozycje, które by mi ręce związały,

miecz z ręki wytrąciły i bezbronnego nieprzyjaciołom oddały, na upokorzenie i szkodę niechybną.

Nie śmieli nic powiedzieć przytomni; Wojewoda ciągle powtarzał trzęsąc papierem — Nigdy! nigdy!

Widząc, że nic nie poczną Panowie Kommissarze, mieli się do wyjścia, wziąwszy tylko podane już na pismie warunki Wojewody, z któremi poszli do PP. Chodkiewiczów.

Xiąże Gedrojć nie chciał na chwilę spocząć, pókiby spokojności nie zapewnił i nie dokazał swém pośrednictwem przynajmniéj zawieszenia broni. Śpieszył się tém bardziéj, im widoczniéjszém było, że nazajutrz Radziwiłłowie rozpocząć mieli, może niczém potém niewynagrodzoną wojnę i długi szereg klęsk na kraj sprowadzić mającą.

Powiększał obawę rzut oka na dwór Radziwiłłowski, cały pod bronią krzątający się, cały wojną tchnący — Kardynalja pełna była żołdactwa, rotmistrzów, półkowników; zawalone dziedzińce stosami zbroi i broni — W każdym kącie szeptano i naradzano się.

Nieustannie wychodzący na szpiegi, podkradali się pod kamienicę Chodkiewiczowskę, opatrywali, badali i powracali z doniesieniami nazad.

Przeciwnie u Chodkiewiczów, jak tylko działa i wojsko wprowadzone zostały, wszystko umilkło i zawarło się. Bramy cały dzień stały zaparte, załoga w milczeniu spoczywała. Mało kiedy szmer lub hałas z dziedzińców wylatywał na ulice. Przechodzący dziwili się téj pozornéj spokojności w wigilją wojny, któréj tu nic nie okazywało, chyba te kilka dział, stojących przed wrotami w ulicy, przy których mała straż tylko zostawiona była.

Natychmiast wyszedłszy z Kardynalji, udali się Panowie posłowie do Chodkiewiczów, niosąc podwójne propozycje, swoje warunki i Radziwiłłowskie. Przyjęci i wprowadzeni zostali do Kasztellana, gdzie Starosta Żmudzki, Starosta Borysowski i Wojewoda Mniszech przytomni byli także.

Podano na stół odpowiedź Radziwiłłów, zimno przez Chodkiewiczów przyjętą.

—Wiedzieliśmy, że tak będzie, rzekł

Kasztellan, nie chcą zgody; dziéj się wola Boża.

— Wola Boża pewnie nie jest za wojną, odrzekł Biskup. Na miłość ukrzyżowanego ulitujcie się nad Krajem, starajcie się nie dopuścić wojny. Pomiarkujcie czyli podane przez Radziwiłłów warunki, nie mogą żadną miarą być przyjęte. One zdają się nieuciążliwe?

— Nie możemy ich przyjąć, rzekł Jan Karol, żadnym sposobem.

— Dla czegoż? — spytał Zawisza z Dorohostajskim, wszakże szkody wynagrodzić obiecuje Wojewoda, a nie dość téj obietnicy jego — stawi za siebie poręczycieli.

— Wiedział, że mu wiary nie damy! dodał Kasztellan. Ale to wszystko nic, niech powróci zapisy i obligi, niech processa skassuje, niech szkody nagrodzi.

— Wszystko to w jednéj chwili stać się nie może — dorzucił Dorohostajski.—

— Może, i bardzo może, odpowiedział Kasztellan, byleby Wojewoda szczérze chciał. Lecz to są tylko pozory, Radziwiłłowie pra-

gną wojny, oni nie darmo zgromadzili sześć tysięcy ludzi, chcą zaburzenia, chcą przyjednym ogniu i swoją sprawę i sprawę różnowierców Konfederacji upiéc — To widoczna.

— Tym ci bardziéj trzeba się starać o zgodę — rzekł Biskup. Oto są warunki od nas J. K. Mości Kommissarzy podane. I z tém ukazano pismo, jakie wprzód Wojewodzie Radziwiłłowi przedstawione było. Lecz Chodkiewiczowie, nie już na kilka, ale na żaden z podanych punktów nie przystali.

— Spuścilibyśmy się chętnie na sąd J. K. Mości, rzekł Jan Karol, ale nieprzyjaciele nasi powiedzą, żeśmy ich z umysłu pociągnęli przed Sędziego, dla nas więcéj, niż dla nich skłonnego. Co się tycze przyjaciół, ci nas rozsądzić nie potrafią, oni nie wiedzą ani wiedzieć mogą, co nas dzieli i ileśmy obrażeni— My swoich uraz, swojego cierpienia pokładać i przypominać nie będziemy, nie chcemy. Niech rozstrzyga oręż, jak dawniéj bywało — będzie to najlepszy Sąd Boży!

Napróżno nalegali, przedstawiali, prosili godzin kilka Kommissarze, napróżno każde-

go z osobna starali się pokonać. Chodkiewicze stali twardo przy swojém, a Jan Karol powtarzał.

— Chcą wojny, niech wojnę poczną, na ich duszę krew wylana — my za nią przed Bogiem nie odpowiémy. Pokrzywdzeni przed Sądami, pociągnieni przed Trybunały, najniesłuszniéj skazani na kary pieniężne, zagrożeni bannicjami; widzi Bóg cośmy przecierpieli, i Bóg to chyba nagrodzi.

— Xiąże Wojewoda chce Was przejednać, rzekł Dorohostajski, chce szkody nagrodzić!

— Jak przejednać! zawołał Jan Karol, jak? powié nam — wybaczajcie! kiwnie głową i to wszystko? Na klęczkach nas przebłagać powinien.

— Panie Starosto, chrześcjańska rzecz darować urazy.

— Darowuję mu je przed Bogiem, ale nie daruję przed światem. Cóż byłoby daléj, gdybyśmy na to dozwolili i zimném przeproszeniem kontentowali się. W coby się obróciła poczciwa nasza sława? — jaka zakała imieniowi i familji. Dzieci nasze wstydziły-

by się nosić nazwiska pokalanego sromotną uniżonością. W niedalekim czasie, powiedzianoby o nas, żeśmy przyjęli, co nam z łaski rzucono, bośmy się zlękli. Ale nie, prócz jednego Boga, nikogo się nie boim! Chcą wojny, nie zadrżym i my przed nią, dostoim placu — Panom Konfederatom.

Do późnéj nocy trwały prawie umowy, przekonywania bezskuteczne. Kommissarze napróżno starali się przed terminem ugodę uczynić, napróżno wysilali się na różne przełamania sposoby, Kasztellan i Jan Karol, pozostali nieugięci.

Smutny wyjechał z kamienicy Chodkiewiczowskiéj Biskup Gedrojć —

— Czyniliśmy co mogli, rzekł do Zawiszów, wszystko napróżno — Jutro dzień straszny i nasze miejsce przy boku Wojewody, aby mu nie dać podnieść oręża. Staniem jeśli będzie potrzeba, między niémi, piersią do ich dział, i niech strzelają jeśli chcą.— Pozwolimże na takie w kraju zamięszanie, na tak zgubny przykład?

— Nie powinniśmy dozwolić, odparł Za-

wisza, a czy nas słuchać zechcą, to wątpliwa.

— My o tém nie myślmy — przerwał Biskup — Jutro rano do Wojewody i cały dzień ten przy nim — nie ustępujmy krokiem. W imieniu Królewskiém zaprzeczym wzięciu się do broni; nie odstąpim od nich na krok, może też wstyd zbawienny przyjdzie.

— Co daj Boże! dorzucił Dorohostajski, gorzéj tu widzę zajątrzone obie strony, niżeli się spodziéwać było można. A! co ma być, to będzie!

I tak rozjechali się.

II.

W gospodzie Malcherowéj.

II.

W gospodzie Malcherowéj.

NAprzeciw kamienicy Chodkiewiczowskiéj, był szynk miodu i wina Pana Malchera, jeden z najbardziéj uczęszczanych w mieście.— Teraz on pełen i nabity różne-

go rodzaju ludzi; ścisk w nim i wrzawa największa, wszystkie izby zajęte, wszystkie stoły poobsiadane, ławki, zydle i stołki pozajmowane; ledwie się przez ciżbę przecisnąć można, ledwie dać słyszéć wśród wrzawy. Tam się zabiéra na bójkę i do szabel się już mają, na bakier czapki nastawiwszy, kręcąc wąsa i przeciw sobie stojąc. Ówdzie niesłychana przyjaźń, uściski gorące i do łez rozczulenie nad dzbanem. Tam po kątach szepty jakieś tajemnicze; a zewsząd słychać wołania.

— P. Malcher butel miodu Kowieńskiego!

— Podajcie tu wina!

— Dwa kubki dla nas!

— Grzanego z korzeniem tutaj!

— Nastąpiłeś mi Wasze na połę!

— Nie tykaj mnie Mości Panie —

— Ustąp się do krocset, bo cię zamaluję po łbu.

I tym podobnie.

Wśród izby trzaskący ogień na kominie rozłożystym, obsiedli go wkoło żołdacy i gwarzą i śmieją się i w kości grają. Daléj kilku

nad kartami, a drugie tyle widzów; w innym kącie jakieś ciekawe opowiadanie, któremu ucha nadstawia słuchaczów koło.

W ciemnym kącie izby, siedział P. Brożek, cmokał on nad kubkiem kwaśnego wina i wzdychał, nie mogąc zapomnieć owego ducha, owéj wróżby śmierci, któréj starał się wspomnienie w winie utopić.

— Za co umiérać, dla czego umiérać? mówił do siebie — Czyżem ja tak już się nażył na świecie, czym tak nabroił ,czym tak nagrzeszył? Zdaje się że nie — Czym ja tak bardzo na tamtym świécie potrzebny, albo już tu tak na nic się niezdał? Dalipan, ja tego nie rozumiem.

A w miarę jak kubka dopijał, pocieszał się. i dodawał sobie śmiałości.

— To być nie może ażebym ja umarł! Ja czuję życie w sobie! Jestem silny i zdrów. Nie koniecznie bo ten duch, śmierć ma znaczyć. Może to inna przestroga; a może mi się to wszystko tylko przydało. Boć wszyscy mówią że to czyste brednie i nikt wierzyć nie chce. Ale już taki że widziałem ducha, to widziałem, i nie byłem pijany, to pewna.

Gdy tak z sobą sam rozprawia i rozmyśla, ujrzał Pan Brożek wchodzącego do gospody Tomiłę i uśmiéchnąwszy się powstał z zydelka, spiesząc przeciw niemu.

— Witajcie! czekam na Was!

— Bóg zapłać, umyślnie też do was spieszyłem, aby się zobaczyć i pogadać. Mam do WMości pilną potrzebę.

— Jaką? spytał Brożek, jeżeli pieniędzy to dalipan zgóry powiadam, szeląga przy duszy nie mam. Ostatni talar dałem na mszą niedawno, a jurgieltu nieprędko zobaczémy, bo teraz jest go komu płacić, dworscy poczekać muszą.

— O! wcale nie o to chodzi, rzekł Tomiło, nie wiém tylko, jakby to Wam wytłumaczyć.

— No, a cóż to takiego! To jakieś do licha mądre rzeczy myślicie mi prawić.

Tomiło zamilkł.

— A naprzód, rzekł, zapijmy tę sprawę, wino język rozwiąże mnie, a Wam serce?

— Hę? spytał Brożek — to tu do téj sprawy i serce potrzebne?

— Trochę — śmiéjąc się szepnął Tomiło i zawołał na gospodarza.

— Panie Malcherze, dobrego wina kwartę!

— Wnet, wnet! zaraz.

Po dobréj chwili przynieśli wino, a Tomiło dopiéro podpoiwszy Brożka, jął mu pokładać sprawę swoją.

— Jest rzecz taka — Chcecie zarobić kilka czérwonych złotych węgierskich?

— Z duszy serca! zawołał Brożek — kieszeń moja pusta, a łokcie przynajmniéj u codziennéj sukni powyciérane. Jeśli tylko zarobek uczciwy i sumienia nie naruszy.

— Waszmości sumienie nawet o tym zarobku wiedzieć nic nie będzie — rzek Tomiło — Cała rzecz —

— A nuż mówcie, nie dręczcie daléj!

— Cała rzecz, abyście mnie do Waszéj kamienicy wprowadzili i z niéj nazad wywiedli. —

— Co? co? przysłuchując się szeptaniu coraz niewyraźniejszemu Tomiły, zapytał Brożek — Na co? jak to?

— Ani na co, ani jak, nie powiém, bo

Wam tego wiedzieć całe nie potrzeba — Zrobicie to czy nie?

Brożek tak się zamyślił, że o poczętym kubku zapomniał.

— Hm! hm! rzekł po chwilce, coś bo to zdradą pachnie. Powiedzcie mi Waść, coś za jeden. Ja dotąd nie pytałem o to — At, myślę, poczciwe chłopczysko jakieś, i po wszystkiém. Ale teraz, musicież mi powiedzieć przynajmniéj, co zacz jesteście, i dla czego chcielibyście zajrzéć do naszéj kamienicy?

— A koniecznie chcecie to wiedzieć? spytał Tomiło. —

— Juściż muszę — rzekł Brożek.

— No pijcież jeszcze, a ja Wam wszystko już powiém.

— Całą prawdę —

— Z końca w koniec, uważajcie tylko, aby nas kto nie podsłuchał. Do Was Panie Brożek.

— Wasze zdrowie!

— Ja jestem, ubogi krewny, daleki JMPana Kanclerza! —

— Co Waść mówisz?

— Istna prawda — nie mięszając się odpowiedział Tomiło, i na jego dworze, kończył dalej, zajmuję pewne miejsce znaczne.

—Wasz Pan Kanclerz, przeciw nam, przerwał Brożek kiwając głową — zięć Wojewody!

— Ależ Katolik.

— Nu Katolik! to prawda — A pocóż W. Mości do kamienicy?

— A powiedzieć Wam prawdę —

— Toć bo tego i chcę i czekam. —

— Do Was, Panie Brożek. —

— Prze zdrowie Wasze, Panie — A jak się zowiecie?

— Ja? rzekł Tomiło. —

— Wy? spytał Brożek. —

— Zowię się — pijcie bo, pijcie — nie dokończyliście Waszego kubka. —

— Wasz jeszcze niedoléwany — ani razu, mój dwa — Ale jakże się zowiecie, mieliście powiedzieć, kończcie. —

— Zowię się — Tomiło szukał sobie po głowie nazwisko — Hreczyna. —

— Hreczyna? a imie?

— Jan — (niech będzie Jan) rzekł w du-

chu, tylko nie mianujcie mnie tu w gospodzie po nazwisku, dodał cicho.

— No, no, będę sie starał, Panie Hreczyno. A interess Wasz do kamienicy naszéj —

— Tomiło szepnął mu na ucho. —

— Czarne oczy!

— Co? oczy? jakto oczy?

— Miłuję tam u Was w fraucymerze Xiężnéj jedną dziewczynę i chciałbym ją zobaczyć —

— Powiedzcież no tylko jaką — rzekł Brożek śmiéjąc się, ja znam je wszystkie. Posyłają mnie raz wraz, to za tém, to za owém na miasto. Jak jéj imie? —

— Jak imie? podchwycił Tomiło skrobiąc się w głowę — Ale bo Wy nie pijecie P. Brożek. Do Was. —

— Zdrowie Wasze Panie Hreczyna!

— Cyt, z tém nazwiskiem!

— Prawda, prawda! A jak jéj imie?

— Zgadujcie!

— Ale ba, tam ich kopa tych panien, a wszystkie jak łątki — kto zgadnie, która Wam w oczy wpadła. —

— A sprobujcie.

— Może Panna Małgorzata, wysoka brunetka? tylko że blada. —

— Nie, nie ta. —

— Wesoła Juljanna?

— Hm?

— Tłusta, mała blondynka. —

— Zgadliście.

— Pewnie?

— Pocóż bym miał Was zwodzić, chciałbym ją zobaczyć choć zdaleka, a na to potrzebaby mi wkraść się do kamienicy z W. Mością.

Ale nie dostaniecie się do niéj, bo tam ich Ochmistrzyni, jak oko we łbie pilnuje!

— Bylebym wypatrzył, gdzie teraz Xiężna mieszka z niemi, rzekł Tomiło, bo się kędyś przenieśli w środek kamienicy.

— Jabym Was wprowadził, po chwili namysłu odezwał się Brożek, cóż kiedy teraz u bramy srodze pytają.

— A zna Was straż?

— Jakże nie? gdyby i nie znała, to po barwie dworu poznają i puszczą.

— A wiécie co? rzekł Tomiło.

— Naprzykład?

— Dajcie mi swoją barwę, pójdę na chwilkę i powrócę.

— Hm? a jak tam Was dworscy zaczepią, gdyby swego i nie będziesz się im umiał wykręcić, to cię wezmą i popadniesz w biédę, a z Tobą i ja. —

— Bądźcie o to spokojni, odpowiedział Tomiło — dam sobie rady. Teraz mrok niełatwo kto w nos mi zajrzy, a choćby i zaczepiono, nie już nie mam głowy na karku?

— Ja bo przeczuwam jakieś licho?

— Kubek Wasz pełen! zawołał Tomiło, Wy bo dziś nic nie pijecie. —

— Już mi i tak w głowie kręci.

— Do Was, Panie Brożek!

— A dacie mi barwę na półgodziny?

— Kiedyżbo straszno do licha!

— Czegoż się boicie, ja to pojdę, nie Wy, i ręczę, że za półgodziny powrócę.

— Ależ bo Wam pilno do téj Juljanny, któréj pewnie i nie zobaczycie!

— Chodźcie przemienim suknie i postawię

Wam jeszcze kwartę, a pięć czérwonych złotych do ręki wezmiész za tę sztukę.

P. Brożek mimo upojenia i zawrotu głowy, miał jakby przeczucie, że źle czynił, nie mógł się jednak oprzéć naleganiom i przeszedłszy do bocznéj komórki, barwę swoją oddał, wziąwszy na się opończę Tomiły. Sam zaś usiadł z kubkiem w ręku jednym, drugą potrząsając czérwone złote w kieszeni.

Tomiło nie bawiąc wymknął się z izby; lecz od drzwi zawrócił nazad.

— Musicie mieć hasło? spytał P. Brożka. — Powiedzcie mi, żebym je oddał u bramy. —

— Białocerkiew — szepnął na ucho napity i palec na ustach położył.

Dworzanin dosłyszawszy ledwie, pospieszył, przesunął się przez ulicę i do wrótek kamienicy Chodkiewiczowskiej dostał się. Szedł z taką śmiałością i pewnością, że pilnujący dział, słowa nie rzekłszy, na barwę tylko spojrzawszy, puścili go. Dopiéro w fórtce, straż go spytała o hasło.

— Białocerkiew! rzekł śmiało Tomiło i wbiegł w dziedziniec. Tu rzuciwszy okiem

dokoła na prędce, posunął się pod murem spiesznie, oglądając wszystko, jak mógł, nie opuszczając najmniejszego zakątka. Przeciskał się wśród stojących i leżących żołnierzy, koni, narzucanego kupami oręża, zuchwale, odważnie. Nikt go nie zaczepił, on nikogo. Tak obydwa przewartowawszy dziedzince, dojrzawszy stanowiska dział, miejsc przeznaczonych dla żołnierzy na murach, jął się nazad przeciskać ku fórtce od Zamkowéj ulicy. Teraz już szedł samym środkiem i rzucając tam i ówdzie okiem na wysokie mury, spoglądał także na snujących się żołnierzy, których mijał. Nic nie pominął, czegoby przelotem przynajmniéj, nie obejrzał. Jak wszedł, tak nazad wyszedł, powtórzywszy dane hasło, wyskoczył w ulicę i wpadł do Malcherowéj gospody, w któréj P. Brożek jeszcze cmokał z kubka zostawione wino, lękając się pić prędzéj, aby mu nagle głowy nie odjęło. —

— Już z powrótem? zawołał ujrzawszy go, tak prędko? Widziałeś ją?

— Widziałem, odparł Tomiło. Bóg Ci

zapłać za usługę — Widziałem co chciałem, teraz bierz sobie nazad swoje suknie i bywaj mi zdrów. —

— Czegoż tak prędko?

— Bo mi pilno!

I zrzuciwszy barwę, nakrywszy się opończą, pobiégł Tomiło do Xięcia Janusza, od którego był wysłany. —

Młody Xiąże, u siebie właśnie naradzał się z Półkownikami i Rotmistrzami P. Zboryńskim i innemi o jutrzejszém dobywaniu kamienicy, gdy wszedł zapukawszy do drzwi i oznajmiwszy się Tomiło.

— Co nowego przynosisz? spytał go Xiąże. Słyszałeś co?

— Nic nowego nie słyszałem, ale byłem w kamienicy Chodkiewiczowskiéj —

— Jakżeś się tam wkradł?

— Mała to rzecz jak, M. Xiąże, odpowiedział Tomiło, dość żem był, i jak mógł, co było pod ręką, obejrzał. Przebiegłem oba dziedzińce, widziałem jaki gdzie stoją armaty, jakie miejsca porobiono dla żołnierza.

— Zuch z ciebie, zawołał Xiąże, nie zapomnę ci téj usługi Tomiło, a teraz mówże prędzéj, własnie nam się ta wiadomość najpilniéj przyda.

— Wojska w kamienicy, jak napchał, gdyby sledzi, rzekł Tomiło, ledwiem się pomiędzy ludźmi, końmi i zbroją przecisnąć mógł. Na mury pozaciągali działa i śmigownice, wycelowane w ulice, jakby na oblegających, — najsłabiéj od Cerkwi, nie wiém czy tam jest dział troje; najmocniéj na dwie strony od Zamkowéj i Sawiczéj — Pilno też opatrzono od XX. Ostrogskich placów i budowania. Porobiono zakryte chodniki dla żołnierzy, z strzelnicami tak, że aby ich dostać, trzebaby wprzód mury powalić, a oni niewidziani nas razić mogą. Podle bram łańcuchy mocne i kraty żelazne leżą, tak że choćby wrota wywalone zostały, niełacno by się dostać wyłomem.

W dziedzińcu i na przymurku, krom kuli i prochów, wielka ilość kamieni przygotowana. Myślę też, iż niedarmo kotły wielkie w dziedzińcu, pewnie w nich wrzątek na głowy nasze gotować myślą. —

Xiąże Janusz i przytomni, spójrzeli po sobie.

— W polu jak w polu, rzekł Zboryński, tambym ich chciał mieć, i wyzwaćby ich na rękę, niechby wyszli za Wilją—ale tu kat im da rady w téj lisiéj jamie!

— Zaprawdę trudna ich będzie dobyć, dodał Tomiło.

— Niejużci nie podobna! zawołał Xiąże— Zburzyć z lichem domostwo, wyłamać część muru i wyłomem się dostać.

— Z pozwoleniem W. X. Mości, przerwał Tomiło, niełatwo tu wyłom zrobić. Ja tam nie wojak i tych spraw niebardzo świadomy, ale niéma miéjsca zkąd burzyć mury. Ciasno w ulicach, jak w szyi do piwnicy. A wybiwszy dziurę nawet, nie łacno przez nią w środek, kiedy ze środka i z góry bronić będzie załoga.

— Ogień podłożyć i dymem podusić! zakrzyczał uderzając w stół ręką Xiąże Janusz— Może jak dym poczują, wyjdą w pole!

— Nie boją się oni ognia! rzekł Tomiło, mają go czém gasić. Ba i ogień niełatwo się

weźmie! A siedzieć pewnie będą w jamie do ostatka, nie wykurzyć ich.

Xiąże się namarszczył.

— Do jutra—zobaczym jutro, rzekł — Idę do Xięcia Wojewody—Jak świt proszę WMościów, stać w gotowości z pólkami i pocztami, każdy w swojém miejscu, do znaku. Dana będzie WMościom w czas wiadomość, jak się obrócić macie. Żołniérzowi nie dać się rozpraszać po mieście. Nie brak, wiém, na niczém żołdakom, niechże będą spokojni i mieszkańców nie krzywdzą, bo i tak na sumieniu i imieniu naszém, każda skarga pospolitego człeka, uciśnionego teraz.

Rzekł i skinąwszy głową, pobiégł raczéj niż poszedł do ojca.

Xiąże Wojewoda naradzał się także z kilką przyjaciółmi o jutrzéjszym terminie.—Żwawo tu rozprawiano, przyjaciele radzili jaki taki pokój raczéj, niż poczęcie wojny. Wojewoda gniewał się i poruszał—Znać było, iż w duszy swéj nietylko nie żądał rozstrzygać sprawy orężem, lecz dowiedziony do ostateczności, która go prawie do tego zmuszała, sam na siebie i na wszystko się jątrzył. Lękał się nie-

wyrachowanych piérwszego kroku skutków. Walczył sam z sobą, bał się upokorzenia, nie miał odwagi do walki, nie wiedział co począć, a jednak w ustach ciągle wojną szermował i nią się odgrażał.

Xiąże Janusz wszedł na same słowa ojca, któren odpowiadał Dorohostajskiemu.

— Chcecie pokoju, dajcież środki do niego! Nakłońcież Chodkiewiczów —

— Ani myśléć o tém, odparł wchodzący Janusz—tylko co świeże mam ztamtąd wieści. Ufortyfikowali się jak przeciw napadowi Tatarów. Działa na wszystkie strony wymierzone, kamienie kupami na murach, wrzątek w kotłach, wrota pozaciągane łańcuchami i kratami! Ludu jak maku w kamienicy.

Wojewoda z widoczną niechęcią słuchał synowskiéj relacji; on chciał zwycięztwa łatwego, rozjątrzała go myśl oporu długiego, walki srogiéj. Wstrząsnął się cały, poruszył ramionami i zawołał.

— Zobaczym jak długo się potrzymają! zobaczym jutro! Zakazałeś WMość ludzi? będą gotowi —?

—Od rana czekać mają rozkazu —

—Rozesłać jeszcze do wszystkich prosząc, aby się nie rozpraszali, a skupili wszyscy na Łukiszkach, zkąd do miasta za danym rozkazem wejdą. Gotowi oni, i my też nie zaśpim, dodał zapalając się—A kiedy się zacznie wojna, kiedy się raz zapali, brońcież się PP. Chodkiewicze, wy i wasi, bo nie będzie przebaczenia nikomu, względu na nic i biada wam gdy upadniecie!!

III.

Szósty Lutego.

III.

Szòsty Lutego.

Jeszcze nie świtało nazajutrz, a już ognie widać było po całém mieście i ruch niezwykły zwiastował coś nadzwyczajnego. Tłumy wojskowych w milczeniu prze-

chodziły tam i sam ulicami, słychać było bicie młótami u wrót, które potężnie zatarassowywano ze środka. W domach bliższych teatru spodziewanéj wojny, zabite nawet były okna dolne i górne, w dalszych od środka tylko zasłonione deskami. Niektórzy sąsiedzi powynosili się z kamienic do Chodkiewiczowskiéj przytykających i zostawili domy pustką stojące. — Wszędzie przygotowywano się na wypadek szturmu i bitwy w mieście.

Gdy dzień zaświtał, nie ukazali się na ulicach ci, którzy zwykle równo ze dniem je zaludniali—wszystko milczało, nikt nie wychodził, nikt znaku życia nie dawał, tylko w Kościołach i Cerkwiach, jak codzień odezwały się dzwony, dziś próżno wołające na modlitwę. Otwarto drzwi, nikt nie przyszedł i ławki stały puste i Xięża odprawiali msze dziadom tylko z pod kruchty.

A w głębi domów i kamienic, co się działo, opisać trudno; noc przeszła bez snu, dzień nadchodził niespokoju i bojaźni. Wyglądano szparami okien zapartych, żeby ujrzéć co się w ulicach dzieje, przysłuchiwano się, azali

nie da się co słyszéć zwiastującego, że już do walki przyszło. Ale wszystko zrana ciche było i nic nadzwyczajnego się nie stało, tylko o dziewiątéj już prawie rannéj ruszyły z tententem wojska Radziwiłłowskie w miasto, skupiając się w ulicach Senatorskiéj, Ś. Duskiéj, wokoło Ś. Jana, pod Zamkiem i na placyku pod Cerkwią Bogarodzicy. — Wśród głębokiego milczenia w mieście, tentent rozległ się daleko, a mieszkańce potruchleli od niego.

— Już, już oto się bić będą! Już wojska Radziwiłłowskie idą! Już idą, już otaczają kamienicę, wołano wszędy.

Wysłani ostróżnie na zwiady, potwierdzili domysły. Wojska stały już w mieście.

Tym czasem PP. Kommissarze Królewscy śpieszyli do Wojewody, Biskup Gedrojć, postanowił nie odstąpić go, w ciągu całego dnia głowę tam raczéj położyć, niż na wzięcie się do oręża dozwolić. Jakoż stary Xiąże wezwawszy Panów Zawiszów, razem z niémi udał się do Kardynalij. Tu już wielką radę zastali, nie o zgodę, nie o warunki pokoju, ale o sposób w jaki napaść i szturmować było

potrzeba. Każdy inaczéj radził, każdy po swojemu pojmował, a wszystkie rady i projekta podawane złe się Wojewodzie wydawały. On chciał jednym zamachem wpaść, rozbić, zniszczyć, powiązać, zwyciężyć i wesele wieczorem odprawić. Naprożno silono się mu okazać, że to było niepodobném.

— Z takiém wojskiem jak nasze nie pożyć téj garstki! wołał.

— Im liczniéjsze, tém właśnie z niém trudniéj, odpowiedział mu Dorohostajski. Cóż W. X. Mość poczniész, gdy tu nawet połowy go pod kamienicą nie pomieścisz; a do szturmu wcale miéjsca niéma. Tysiąc nie wiém ludzi czy wygodnie stanie. A co robić z jazdą? Dobra ona w polu, tu cale nie przydatna, na mury nie polezie, strzelać i rąbać niéma kogo.

— Wywalić naprzód bramy — zakrzyczał Wojewoda!

— Bram bronią działa, odparł ktoś — po kilka ich przy każdéj. Nim przystąpim do nich, wiele padnie; bo z góry ogień poczną, a na strzał przypuściwszy zmiotą do ostatka.

— Szturmować od Cerkwi do nich, tam najsłabsi—przerwał Xiąże —

—Z dziedzińca Cerkwi? spytał Zboryński— Byłem tam dziś—Xięża oświadczyli że w dziedzińce nie puszczą, bo gdyby z téj strony strzelanie się poczęło, szwankowaćby musiała Cerkiew, będąca pod opieką konfederacji, któréj zapewne W. X. Mość, przyczyną zagłady być nie zechcesz. Świéżo nawet dach dla niedostatku gontą pokryty, byłby niechybnym początkiem pożaru.

Xiąże Konstanty Ostrogski Wojewoda Kijewski dodał:

— Byli z tém Mnisi u mnie, *saecuritatem*— dla domu Bożego prosząc—przyrzekłem iż się starać będę, aby jeśli, uchowaj Boże, do walki przyjdzie, Cerkwi w żaden sposób nie tknięto. I słuszna, dodał, aby, gdy i tak Cerkwi tyle naodbiérano, jeszcześmy sami sobie szkody nie czynili. Dałem rozkazy PP. Rotmistrzom, aby Cerkiew szanowali.

— Wiedzieli więc PP. Chodkiewicze, dla czego tam dział nie stawili! rzekł Wojewoda. Do licha rozumni! RadźcieżWMość jak począć.

— Jeśli poczynać mamy, ozwał się dowódzca ludzi Xięcia Ostrogskiego, to nie inaczéj, ino do bramy szturm od Sawiczéj ulicy przypuszczając. Nie bez tego, abyśmy ludzi nie stracili; boć ich tam naginąć może siła, ale do wieczora, bramę przemódz można. Może też, gdy ujrzą, że się kusim o wrota, wyjdą ku nam, a tak można będzie bić się w ulicy, gdzie przynajmniéj równa sprawa.

— Nie wyjdą, abyśmy ich nie otoczyli, rzekł Zboryński. P. Starosta Żmudzki, nie da się tak łatwo wziąść. Straciłby ludzi łacno, bobyśmy z naszą siłą odcięli ich prędko i jak w saku pobrali.

— Jakże WMość radzisz? spytał Zboryńskiego Wojewoda.

— Jeśli już do tego przyjdzie — odpowiedział Zboryński, to razem na wszystkie strony szturmować, do wrót i do murów na okół.

— Ludzi natracim i nic nie zrobim, rzekł inny — Całą siłą w jedno miejsce —

— A kiedy tu całych sił nie pomieścisz, ba części nawet na jeden punkt. Ciasno i rozdać się wojsku niéma gdzie, człek będzie człeka

dusił i w téj ciżbie swój swego nie pozna. Jak się ściśniem w jedną kupę, wybiją nas najłatwiéj, dawszy kilka razy ognia, pomostem nas pościelą wszystkich.

— Alboby, ozwał się po chwilce jeden z dowódzców, udać, że zaczynamy attak od Cerkwi. To najsłabsza ich strona, rzucą się bronić, a drugi oddział może tym czasem zdobyć bramę od Sawiczéj ulicy.

— Myślicie że u nich już tak mało ludzi, iż broniąc muru od strony Cerkwi, nikogo przy wrotach nie zostawią? Mają oni dość i nadto prawie na załogę dla domostwa.

Umilkli wszyscy — I znowu wnoszono rady różne, a żadna nie podawała sposobu pewniéjszego dostania się do kamienicy, bez wielkiéj straty w ludziach i długiego boju. Wojewoda się niecierpliwił, czas na naradach upływał, słońce się podnosiło ku górze, a jeszcze nic nie postanowiono. Wojska tym czasem zgromadzone stały, oczekując od dowódzców rozkazu, któren nie przychodził.

A w kamienicy Chodkiewiczowskiéj jak gdyby żywéj duszy nie było, milczenie panowało

głębokie — Wrota stały zaparte, zatarassowane furtki, zabite okna. Na murach rzadko kiedy ukazała się głowa w szyszaku lub misiurce i znikła natychmiast. Ani szczęku zbroi, ani tententu koni słychać nie było ze środka. Nikt nie wychodził na miasto, nikt z miasta nie wszedł wewnątrz.

Ale pomimo téj spokojności, téj ciszy, była gotowość wszędzie, stali żołniérze na murach, nabito broń, zapalono lonty dział. Sam Jan Karol w błyszczącéj hiszpańskiéj zbroi misternie wyzłacanéj, chodził wszędzie, oglądał stanowiska, zwiedzał blanki na prędce porobione, opatrywał działa. Z wysokiéj baszty przypiętéj w jednym rogu domostwa, widzieć mógł zebrane hufce Radziwiłłowskie zalewające część miasta. Popatrzał na nie i w milczeniu zszedł nazad. A P. Barbier towarzyszący mu z Tomaszem Dąbrową, uśmiéchał się.

— Pewnie teraz wielki gwar w Kardynalij, rzekł, bo nie wiedzą zkąd począć. Twardy orzech do zgryzienia!

Starosta Żmudzki nic nie odpowiedział na to—zamyślony mało zważał na Francuza, idą-

cego krok w krok za nim i spoglądającego mu w oczy.

Zszedłszy w dziedziniec obejrzał jeszcze jednym rzutem oka gotujących się do boju ludzi swoich, których pełno było wszędzie, we zbrojach, przy mieczach, lub wlokących rynsztunki i przybory wojenne.

Udał się potém do brata i Kasztellana, jak on w zbrojach i przy szablach siedzących w komnacie i oczekujących odgłosu bitwy, hasła na dobycie oręża. Tylko Wojewoda Sandomirski, spokojny pośrednik, nie miał zbroi i nie zdawał się gotować do blizkiego boju. Zamyślony zmarszczony siedział on na ustroniu sam jeden nad wielką xięgą podparty.

A Xiężna? O! okropny to był dzień dla niéj. Od rana w żałobnéj sukni ubrana, Zofja klęczała i modliła się przed obrazem Matki Bozkiéj, u którego paliła się lampa. Oczy jéj zaczérwienione od łez, ręce załamane, xięga modlitw leżała na ziemi. Czuła potrzebę modlitwy, a sił na nią nie miała, zaczynała sto razy i sto razy na odgłos szczęku broni, na

hałas jaki, powstawała, biegła ku oknu, wpatrywała się, przysłuchiwała, wracała, klękała znowu i znowu zaczynała modlitwę i jeszcze lada chrzęst upadłéj zbroi ją przerywał.

Taki był dla niéj, dla sieroty dzień, rocznica tego, w którym przyszła na świat.

Na chwilę przerwały jéj modlitwę i okropne oczekiwanie, odwiedziny Kasztellana i dwóch jego bratanków. Oni ukazali tylko, zimno ją powitali i za chwilę odeszli, Xiężna została znów sama przed obrazem Matki Bożéj, z załamanemi rękami i oczyma łzawemi. A dla niéj każda godzina płynęła długa jak półwieczności, każda chwila ciągnęła się nieskończenie, bo nad nią było oczekiwanie, niepewność, bojaźń. I nikt nie przyszedł ją pocieszyć, nikt upewnić, nikt nawet podzielać jéj przestrachu. Obok modliły się jéj służebne, a niekiedy P. Włodska zaglądała przez drzwi ostróżnie.

Tym czasem na naradach w pałacu Radziwiłłowskim, upłynęło godzin kilka, minęło południe, dnia już zimowego niewiele zostawało, a jeszcze nie szurmowano, wojska się

nie poruszały z miejsca, nie postępowały. Kilka razy z wierzchołka baszty wyglądał Jan Karol, a zawsze widział ich na tém samém miejscu.

— Co to znaczy? pytano u Chodkiewiczów.

— Co to znaczy? szeptano po mieście.

— Będzie zgoda — zaczynali się domyślać ci, którzy zawsze śpieszą naprzód z wnioskami, prześcigając wypadki.

Cóż było w istocie? Nie umiano się zgodzić o sposób dobywania kamienicy, w istocie saméj, swém położeniem w ciasném miejscu niedostępnéj. Próżno się Wojewoda zżymał, obruszał i naglił.— Upływały godziny w sporach nadaremnych. Biskup użył dogodnéj chwili do przedstawienia, iż nie godziło się rozpoczynać wojny, nie spytawszy przynajmniéj dla formy PP. Chodkiewiczów, czyli umowie zrobionéj dawniéj, zapisom zadość uczynić nie zechcą. Chodziło mu o zyskanie czasu, widział bowiem, że dla samych trudności rozpoczęcia walki, gdyby się tylko przewlekło, rozejśćby się mogło i na niczém spełznąć.

Przyjął myśl Wojewoda i przyjaciół od siebie uprosił, którzy do Panów Chodkiewiczów udać się mieli z zapytaniem, czyli w terminie, wedle opisu, wydadzą Xiężnę za Xięcia Janusza? Uproszeni do tego poselstwa byli: Pan Krzysztof Zenowicz, Lew Sapieha, Staszewski Pisarz Lwowski i Krasicki.

Wyszli oni z Kardynalij i udali się prosto do furtki od Ulicy Zamkowéj, do któréj P. Staszewski zapukał. Ale milczeniem tylko odpowiedziano mu zewnątrz, gdyż straż posłała do Starosty Żmudzkiego z wieścią o przybyłych z Kardynalij i proszących wejścia. Stukali jeszcze i czekali dość długo, nim Starosta zszedł, a furtę odryglowano, kraty i łańcuchy odjęto.— Gdy się to dzieje, przyszli także do bramy Kasztellan Wileński, P. Alexander Chodkiewicz i Wojewoda Sandomirski. Jan Karol dawszy rozkaz otworzenia, i zostawiwszy stryja, sam w głąb się cofnął. Weszli Posłowie powitani ozięble u furtki, których Kasztellan Wileński wprowadził na prawo do sklepika w ziemi, w głąb na kilka wschodów będącego o jedném tylko okienku,

snać, aby wiodąc ich przez dziedzińce, nie pokazał im wnętrza i przygotowań jakie były poczynione.

— Daléj nie możemy Was prowadzić, rzekł Kasztellan, wybaczcie, iż Was tak źle przyjmujemy, ale to nie nasza wina.

P. Zenowicz i Sapieha przyjęli wymówkę w milczeniu. Ozwał się potém Kanclerz.

— Jesteśmy tu przysłani od Xięcia Wojewody, rzekł, któren raz jeszcze chce wiedzieć od Was Panie Kasztellanie, uważacieli dany oblig i uczynioną umowę za nienaruszoną lub nie? Chcecieli wydać Xiężnę, dziś, tutaj, za Xięcia Janusza!

— O to cała treść naszego poselstwa, ozwał się Zenowicz— i odpowiedzi Waszéj czekamy.

— Odpowiedź zawsze jedna, żywo odparł Kasztellan. Niedawno, Wam samym Mości Kanclerzu, rzekliśmy to i dziś powtórzym, okaże się kto i jak przyrzeczeń dopełnia— My swoich nie odbiegamy, czekamy Xięcia Janusza z przyjaciółmi. Postawim Xiężnę zdrową na ciele i umyśle, nie przymuszając jéj do żadnego poniewolnego ślubu, niech wyrze-

cze jakie ma serce dla Xięcia. Tak jest, stoim przy umowach i zapisach. A co do mnie, dodał, ręczę WW. Mościom, iż ani wiém, ani się domyślam nawet, jaką odpowiedź dać Xiężna może, bom się jéj o to nie pytał.

Posłowie z podziwieniem spójrzeli po sobie, gdyż całe innéj spodziéwali się odpowiedzi. Nie wiedzieli już co mówić daléj i czego jeszcze wymagać więcéj, Kasztellan pozornie na wszystko zezwolił.

— Jakkolwiek, rzekł, opiekun, miałbym władzę nad Xiężną, nie chcę jéj zmuszać, nie chcę jéj radzić nic, abym sumienia nie obciążył, niech sama przyszłość sobie zgotuje. Chcecieli WWMość Panie Wojewodo i Kanclerzu, idźcie sami i spytajcie jéj względem woli dla Xięcia i ślubu.

— Nie jesteśmy do Xiężnéj wysłani, rzekł Kanclerz, lecz do Was tylko, przeto dość nam téj odpowiedzi, z którą do Xięcia Wojewody pośpieszym.

Po kilku słowach jeszcze, pożegnali i wyszli, rzuciwszy ciekawém okiem w kamienicę, pełną w téj chwili żołniérza.

— Co myślicie o tém wszystkiém? spytał Zenowicz Kanclerza wyszedłszy w ulicę. Co znaczy dana odpowiedź?

— Że Xiężna Pani, odpowiedział pocichu Kanclerz, jest już przeciw swojemu narzeczonemu zapewne. Zresztą nie pojmuję. Byłażby tak łatwą zgoda?

I tak rozmawiając weszli do Kardynalij, gdzie ich niecierpliwie oczekiwano.

IV.

Pokój czy Wojna?

IV.

Pokój czy Wojna?

Weszli, Wojewoda okiem ich zmierzył, czekał wieści z czém wracają, nie śmiał spytać co zrobili. Xiąże Janusz nie zwrócił się nawet ku nim, on był pewien, że albo ich

nie dopuszczono wewnątrz, albo zbyto jaką taką wymówką.

Inni przytomni otoczyli ich, w twarzach pokazując ciekawość i pytając cicho.

— Co niesiecie?

— Z czém wracacie?

Kanclerz posunął się ku Wojewodzie, chciał mówić; ale Zenowicz mu przerwał.

— Otoż nadspodziéwanie, rzekł prędko, Panowie Chodkiewicze —

— Nie dopuścili Was? spytał trzęsąc się Wojewoda.

— Owszem — byliśmy w kamienicy, mówił daléj Zenowicz, choć nieprędko do niéj się dostukali. Wyszedł przeciw nam Kasztellan z Wojewodą Sandomirskim i Starostą Borysowskim. Na zapytanie czyli swéj umowie zadość uczynią, odpowiedzieli —

— Cóż odpowiedzieli? podchwycił niecierpliwie Wojewoda.

— Iż — czekają Xięcia Janusza z przyjaciółmi, i będą stawić Xiężnę zdrową na ciele i umyśle, dozwalając jéj wyrzéc to, czém ją P. Bóg natchnie, w niczém ją nie siłując i

zmuszając do niczego.— Owszem nas samych chcieli prowadzić do Xiężnéj, aby przed nami oświadczyła się z wolą swoją, a Kasztellan upewnił, że ani pytał, ani wié nawet jaką da odpowiedź.

— Czegoż więcéj żądać? rzekł Biskup Gedrojć— Niech Xiąże Janusz uda się do nich.

Wojewoda gniewny milczał.

— Ja! udać się do nich, zakrzyknął Janusz. Azaż to nie widoczna, iż pod pozorem zadość uczynienia warunkom— jest to szyderska odprawa! oni wiedzą, że Xiężnę zmusili, aby przeciw mnie wyrzekła. Tegoby im trzeba tylko, abym poszedł teraz pytać jéj— Powiedziałaby pod strachem, że niéma serca do mnie, i tak sprawa cała, byłaby rozwiązana na ich stronę, prawnie na pozór i sprawiedliwieby wygrali w oczach ludzkich! Ależ, ja iść tam nie mogę, wszak widoczne Kasztellana przeciwko mnie zmowy z bratankami, wszystko tam już musi być wcześnie ułożone na zawstydzenie nasze. Pójść tam i powrócić ztamtąd z odmową, ze wstydem! O! tego nie będzie.

— Więc, mówił daléj — już i Xiężna za niémi! już i ją potrafili odmienić i przerobić!

— Kasztellan, rzekł powolnie Sapieha, ręczył, iż z Xiężną o tém nie mówił, o to ją nie pytał i nie wié co myśli.

— Kasztellan sam może w to nie wchodził — odpowiedział Wojewoda, ale byli pewnie od niego wysłańcy, którzy słabym umysłem kobiécym owładli! Gdyby oni nie byli pewni swego, nie staliby teraz przy umowie, któréj niedawno zaprzeczali wszelkiéj wagi.

— I ją więc potrafili przeciw nam obrócić, i z niéj zrobili oręż na nas! wołał Janusz. Ale nie, nie, oni sami wprzód powiedzieli, umowa za nic! — Xiężna pod ich władzą, powié co każą — gdy będzie wolną, wówczas niech się dopiéro wyrzecze — Wprzód nim ją pytać będziemy, potrzeba oswobodzić.

I Wojewoda tak myślał, bo za synem powtórzył

— To tylko łapka na nas, aby zbyć niczém i wszystko wywrócić, jedném słowem Xiężnéj: — Nie chcę. Ale nie — nie pójdziem jéj pytać teraz, bo Kasztellan pod zakładem

przyrzekłszy, żadnych na nas zmów nie czynić, przecież już opisał się ze swemi bratankami; widoczna niechęć, widoczny podstęp.

Mości Panie, odezwał się do Janusza, niech wojsko otoczy kamienicę — dziéj się wola Boża.

Na te słowa wyrzeczone wyraźnie i głośno przez Wojewodę, ruszył się Xiąże Janusz ku drzwiom, ale go wstrzymał Zawisza. Biskup zaś Gedrojć postąpił ku Radziwiłłowi.

— Xiąże, zawołał, pomyśl co wyrzekłeś, dałeś hasło do boju, — lekkoż ci na sumieniu? Maszże przynajmniéj przed sobą czém się wytłumaczyć? Pomiarkuj się, odwołaj. PP. Chodkiewicze nie odbiegają umów, Kasztellan zaręcza, że nic wié o woli i skłonności Xiężnéj, wzywa Was, aby ona rozstrzygła między Wami. A Wy odpowiadacie rozkazując ruszyć wojsku. Na Boga, Wojewodo, chciéjcie się upamiętać! O co Wam chodzi, o żonę dla syna? Godziż się cały kraj pogrążać w nieszczęścia wojny domowéj, byle swojego dopiąć! Xiąże, Wyście sami nie obcy — Wyście tego kraju, któremu zagrażacie,

synem; między dobrem jednego człowieka a dobrem kraju, wybiérając, można się li, choć chwilę zastanowić? Wszystko się da ułożyć— Zrobiémy zgodę, porozumiécie się, lecz nie spieszcie wyjmować z pochew oręża, abyście nie żałowali tego potém!

Przystąpili za Biskupem inni.

— Daj się przekonać i ubłagać, zawołał Kanclerz Sapieha — Przyszłość odda Wam sprawiedliwość, kraj cały wdzięczen Wam będzie, jeśli miarkując się, zapominając urazy dla miłości Boga, nie zechcecie szukać zemsty, która i na niewinnych głowy spaść może.

— W Imie całéj Litwy, zaklinamy Was Xiąże, z kolei odezwał się Dorohostajski— Chcecież aby powiedziano, iż byliście przyczyną niepokojów i niewyliczonych szkód dla kraju, przez jedną tylko miłość dobra własnego, a raczéj zapamiętałość w gniewie! Xiąże! o Was wszyscy inaczéj trzymają! Ułożym wszystko, skończym; sfolgujcie! dajcie się uprosić!

Gdy wszyscy obstąpiwszy Wojewodę, starają się go odwieść od rozpoczynania wojny,

X. Janusz stoi u drzwi widocznie miotany niespokojnością i gniewem, rozjątrzony zwłoką, pragnąc wojny, której skutków nie rachuje, byleby dogodziła żądzy pomszczenia się gorącej. Nie śmie jednak wynijść i dać rozkazu, wpatruje się w twarz ojca, po której przechodzą widocznie wyrazy różnych uczuć. Raz oczy mu się iskrzą, drżą wargi, to znów lice blednie, gaśnie i spuszcza się spójrzenie ku ziemi, usta odmykają się wpół, jakby chciał co powiedzieć. I znowu milknie, i znowu drży od gniewu i niespokojności. —

Wszyscy przytomni łączą się do Gedrojcia i Zawiszów, Kanclerz Sapieha, Xiążęta Ostrogskie, Abramowicz, bratanek Wojewody, jego szwagier Naruszewicz, Zenowicz Wda Brzeski, obstąpili go, naglą, proszą, zaklinają, aby szkodliwego przykładu wojny domowej nie dawał, aby się powściągnął, pomiarkował i odłożył przynajmniej krok niepowetowany, stanowczy.

— Zawsze pora do wojny, woła Lew Sapieha, ale raz wyjąwszy szablę z pochew niełacno ją będzie schować nazad. Jeśli kropla

krwi bratniéj przylgnie do żelaza, będzie ona wywoływać zemstę, i zemsta za zemstą walce końca nie będzie, niepokojom — wojnie.

— Nie, nie, zakrzyknął wreście Wojewoda, długo zatrzymanego dobywając głosu — Ta krew spadnie na nich, jam jéj nie winien, ja jéj nie pragnąłem, ja do ostatka prosiłem z poniżeniem własném o zgodę, o pokój. —

— Pokażcież się jakiémi byliście i teraz, słabym głosem rzekł Biskup Gedrojć — Nie zdawajcie sprawy na slepy los wojny — w chwili zgonu, staną u Waszego łoża cienie pobitych braci i skonać Wam spokojnie nie dadzą. I za co? i dla czego wojna? Dla imion, dla kobiéty! O wstydzie, o hańbo! jestże się dla czego krwawić i zadzierać? Jestli czego rozpoczynać wojnę z braćmi — Cały świat zwróci na nas oczy ze zgrozą i palcem nas wytykać będzie. Jesteśmy otoczeni nieprzyjaciółmi, gdybyśmy sto razy tyle mieli i oręża i ludzi, nie wystarczy ich na odparcie cisnących się i sprzysiężonych na nas sąsiadów; gdybyśmy mieli sto razy tyle krwi i żywota do wyszafowania, mielibyśmy co z nićmi u-

czynić, stawiąc je murem przeciw sąsiadom. Godziż się wyzywać nieprzyjaciół, czyniąc zamięszania w kraju, z których nie omieszkają korzystać! Xiąże! dajcie się przekonać, uprosić. W imieniu dobra kraju, w imieniu Króla Jego Mości, nas wszystkich obywateli W. Xięztwa w imieniu Waszych przodków, z których żaden krwią się bratnią nie skrwawił, zaklinamy Cię, Wojewodo — zdaj tę sprawę na wielkiego rozjemcę.

— Na jakiego! gwałtownie przerwał Xiąże. Na Króla?

— Na Boga! największego rozjemcę kończył Biskup.

— I na czas — dodał Sapieha.

Pomimo burzy wewnętrznéj, jaka widocznie wrzała w duszy Radziwiłła, znać było, iż wkradł się był zbawienny strach i obawa o skutki tak stanowczego kroku. Wojewoda nie ponawiał danego synowi rozkazu, stał ponury, w milczeniu. Potém padł na krzesło, spuścił głowę i milczał. Zwrócili się niektórzy do Xięcia Janusza, mitygować go, wystawując mu, jak dziwną i niesłychaną by-

ło rzeczą chcieć się żony dobijać orężem, gdy i tak mieć ją może bez krwi przelewu. Wojewoda milczał i myślał, Janusz odstąpił od drzwi. Jemu jednak więcéj jeszcze twarz pałała i żywiéj serce biło. (Nic dziw, młodym był jeszcze, a uczucie królowało nad rozumem)!

Po chwili, znowu wszyscy ruszyli się do Wojewody, któren wysilony, słowa nie mówiąc, siedział ciągle na miejscu.

— Zróbcie ofiarę z siebie, rzekł Gedrojć, a Bóc Wasz, Król i kraj przyjmą i policzą Wam, na tym i na drugim świecie! Jedno Wasze słowo, może być zgubą dla kraju, może wywołać na Waszą głowę przekleństwa i skargi całych rodzin; pomiarkujcie się z sumieniem Waszém, nim je wyrzeczecie.

Wojewoda powstał i wziął za ręce Gedrojcia, poruszony był widocznie i łza niemęzka, może raz piérwszy od lat kilkudziesiąt, zabłąkała się pod powieką.

— Nie wyrzeknę tego słowa, rzekł, wolę niech moje przepadnie, niech ja ustąpię, bylebym nic na sumieniu nie miał. Przekona-

liście mnie, dzięki Wam!—Nie chcę wojny, na dziś przynajmniéj. Uczynię z siebie ofiarę z gniewu i popędliwości, z obrazy, z krzywd poniesionych.

—Rozpuścić ludzi po gospodach, rzekł do syna.

Xiąże Janusz stał jeszcze, nie wiedząc czyli i to stanowczy rozkaz lub nie, ale wszyscy rzucili się do drzwi i w chwili dwudziestu posłańców oznajmywało w ulicach stojącym rotom rozkaz powrotu do gospód.

Senatorowie dziękowali Xięciu, on milczący znowu, strapiony, z widocznémi ślady na twarzy, jak drogo kosztowała go uczyniona ofiara, usiadł i zadumał się.

Słońce zachodziło i ostatnie jego promienie błyszczały na oknach wież, krzyżach i strzałach kościołów, gdy hufce Radziwiłłowskie, ruszyły się z miejsca i na odwrót ciągnąć poczęły.

Z Baszty Chodkiewiczowskiéj kamienicy spoglądał na to Jan Karol, patrzał i nie wiedział co to znaczyć mogło. Zdało mu się z początku, iż ciągną już oblegać; gdy nawet w prze-

ciwległe skryli się ulice, myślał jeszcze iż obchodzą, aby go ztyłu i niespodzianie podeszli. Wydane rozkazy, żołnierze stanęli na murach w swych miejscach—czekano—wojsko Radziwiłłowskie znikło i nie ukazało się więcéj.—Słońce zaszło, padać zaczynał zmrok, nie przestano jednak mieć się na ostróżności dzień cały. Jan Karol zszedł z baszty i udał się do Kasztellana.

— Jakaś dziwna odmiana, rzekł wchodząc; wojska Radziwiłłowskie ustępują i odchodzą.

— Coby to miało znaczyć? spytał Mniszech.

— Iż nas pożyć się nie spodziéwali? odpowiedział Jan Karol. Naradzali się cały dzień, jak przystąpić i co z tylém wojskiem zrobić, teraz ustępują nie śmiéjąc zaczepić.

— Może być, rzekł Kasztellan, iż to tylko udany odstęp, a w nocy w piérwospy łacniéj nas cichaczem obejść myślą.

— Żołniérz czuwać będzie na murach! odpowiedział Jan Karol — Bądźcie spokojni, ja swoich na gospody nie rozpuszczę.

— Tym czasem posłaćby na zwiady — dodał Alexander Chodkiewicz.

— Poszedł już jeden — rzekł Jan Karol i tylkoco go nie widać nazad. Jak tylko ruszyły się wojska, wysłałem go zaraz dostać języka od Katolików, którzy są w wojsku Radziwiłłowskiém, i szli przeciw nam tylko z musu, a w sercu nam przyjazni.

V.

Czekali do północy.

V.

Czekali do północy.

Było blizko północy. W Kardynalij na wielkiéj sali, mnóstwo osób zgromadzonych stało. Wpośrodku nich ogromny stół zasłany bogatym kobiercem, na kilku sto-

pniach obitych suknem, ustawiony. Na nim świéce woskowe, krucyfix wpośrodku i xięga. Z obu stron stołu dwaj xięża — pastor ewangelicki i Mnich Ruski w milczeniu, czekać się na coś zdawali. Na niższym stopniu dwu Woźnych trybunalskich, wysokich a chudych, z wyciągnionemi szyjami i konopiatym wąsem, stali poglądając to po zgromadzeniu, to po sobie.

Ogromny zégar Gdański w szklannym postumencie wskazywał w téj chwili, że za dziesięć minut, północ wybić miała.

Dokoła stołu liczne zgromadzenie szepcząc, otaczało go. Na przedzie w bogatych strojach, Xiąże Wojewoda i syn jego Janusz, którego biały atłasowy żupan i karmazynowy kuntusz, zdaleka odznaczały. Oni stali w ponurém milczeniu. Wojewoda spoglądał na zégar.

Jeszcze pięć minut do północy—i milczenie głębokie. Przytomni gwarzą pomiędzy sobą.

Nareście wybija północ powolnie i gdy dwunaste uderzenie zégaru rozległo się po sali, Wojewoda wszedł na stopnie —

— Świadczę się wszystkiemi tu przytomné-

mi, rzekł, jakom w niczém nie uchybił terminu wyznaczonego, umową zawartą z Panami Chodkiewiczami—Wzywałem ich, oczekiwałem dzień cały w gotowości do zawarcia związku między tu przytomnym synem moim Januszem, a Xiężną Zofją Słucką. Termin ten upłynął, umowa dopełnioną nie została, ale nie z naszéj winy.

Natychmiast toż samo prawie, lecz w terminach najeżonych prawniczą łaciną powtórzyli dwaj Woźni, dobitnie i głośno. Xięża zeszli ze stopni, krucyfix wyniesiono, zabrano świéce, drzwi na roścież się otwarły i Wojewoda wprowadził licznych swych gości do drugiéj sali w któréj spóźniona, lecz wytworna wieczerza zastawiona była.

Nie będziemy opisywać bankietu, któren dzień ten straszny zakończył. Rozgrzani winem goście nieraz na nim wspomnieli mniéj przychylnie imie PP. Chodkiewiczów, lały się z puharów odgróżki i wyrzuty, nie próżnowały usta. Jeden Wojewoda milczał tylko i naprożno wyzywać go się zdawały przyjaciół i pochlebców jątrzące wyrazy, nic nie rzekł.

Późno w noc rozjechali się wszyscy do domów.

A w kamienicy Chodkiewiczowskiéj też same przygotowania, taż sama była gotowość do odporu jak we dnie. Żołnierze budzili się wołaniem, ognie paliły, straż chodziła, Pan Mikołaj Chamiec we zbroi, z szyszakiem w ręku, mieczem u pasa, obchodził posterunki, budził usypiających, nadstawiał ucha na każdy szmer w ulicy. Kasztellan z Janem Karolem i Alexandrem siedzieli w swojéj komnacie—Xiężna Zofja, klęczała dotąd przed obrazem Matki Bozkiéj.

Tak w niespokojném oczekiwaniu upłynęła noc cała; nadszedł dzień. Rozwarto furtki pałacowe i wysłani na wzwiady przynieśli od Zawiszów, dokładną relacją, wypadków dnia przeszłego.

Dziwili się niepomału Chodkiewiczowie powolności jaką Wojewoda na perswazje przyjaciół okazał i nie pojmowali jéj, nie tłumaczyli sobie inaczéj, tylko niepodobieństwem dobycia kamienicy, gdyż wiedzieli o naradach rotmistrzów, którzy skutecznego sposobu

zwycięzenia, wymyśleć nie mogli; ba nawet zgodzić się o to, jak napadać, na kamienicę.

Ku południowi nadszedł Biskup Gedrojć z PP. Zawiszami, tentując o zupełną zgodę. Ale naprożno podawano warunki różne, gdyż Jan Karol zdawało się, ośmielony wczorajszém wahaniem się Wojewody, na nic przystać Kasztellanowi nie dozwolił, Kasztellan za się jak wczoraj, na Xiężnę wszystko zdawał. W ciągu tego dnia, nic ustawały propozycje ze stron obu, ale bezskuteczne. Nie tak to łatwo było, zajątrzonych zbliżyć i do zezwolenia na jedno sprowadzić, widocznem jednak okazywało się, że mimo trwającej nienawiści, znużone strony obie, pragnęły pokoju i zgody, bodaj powierzchownéj tylko.

VI.

Ciąg dalszy.

VI.

Ciąg dalszy.

Nazajutrz rano wszedł Kasztellan do mieszkania Xiężnéj i zastał ją na modlitwie. Spokojniéjsza już dziękowała Bogu, że wyprosiła to, czego pragnęła—pokój—Sié-

rota zapomniała o sobie, myślała tylko o skutkach wojny, której się przyczyną uważała.

Powstała na widok stryja i pozdrowiła go w milczeniu. Spójrzał na nią Kasztellan i przez bladość i znużenie dojrzał radości w sercu.

— Radziwiłłowie, nie śmieli się wczoraj do Was odezwać, rzekł—wzywałem ich.

— Wzywaliście? spytała Zofja.

— Tak, wzywałem ich przed Was, abyście sami wyrzekli, macie li skłonność dla Xięcia Janusza lub nie. Byłem pewny, że nas nie upokorzycie. Nie chcieli jednak stawić się i nie śmieli zdać się na Was.

Xiężna westchnęła i zamilkła.

— Zwątpił i on o mnie, rzekła w duchu i słusznie.

— Cóż teraz poczniecie i co ja począć mam? spytała.

— Spokojnie, zdawszy się na wolą Bożą i opiekunów czekać końca — Wszystko rokuje pomyślny. Radziwiłłowie przekonawszy się o niepodobieństwie o szkaradzie takiéj wojny, rozpuszczą żołnierza, zdadzą się na przyjaciół, nachylą do zgody. W. X. Mość, dodał,

z ufnością i uspokojeniem czekajcie, zdawszy na nas pieczę o wszystkiém. Możecie wierzyć, że Waszego tylko dobra chcemy i o nie starać się będziem.

— Ufam w Bogu i w Was! odpowiedziała Xiężna. Nauczyłam się cierpliwości i zdania na wolą Opatrzności. Co się stanie, wszystko przyjmę z ręki opiekunów —

— Dzięki Wam za powolność, która dla Was samych najpożyteczniéjszą jest, rzekł Kasztellan. — Uspokójcie się, bądźcie cierpliwi, mamy nadzieję pożądanego wszystkim końca. Przyjaciele odwiedli ich od szkodliwego najścia, przyjaciele mogą uczynić zupełny koniec. Nie taim Wam, że trudny, bo mamy sprawiedliwe urazy, bośmy skrzywdzeni i swojego dopominać się nie przestaniem. Kiedy jednak od widocznéj zguby i szwanku kraj ten Bóc uchował wczoraj; spodziéwamy się iż reszta w swoim czasie ułatwić się da.

To powiedziawszy Kasztellan ze zwykłą sobie powagą pożegnał Xiężnę, która znowu sama została. Wyjrzała w dziedzińce—w nich jeszcze też same co wczoraj przygotowania wo-

jenne widać było. Jakkolwiek przejście terminu bez zaczepki upewniało cokolwiek, nie chcieli jednak Chodkiewicze rozpuścić wojsk i zostać na łasce nieprzyjaciela, któren opamiętawszy się, mógł z tego skorzystać. Nie ufali oni Radziwiłłom i z rozbrojeniem czekali, aby im przykład dano.

Wkrótce jednak rozjeżdżający się na Sejm, na Marzec zwołany z powodu spraw Wołoskich, Panowie Senatorowie, poczty swe zabierać zaczęli, inne rozpuścili sami Radziwiłłowie, zaniechawszy myśli o wojnie, a zwróciwszy się do prawa którym pożyć łatwiéj i bezpieczniéj było. Jakoż wszystkie Sądy zostawały w ich ręku, na Trybunale czynili co chcieli i Manifest który podali do Akt, siódmego Lutego, był oznajmieniem niejako dla PP. Chodkiewiczów, z któréj teraz strony pilnować się mieli. Wniesiono powtórnie mowę o bannicji na Kasztellana Wileńskiego, rozpoczęto processa nanowo.

Próżne były na téj drodze starania ze strony pozwanych, oni nie mogli nigdzie, nawet w tych Województw i Ziemstw Sądach, w któ-

rych największy wpływ mieli, przeważyć wpływu Radziwiłłów. Obiérano na Urzędników, Kandydatów zaprzedanych duszą i ciałem partji Wojewodzińskiéj, a ci sądzili jak kazano. Potrzeba było nie dopuścić sprawy, nie dopuszczono aby rejestr doszedł do niéj, trzeba było inną odsądzić, rychło wywołano ją nazajutrz. Dekreta pisały się w Kancellarji Wojewody i posyłały Sądom. W tego rodzaju wojnie, Chodkiewicze oprzéć się nie mogli, odzywali się wołając na przedajność, na krzyczącą niesprawiedliwość; nikt ich nie słuchał. Wszyscy w kraju oswojeni już byli na nieszczęście z bezprawiem, które nikogo nie oburzało. Nakłaniano głowę przed silniejszym i milczano.

Przez cały miesiąc Luty prawie, nieustannie tentowano, lecz naprożno o zgodę; ku końcowi Sejm Marcowy powołał wszystkich do Warszawy i sprawa zawieszona została. Ustąpiła ona na chwilę, przed ważniejszémi względy; — wtargnienie Szwedów do Inflant i spodziéwana wojna z Wołochy; zwróciły uwagę wszystkich. Zebrał się Sejm, jeden z tych,

które malując czas i ludzi, zapisane są na kartach historji, na wstyd i naukę przyszłości. Groziły wojny, a nikt nie myślał o zagrożonym kraju. Zgubna nieufność dzieliła Króla od poddanych. Zygmunt III. więcéj miał stokroć nieprzyjaciół, niż stronników. Opinja powszechna była przeciw niemu. Lękano się nawet uchwalić poboru na wojnę, aby Król go nie użył na poparcie swéj sprawy w Szwecji. Smutne położenie kraju! Król gdzieindziéj sercem i myślami; gdzieindziéj poddani, słowom jego nikt nie wierzy, prośby nikt nie słucha, każdy krok tłumaczą fałszywie, obelżywie dla niego. — Tuż prawie na Sejm, przyszła wieść o śmierci Kardynała Radziwiłła, zaszłéj we Włoszech, Biskupstwo Krakowskie zawakowało jak Kujawskie. O oba wszczęły się intrygi ohydne, i gdy nie było komu myśléć za coby zebrano wojsko, znalazło się aż nadto forytujących swoich Kandydatów na Biskupie stolice! — I na Sejmie też dawały się czuć niepokoje Litewskie, gdy stronnictwa Radziwiłłów i Chodkiewiczów wyraźnie przeciw sobie stały tam nawet, gdzie

o dobro kraju chodziło. Jątrzyła jeszcze Radziwiłłów widoczna ku nim niechęć Królewska, i równie jawna skłonność jego dla Panów Chodkiewiczów.

Po Sejmie gdy Jan Zamojski zaczął zbiérać żołniérza przeciw Wołochom, stawili się tu i Chodkiewicze oba, Jan Karol i Alexander, rzucając inne sprawy swoje dla sprawy kraju. Sprawiedliwość wyznać każe, iż Radziwiłłowie nie dali żadnych pocztów na tę wojnę, używając sił swych tym czasem, na zapewnienie w kraju pewnéj choć względnéj przewagi nowowiercom. Odjazd też na wojnę Jana Karola z bratem dozwalał im nadziei łatwiéjszego przejednania się z Kasztellanem, którego mieli pod ręką.

VII.

W Brześciu Litewskim.

VII.

W Brześciu Litewskim.

Wyprawa Wołoska trwała prawie do końca tego roku, tym czasem w Czerwcu zasiadł Trybunał w Wilnie. Tu znowu powołani PP. Chodkiewicze, lecz gdy z jednéj strony

straszeni są niechybną przegraną, z drugiéj podawane im warunki zgody. Użyci przyjaciele, rozjemcy. Ostygł długą walką znużony Kasztellan, bratankowie próżno jątrzyli go listami, zalecając, aby bez nich nic nie czynił—; on widocznie nachylał się do zgody i sercem był za nią.

Ugoda codzień stawała się bliższą, i podobniéjszą. Nareście na zjeździe Trybunału, obskoczony od pośredników i przyjaciół uproszonych, Kasztellan lękając się bannicji, którą zawsze jeszcze za pasem na postrach trzymano, dał ręce do zgody.

Zgodził się wydać Xiężnę za Xięcia Janusza (warując w tém jéj własną zgodę) upewnił dla swego sumienia, otrzymanie dyspensy z Rzymu? pokassowano rozpoczęte sprawy i umorzono pretensje, w części przynajmniéj wynagrodzono koszta zaciągu żołniérza. Ślub piérwszego Października tegoż roku miał się odbyć w Brześciu. Ugodę tę podpisały strony dnia 8 Czerwca. Lecz nie przeto wróciła dawna przyjaźń domów, które zostały jak były w sercach z urazą i niechęcią wzajemną.

A Xiężna? — ona się radowała zgodzie, ona cieszyła się wyglądając zupełnego końca, w serce jéj jednak wrzucona myśl niebłogosławieństwa Bożego, rodziła smutne przeczucia.

Naprożno starał się je rozpędzić Xiąże Janusz, któremu teraz dozwolony był przystęp do niéj, któren starał się jéj okazać przywiązanie, zaciągnione z lat młodych. Czasem wypogadzało się czoło Xiężnéj, uderzało swobodniéj serce, otwiérała się dusza nadziei — za chwilę znowu ogarniało ją przeczucie groźne nieszczęść, niebłogosławieństw i śmierci. Zaledwie drzwi się za narzeczonym zamknęły, Zofja płakała jak wprzód, choć łez jéj nikt wytłumaczyć nie umiał, widząc skłonność ku niemu nietajną.

Wkoło niéj przygotowania weselne czyniono, cały jéj dwór radował się, winszował przyjaciele, pochlebcy prorokowali długie lata szczęścia—ona płakała.

W piękny poranek jesienny, na żółtych piaskach roztoczonych pod Brześciem Litewskim, których kłębami wiatr chłodny kręcił; ukazał się długi szereg powozów i koni.

Był to dwór Xiężnéj i Kasztellana ciągnący na wesele, które się tutaj odbyć miało.

W kolébce kirami złoconemi wybitéj, siedziała Zofja, sparta na ręku i smutna. Wyjrzała przed siebie i zza wydm piaszczystych błysnęły wieże kościołów Augustjańskiego i Jezuickiego, białe mury Zamku na wyspie, klasztorów i domostw. Xiężna modlić się zaczęła, i mimowolnie chwycił jéj serce niepokój i targać niém zaczął.

— Tu więc los mój się rozwiąże, jak chciał Bóg, jak sama pragnęłam! A przyszłość? — a przyszłość?

I nie śmiała w nią zaglądać, chociaż pewną była serca przyszłego męża i ufała w Bogu. Zawsze jednak to niebłogosławieństwo, którem zagrożoną raz była, nie wychodziło jéj z myśli.

Wtém naprzeciw od Brześcia konny się poczet ukazał w kłębach kurzawy pędzący ku nim.

To Xiąże Janusz, który przybywającą jechał z ojcem powitać. Na twarzach Radziwiłłów wesele, w twarzy Kasztellana smutna spokojność, u Xiężnéj uśmiéch kłamany.

— Witajcie w dobrą godzinę! zawołał Wojewoda, mijając kolébkę Xiężnéj, u któréj zostawił syna, a sam pospieszając do Kasztellana, zdjęli czapki i powitali się wzajemnie. — Dobra pora drodze służyła! rzekł Wojewoda, pogodna jesień, dni ciepłe! Mieliśmy już wiadomość o Waszém zbliżaniu się i pośpieszyliśmy przeciw Wam. P. Starosta Szereszowski uwiadomił nas o tém.

Kasztellan milczał. —

— W. X. Mość oddawna już w Brześciu? spytał po chwilce.

— Od kilku tygodni — ja i kilku przyjaciół siedzim tutaj. Przejeżdżaliśmy się do Kodnia Sapieżyńskiego i Romanowa rezydencji ich letniéj. Mamy też łaskawych, co tu przybyli sproszeni na wesele i pomogli czas przepędzić. Pan Zenowicz Wojewoda Brzeski, odstąpił nam nawet swego dworu —

Kasztellan znowu o coś spytał i tak dość

oziębłe o obojętnych rzeczach rozprawiając, dojeżdżali do miasta, które coraz wyraźniéj się na zielonem tle łęgów nad Bużnych i siwém niebie jesiennem malowało.

Xiąże Janusz jechał przy kolébce narzeczonéj swojéj, wesoły, dumny swém szczęściem, széroko wzrokiem po świecie wodząc, jakby się pytał na cztéry świata strony — Jestli kto odemnie szczęśliwszy?

— Jeszcze kilka dni, mówił do Zofji i W. X. Mość, polecisz los swój w moje ręce; o jak się będę starał, abym Waszéj nie zawiódł ufności!

Xiężna spójrzała, podziękowała uśmiéchem, nic nie powiedziała, znać co innego w myśli miała. Blada była i drżąca. Xiąże Janusz odezwał sie znowu —

— Pamiętacie Xiężno, pamiętacie, ową jesień spędzoną razem w Brzostowicy! Jak była téj podobną! Pamiętacie, jakeśmy nad pożółkłym ogródkiem Waszym płakali, jak umiataliśmy żółte liście, które codzień wiatr nanosił i niemi uliczki zasypywał! Tak samo wschodziło tam słońce, nad starym la-

musem i lipami, co go otaczały. Jakżeśmy czekali, aby się podniosło wyżej, aby nam pozwolono wynijść na tarass pałacowy i do ogródka z Panią Włodską!

A Wy — wspomnieniem młodości poruszona odezwała się Xiężna, Wyście moim kwiatkom Waszą szablą ucinali głowy!

— Nie pomagałżem ich sadzić? rzekł śmiejąc się Xiąże, miałem trochę prawo ścinać je potém?

— Czyż kto posadzi, zniszczyć powinien? spytała Zofja.

— Powinien nie, ale może — odpowiedział Janusz. — Czekajcie, czekajcie, rzekł, oto niektórzy Panowie Przyjaciele i Kolligaci, wyjechali przeciw Was i witać chcą. Wstrzymała się kolébka, bo liczniejszy od Wojewodzińskiego poczet sunął się przeciw niéj. Na jego czele był Lew Sapieha i Zenowicz, wielu innych z partij konfederacji za niemi. Postąpili ku Kasztellanowi i głośno go witali. Zenowicz nawet nieprzebrany mówca szukający tylko okazji do figur retorycznych, skorzystał z téj i z zanadrza wy-

dobywszy zwitek papierów, czytał, aż dwie oracje witające Kasztellana i Xiężnę, a w téj ostatniéj puścił się tak daleko z życzeniami i proroctwy, że ledwie woźnice zniecierpliwione konie utrzymać potrafili. Skończył wreście, ale tuż mu Kasztellan choć krótko z dziękczynieniem odpowiadać musiał, zwracając się nieraz, przez sam wzgląd nauczciwość i zwyczaj, ku Wojewodzie.

Ukończone mowy, posunęły się poczty do bram miasta, razem wszystkie; tu nowa zwłoka. — We wrotach z bębny, chorągwiami, baldachimem i podarkiem na półmisku srébrnym i mową długą czekał Magistrat a kahał daléj jeszcze.

Dobrze ku południowi się miało, gdy przebywszy wszystko, wysłuchawszy mów, na które odpowiadać było potrzeba i dziękować, kolébki Xiężnéj i Kasztellana ruszyły do przygotowanych na przyjęcie dworów, pod Kościołem Jezuickim, w samym Rynku Miasta. — Xiąże Wojewoda z synem i przyjaciółmi, pożegnawszy u proga przybyłych, odjechał do siebie.

Nazajutrz ostatniego Października, bogate dary przyniesiono od Xięcia Janusza dla narzeczonéj i cały dzień na pisaniu ślubnéj Intercyzy upłynął. Wzmianki tam w niéj nie było jeszcze o zapisach, na któreby był, jako opiekun, Kasztellan nie pozwolił. Radziwiłłowie nie okazali najmniejszéj chęci wyrobienia daru ogromnych dóbr, które Xiężna w ich dom wnosiła — Xiąże Janusz nie ukazał się dzień cały. Tym czasem strojono Jezuicki kościół, w którym Unicki Mnich Ruski, ślub miał dawać dostojnym nowożeńcom; sposobiono ucztę jedną we dworze Kasztellana, drugie w Wojewody; całe miasto było w ruchu i od napływu gości przybyłych pełne ludzi, kolass i koni coraz jeszcze i co chwila przybywających z różnych stron. —

Dnia pierwszego Października z największą jak być może wystawą odbył się poźnym wieczorem obrzęd ślubny w Kościele XX. Jezuitów; do którego pieszo szła Xiężna, drogą suknem od domostwa swojego wysłaną, w assystencji mnogiego dworu i przyjaciół. Za nią szedł Kasztellan. Z drugiéj strony

przyciągnął przepyszny orszak Radziwiłłów. Wszyscy na koniach w bogatych rzędach i wysadzanych kulbakach, sami świecący od złota i drogich kamieni.

Połączona para wróciła pieszo do dworu Kasztellana, gdzie się rozpoczęła uczta wspaniała, trwająca do białego dnia. Wedle powszechnego na ów czas zwyczaju, oddawanie Panny młodéj, odbyło się uroczyście i wobec wszystkich, w łożnicy. Oddawał ją Xięciu Januszowi, sam Pan Kasztellan. Mowa jego z téj okoliczności miana, krótka, poważna; jak zwykle wszystkie owczesne, polecając pięczę nad żoną mężowi, zalecając mu, aby się starał o jéj szczęście, wynosiła wysoce dom Xiążąt Słuckich, którego ostatnia dziedziczka, wchodziła w nową familją. Napomknął też zdaleka Kasztellan o zajściach z powodu tego małżeństwa wynikłych i jak one drogo kosztowało, wziąwszy z tego *assumpt*, do najgorętszych życzeń szczęścia dostojnéj parze.

Od Xięcia Wojewody Radziwiłła, odpowiadał z podziękowaniem P. Zenowicz i dla okazania jako Xiężna nic nie traci zamienia-

jąc sławne imie Olelkowiczów na Radziwiłłów, jął széroko się rozwodzić nad domu Xiążęcego illustracjami, nie przepomniawszy, ani orlego gniazda Lezdejki, ani Barbary żony Zygmuntowéj: ani nawet Kardynalskiego kapelusza świeżo zmarłego Biskupa Krakowskiego. Wyliczył Kolligacje, wysławił czyny pojedyńczych osób, zamknął podziękowaniem i upewnieniem iż w dobre ręce oddaje opiekun szczęście i losy Xiężnéj.

Nastąpiła cukrowa wieczerza i goście powrócili do puharów w sali wielkiéj, które wypróżniali jeszcze i o białym dopiéro dniu do gospód rozjechali się. Nazajutrz powtórzyły się uczty u Xięcia Wojewody z większym jeszcze przepychem, które trwały tydzień cały. Kasztellan nie czekając rozjechania się wszystkich, powrócił do Wilna —

Xięztwo młodzi wyruszyli wkrótce potém z Brześcia do Nieswieża, i gdy Zamojski, Żołkiewski, Chodkiewicze, bili się na Wołoskiéj wyprawie, w kraju rozlegały się Zamki odgłosem moździerzów strzelających vivaty i wesołą muzyką.

VIII.

W lat dziewięć.

VIII.

W lat dziewięć.

Było to w roku 1609; jednego smutnego dnia jesieni. Na Zamku Nieświeżskim, w oddalonéj od zgiełku i wrzawy komnacie; któréj okna osłonione były zielonemi

adamaszkowemi firanki, na łożu wysłaném wysoko, pod pawilonem zielonym ze złotemi sznurami i frędzlami, leżała kobiéta młoda jeszcze, ale blada i wychudła. Włosy jéj rozpuszczone czarne, na białéj rozsunęły się poduszce, jedną ręką nasuwała na siebie nakrycie podbite futrem, drugą trzymała chustkę na ustach sinych i spiekłych. —

U nóg jéj siedziała młoda jak ona, jak ona zwiędła kobiéta, smutnie jéj patrząc w oczy. Milczały, spoglądały na siebie i rozumiały się.

Cichość była w komnacie, którą zégar tylko powolnie ruszający się przerywał jednostajnym chodem, a niekiedy trzask dopalającego się na kominie ognia.

— Teresso, zawołała kobiéta leżąca na pościeli, popraw ognia — mnie zawsze zimno, ja drżę.

Kobiéta u nóg siedząca powstała i zaczęła dokładać drewek w milczeniu, potém wróciła na miejsce i okryła panię swoją, drugiém jeszcze futrem.

— Jeszcze zimno, Xiężnéj Pani? spytała.

— Jeszcze — zawsze! odpowiedziała cho-

ra, na chwilę, pali mnie ogień we wnętrznościach, płomienie chodzą po głowie, świécą w oczach; pieką rozżarzone dłonie — potém znowu śmiertelny dreszcz porywa i zimno, tak zimno, tak okropnie zimno! Daj mi pić!

Służąca podała Xiężnie kubek z przygotowanym napojem, chora do ust go dotknęła, skrzywiła się i oddała nazad.

— Daj mi wody — szepnęła cicho— to napój, któren mnie nie ochłodzi, gdy mi się pić chce, ale rozżarza pragnienie. I gorzéj mi po nim jeszcze. Patrz jak usta moje śpiekłe, jak wyschły, daj mi wody?

— Lekarz zakazał, odpowiedziała sługa.

— Lekarz! Bo pocóż słuchać lekarza zawołała chora podnosząc się— lekarze ciągle mnie męczą i resztę zdrowia odebrali i życie pewnie odbiorą. Zlituj się nademną, daj mi wody! Ja i tak żyć nie będę. Możeż mi jeszcze co zaszkodzić, gdy już nic nie pomaga. Teresso, na zbawienie twoje zaklinam cię, daj mi wody!

I Teressie łzy się zakręciły w oczach, wahała się, potém wyjrzała przeze drzwi i śpie-

sznie podała Xiężnie kubek z wodą, któren chora odrazu wypiła. Potém upadła na poduszkę i drżéć zaczęła znowu i pociągała na siebie wszystko co było, aby się ogrzać.

— O! jak ta śmierć ciężka! Tak długo się o nią modlić potrzeba, tak bardzo cierpiéć, tyle wyglądać, aż przyjdzie wreście! Mój Boże, czemużem nie zmarła młodą, szczęśliwą w nadziejach przynajmniéj! — Ale Bóg skazał na życie, na cierpienie!!

— Nacóż bo W. X. Mość, zawołała Teressa, dręczysz się temi myślami, da Bóg zdrowie i siły. Złe przejdzie, przyjdzie dobre. Pan Doktor codzień upewnia, że W. X. Mość masz się coraz lepiéj.

— Ja czuję, że gorzéj coraz — coraz bliżéj jestem grobu. Nikt lepiéj odemnie nie wié co się dzieje ze mną — Ja umrę, umrę prędko Teresso, i tém się pocieszam —

— Alboż nie masz W. X. Mość żyć dla kogo!

— Dla kogo! Mamże ja kogo, coby mnie kochał, komubym była córką, krewną! Krewni — nie przyznają się do mnie; a mąż —

— Może kto słuchać? ostrzegła Teressa.

— Niech słuchają, to nie tajemnica — mąż nie że mną się żenił.

— Jakto? Xiężno — zawołała Teressa.

— O! wiedzieli dla czego bić się o mnie chcieli, mówiła Zofja — nie dla mnie to, ale dla majątków, które wzięli po mnie — Prędko potém poznałam niebłogosławieństwo Boże nad głową. Dawne dziecinne przywiązanie Xięcia Janusza, zmieniło się w obojętność;— on poszedł bić się znowu z Chodkiewiczami o Starostwa, o Królewskie łaski, porzucił mnie, zapomniał. A jeśli kiedy przyleciał tutaj, czyż rzekł mi dobre słowo, czy pokazał serce mężowskie? Zawsze w sercu jego pierwsza duma i chęć wzniesienia się— a reszta drugiém była. Z początku jam nie wierzyła w nieszczęście, choć miałem zawsze przeczucie jego; jam szukała w Januszu, towarzysza lat młodych, Brzostowickiego mego Jasia — on się stał tak bardzo innym! — Codzień opadały jak kwiaty, moje nadzieje przeszłe, szczęścia — Wkrótce zostałam wdową, nie będąc matką, bo kiedyż go widzę.? i jak

go widzę Teresso, gdy z wyprawy, z wrzawy powróci, z pocztem przyjaciół i siedząc tu tygodnie, raz lub dwa twarz mi swoją pokaże! — O! lepiéj umrzéć i czas już umiérać. Niedarmo mówił stryj o niebłogosławieństwie Bożém! Widoczne ono nad głową moją.

Teressa nic na te skargi nie odpowiedziała, pochyliwszy głowę na rękach, słuchała w milczeniu swéj Pani, a łzy się jéj w oczach kręciły.

— Gdybyż na pociechę, dałby mi był Bóg choć dziécię! mówiła Xiężna — ale nie, dzieci błogosławieństwem są Bożém, a nad moją głową niebłogosławieństwo. Xiądz nas łączył a — nie błogosławił, on przysięgał usty nie duszą, jam przysięgała płacząc, bo czułam moją przyszłość przed sobą.

— Powiedz mi Teresso, ozwała się po chwili. Czy wszyscy tak ludzie zmieniają się w ciągu życia i pełzną — czy wszyscy tak zapominają! —

— W. X. Mość, odpowiedziała sługa, może nadto wyobraziłaś sobie i nieszczęścia i obojętności od męża. Mężczyzna, musi służyć

krajowi, musi iść na wojnę, musi walczyć, musi za domem większą część wieku pędzić, nie jak my u spokojnych krosien.

— Ach, wiém ja to przerwała Xiężna Zofja, lecz czyż mus mężczyznie wichrzyć i na głowę swoją wieść wojny, a na kraj zaburzenia? dobrowolnie wzniecać niepokoje? A potém — Czyż siedząc tu nie mógłby mi okazać dawnéj przychylności, jedném słowem, jedném spójrzeniem; gdy ja oto, śmierci tylko lada chwilę wyglądam? Czyż nie mógłby mi tych kilku godzin życia osłodzić —

— Xiąże —

— Próżno tłumaczysz Xięcia — Ty chciałabyś mnie pocieszyć! Ja nie chcę kłamstwa! ja czuję jak jest, ja wiém o wszystkiém! On nie mnie kochał, nie o mnie im szło, ale o bogate wiano — Ja byłam niczém w ich oczach, tamto wszystkiém!! Poznałam teraz, wiém — Bóg tak chciał. —

I poczęła drżéć i okrywać się od zimna.

— Gdyby umrzéć, gdyby umrzéć prędzéj, zawołała płacząc. Takie życie, to śmierć powolna, to męka!

I modliła się ze łzami.

Wtém uchyliły się drzwi komnaty i wszedł mężczyzna posiwiały już, zgarbiony, z laską w ręku, w cudzoziemskim czarnym stroju. Był to lekarz nadworny X. J. Mości.

Spójrzawszy na niego, mogłeś wyczytać w twarzy, i charakter jego i historją. Na pokrzywioném licu, które krajały wszérz i wzdłuż marszczki i doły, rozsypane były czérwone plamy, sine guzy, białe blizny. Z między powiek obwisłych, niedostrzeżone prawie wyglądały mu oczy jasne i prawie białe; usta skrzywione w jedną stronę, drgały mu dziwacznie. Nizkie czoło włos siwo-brudny pokrywał aż do brwi prawie, daléj głowa była łysa zupełnie i tylko dokoła trochą téjże barwy włosów pokryta, które kawałami tu i ówdzie przerzucały się. Zgarbiony i na jedną nogę kulawy, podpiérał się laską z gałką pozłocistą. Cudzoziemiec przeżywszy w kraju lat kilkadziesiąt, znał język tutejszy, zwyczaje narodowe i ducha narodu. Usłużny, podły, każdemu się lizał, przed każdym się płaszczył od kogo czegoś się mógł spodziéwać.

Taki był Frizjus lekarz nadworny Xięcia Jego Mości.

Xiężna nie lubiła go; on ją leczył od dwóch lat, zapowiadając jéj niemal codzień polepszenie zdrowia, które się widocznie pogarszało. I teraz przyszedł on z zwykłym uśmiéchem, ukłonem, z zwykłemi nadziejami.

—Xiężna Pani, zdrówsza, gorączka mniéjsza, puls wolniejszy, cera czyściejsza! Chwała Bogu! chwała Bogu, Frizjus się cieszy! Frizjus winszuje J. X. Mości.

—Niéma się czego cieszyć ani winszować, odpowiedziała Xiężna łagodnie— ja się mam gorzéj, coraz gorzéj!—

—Co! gorzéj! zawołał lekarz, gorzéj! Cha, cha! To się W. X. M. ze strachu tak wydaje; ale Frizjus mówi lepiéj, jemu trzeba wierzyć; Frizjus się na tém zna. Tylko potrzeba spokojności, trzeba wierzyć, trzeba lekarstwo brać, tyzannę pić, a nie płakać, nie męczyć się myślami. To najgorzéj szkodzi! Frizjus powiada, że ludzie którzy myślą, samą myślą chorobę sobie zrobić mogą. Naco te myśli i rozmysły! Spo-

kojność! Kiedy Frizjus ręczy, że W. X. Mość wyleczy.

Xiężna zamilkła.

— Mój Panie, czy nie mógłbyś, odezwała się po chwilce, pozwolić mi wody, wasza tyzanna mi szkodzi, a pragnienie pali!

— Wody! zakrzyczał lekarz z oburzeniem— Woda to śmierć dla W. X. M. tyzannę pić— Wyborna! wyborna! Frizjus ręczy! Sam ją sporządzałem z wiadomych mi ziół i ingredjencij przedziwnych. Droga i nieoszacowana tyzanna!

Xiężna znowu zamilkła.

Doktor obejrzał flaszki stojące na stole, poszeptał do ucha słudze i wychodził.

— W. X. Mość, niech raczy być spokojną! Frizjus ręczy za zdrowie Jéj! Coraz lepiéj! coraz lepiéj. Dobréj nocy, W. X. Mości!

— Byliście dziś u Xięcia? spytała słabym głosem chora.

— Byłem, zdrów i wesół, zabawia się z przyjaciółmi i krewnemi. Niech mu Bóg

da długie lata. Frizjus z jego łaski ma kawałek chléba.

— Nie pytał o mnie?

— Spuszcza się na Frizjusa i dobrze robi, odpowiedział lekarz, radzę to i W. X. Mości. Dobréj nocy, a tyzannę pić! to zdrowie powróci!

Drzwi się zamknęły.

— Piłabym ją, gdybym wiedziała, że mnie prędzéj umorzy, cicho odezwała się Xiężna— cóż kiedy męczy tylko! Klęknij Teresso i mów głośno wieczorne modlitwy; ja choć duchem modlić się będę z tobą!

IX.

Łoże śmierci.

IX.

Łoże śmierci.

W drugim rogu zamkowym, na wielkiéj sali, wesoła uczta. Tam zebrali się przyjaciele Xięcia Janusza, jego słudzy, slachta powinna mu i familji; tam

stół nakryty, zastawny misami i puhary, wrzawa rozmowy wesołéj; śmiéchy i wykrzyki.

Już się kończy wieczerza, już beczka srébrem kuta stojąca w kominie, wypróżniona prawie i kurzą się łysiny i czérwienieją policzki i języki latają chyżéj i vivat po vivacie zmyślają, na cześć i chwałę Xiążęcia.

A Xiąże uśmiéchając się, pogardliwym wzrokiem mierzy pijanych, szydzi z nich w duszy, choć kłania im się i braci slachtę serdecznie ściska.

Slachta nie widzi szyderstwa na oczach Xiążęcia, nie pojmuje pogardy jaką na nich z ust rzuca, pijana slachta pójdzie w ogień za niego, bo ją nakarmił, spoił, naściskał i braćmi swemi nazywał.

— Rozkazuj Xiąże slachcie, woła Sędzia Lidzki, rozkazuj, a Chodkiewiczowskich Deputatów posiekamy na kapustę w czasie Sejmiku! Dla Xięcia Pana damy się pozarzynać!

— Dziękuję braciom slachcie, woła Xiąże Janusz, héj puhara, zdrowie braci slachty! Podawajcie wina.

I Xiąże wypił ich zdrowie, a oni uklękli

i klęcząc pili Xiążęce, podrzucali czapki do góry, wrzeszczeli na całe gardło

— Vivat Kasztellan! vivat!

Xiąże dziękował.

— M. Xiąże, zawołał na głos slachcic z Nowogródzkiego — Wszyscyśmy Twoi, gdzie rozkażesz pójdziemy. Każesz drugi rokosz zrobić zrobim, każesz iść z sobą, pójdziém choćby na Araby, każesz rąbać na Sejmikach, porąbiemy, sądzić, osądziemy, slachta Twoja.

I znowu puhary i znowu vivaty — Radziwiłłowskiego domu!! Braci slachty! Pod oknami stoją możdzierze, bij w możdzierze i kotły — Vivat!

Wystrzelono.

Chora Xiężna porwała się z łoża, na którém usypiać zaczynała —

— Co to jest zawołała — co to jest, strzelają, biją się! — Chodkiewiczów oblegli — Krew się leje, wojna między braćmi! Na Boga, jam przyczyną! o mnie się biją!

— Xiężno, przerwała Teressa — co za sen okropny — nikt się nie bije —

— Słyszałam strzelanie!

W téj chwili drugi wystrzał dał się słyszéć.

— Co to jest, bitwa? drżąc i załamując ręce, cicho, przerywanym głosem pytała znowu Zofja — Co to jest?

— Strzelają z możdzierzy na vivat! odpowiedziała Teressa — Uczta u Xięcia, sproszono slachtę, Sejmiki blizkie.

Xiężna upadła na łoże.

— Strzelają i weselą się! powtórzyła jakby do siebie mówiąc — On tam weseli się, gdy tu ja umiéram! O gdyby umrzéć prędzéj! Gdyby tego nie słyszéć, nie wiedzieć, nie widzieć.

Wśród ciszy nocnéj, wykrzyki pijanéj slachty, dochodziły okien Xiężnéj i biły w nie wrzawą stłumioną.

— Weselą się! weselą, wołała — cieszą! Xiąże Pan z niémi — Nie mógł przyjść do łoża żony, bo tam go czekała slachta, tam była uczta — Wolał zostać za puharem i stołem, niż u łoża umiérającéj.

Założyła ręce, powiodła obłąkanemi oczyma po komnacie, spuściła głowę na piersi.

Teressa siedziała w nogach i płakała tajemnie łzy ocierając.

— Cóż mój ród zawinił Bogu, że Bóg tak srodze, ostatnią za wszystkich ukarał, szeptała, takiém życiem, taką śmiercią? O! dziadowie moi nie mogliżeście lżejszego życia i łatwiejszéj śmierci, dziécku waszemu w niebiesiech wyprosić.— I te godziny nocy, w których sen rzadki na oczy Bóg zsyła, przerywa odgłos uczty wesołéj Janusza! Któżby był odgadł przed kilką laty, że teraz taki koniec mój będzie—Dobrze mówił stryj, nad głowy naszemi niebłogosławieństwo Boże!!

Teresso mów modlitwy, ja się z tobą modlić będę.

Zapukano do drzwi.

— To pewnie Frizjus — rzekła Xiężna.

Był to Frizjus w istocie. Przychodził zobaczyć co się działo z chorą i jak zawsze powtórzył—

— Xiężna Pani, ma się lepiéj — spała już trochę!

— Ledwie oczy zmrużyłam, odpowiedziała, zbudziłam się przelękła na odgłos wystrzałów.

— Ha! ha! to Xiąże Pan ucztuje! rzekł le-

karz. Daj mu Boże zdrowie, dobremu Panu! weseli się ze slachtą.

I przystąpił do łoża, wziął pulsu, spójrzał w twarz Xiężnéj, potrząsł głową, nie rzekł więcéj — że ma się lepiéj, zalecił pić tyzannę i wyszedł.

Zawarłszy drzwi komnaty, pokiwał głową, stanął, myślał, patrzał; i szybko posunął się przez szereg komnat, ganki i dziedzińce, do sali, w któréj Xiąże Janusz ze slachtą ucztował.

Wsliznął się w tłum nieznacznie i przybliżył do Xięcia, któremu nizko się pokłonił.

— Frizjus chciałby mieć szczęście, mówić z Xięciem Jego Mością dwa słowa?

— Cóż tam? mów Frizjus!

— Xiężna Pani, szepnął lekarz, ma się źle bardzo, bardzo źle — nie wiém czy tyzanna i pigułki pomogą co — Choroba wzmaga się coraz bardziéj.

— Umiéra! zakrzyknął Janusz porywając się —

— Nie jeszcze, nie — prędko z nizkim ukłonem, rzekł Niemiec — ale nie mogę ręczyć,

nie mogę ręczyć. Xiężna Pani bardzo źle, Frizjus w rospaczy! Zasnęła była chwilkę, strzelanie ją przebudziło, przestraszyło—porwała się ze snu i gorzéj jest co chwila. Frizjus miał sobie za smutny obowiązek donieść o tém W. X. Mości —

Xiąże zamyślił się — Potém skinął ręką na któregoś z swych poufałych —

— Zostań tu gospodarzem, Panie Pietkiewicz, rzekł, ja muszę odejść —

I wyszedł niepostrzeżony, zwoławszy dwóch z biesiadniczéj sali.

Weszli do pokoju Xięcia.

— Jesteśmy na rozkazy!

— Siadaj i pisz, Panie Ostromecki rzekł Xiąże, siadaj i pisz natychmiast donacją, od Xiężnéj Jéj Mości Xięztw Kopylskiego i Słuckiego na mnie—przelanie jéj praw, tytułu— rozumiész?

—Rozumiém Jaśnie Oświecony Panie, rzekł suchy i chudy Ostromecki, zaraz pisać?

— Natychmiast. Naradź się Wasze o formę z znajdującemi się tu urzędnikami i wygotuj akt jak należy do rana.

— Prosiłbym W. X. Mości o potrzebne papiéry.

— Do Archiwum! zawołał Xiąże Janusz, niech ci wydadzą —

— WMość, rzekł do drugiego, jedź po Xiędza Prokopa —

— Natychmiast?

— Téj chwili.

Skinął, odprawił, a sam usiadł pisać. Po krótkiéj chwili, miotany widoczną niespokojnością, wyrwał się z komnaty i przebiegłszy Zamkowe sale, udał się pod drzwi pokoju żony.

Nadstawił ucha i słychać było głos Teressy odmawiającéj modlitwy, za którym Xiężna osłabionym, stłumionym głosem, powtarzała je powolnie.

— Módlmy się za nieprzyjaciół naszych czytała Teressa.

— I za tych co nas obrazili.

— I za tych, powtórzyła Xiężna, którzy nas zdradzili i uwiedli — Przebacz im Panie. Przebacz jemu!

Umilkła.

— Dość Teresso, dość, słabo mi, mówić nie mogę, zasnę może.

Xiąże rozkazał pokojowcowi wywołać P. Teressę.

— Xiężna Pani gorzéj? zapytał jéj surowo.

— Coraz gorzéj, odpowiedziała z westchnieniem. Dziś gorzéj niż kiedykolwiek, przeraziło ją strzelanie z moździerzy—Zasypia i zrywa się, krzycząc przez sen z gorączki.

— Myślicie że nie wytrzyma nocy? spytał zimno Xiąże.

— Niech Bóg uchowa nas od tego nieszczęścia! twarz zakrywając rękoma zawołała sługa. Albo wiém! I zaczęła płakać.

Xiąże spójrzał, wzruszył ramionami i odszedł; a idąc przez puste komnaty mówił do siebie.

— Gdyby umarła, umarła bez zapisu, bez ostatniéj woli! Na cóż bo było spuszczać się i do ostatniéj chwili odkładać, sam winienem, sam winienem. Potrzeba było wcześniéj o tém pomyśléć.

Wrócił i słuchał u drzwi—Nic słychać nie było, tylko trzask palących się drewek na ko-

minku i chód powolny zégaru. Xiąże poszedł niespokojny do siebie; nim ranek nadszedł, posyłał kilkakroć dowiadywać się, czy Akt wieczystéj donacji gotowy, czy Xiądz Prokop przyjechał, czy Xiężna zdrówsza i co robi.

Tak oka nie zmrużył noc całą i nad świtaniem usnął dopiéro, rzucany przez sen niespokojnemi myślami.

Gdy się przebudził, już oddawna P. Ostromecki czekał w przedpokoju z pliką papiérów, a Xiądz Prokop paciérze odmawiając poranne.

— Jak się ma Xiężna? spytał niespokojnie.

— Jak wczoraj!

— Zawołać Frizjusa!

— Frizjus czatował już między zebranemi w przedpokojach i wysunął się jak mógł najprędzéj do Xięcia.

— Byłeś tam dziś?

— Byłem — byłem! Frizjus płacze! odpowiedział, sztuka nic już nie nada! życie się wyczerpało! Źle, źle! Nie mam co kryć przed Waszą Xiążęcią Mością — Czyniłem co mogłem!

— Wiele jeszcze pożyć może? spytał Xiąże.

— Może — kiwając głową odpowiedział lekarz, praeter, propter — do wieczora!

— Ręczysz za to!

— Bóg tylko wie, Frizjus nie śmie ręczyć!

— Zawołać Ostromeckiego!

I Xiąże tyłem się do doktora odwrócił, a on wyszedł.

— Akt donacji?

— Gotowy. Radziłem się *ad formam* Pana Sędziego Nowogródzkiego i Pana Deputata Czerwiakowicza; approbowali moją jakom podał. Zapis obejmuje *generaliter* cały wniosek Xiężnéj Jéj Mości, Xięztwa Sluckie i Kopylskie *cum attinentiis*, wszelakie ochędóstwo, ruchomość etc. etc. nic nie wyjmując i nie odłączając.

— Zapis ten nie może być zaprzeczony, skassowany? spytał Xiąże—Wiem, że PP. Chodkiewicze, protest przeciw niemu zapiszą i pieniać mię będą. Potrzeba się formą obwarować, aby walor miał.

— Forma jak tylko być może najbardziéj

prawna — rzekł Ostromecki, Wasza Xiążęca Mość, może być spokojną zupełnie.

— Xiędza Prokopa!

Uchyliły się drzwi, któremi razem wyszedł Pan Ostromecki zacierając ręce i wsunął się Mnich Zakonu Ś. Bazylego z nizkim ukłonem. Niemłody już, pochylony trochę, choć i tak jeszcze wysokiego wzrostu, Ojciec Prokop, miał postawę mnicha rycerza. Czoło wyniosłe, usta dumne, nos orli, oczy wielkie i pałające, choć zmarszczkami otoczone. Było mu w téj sukni duchownéj, zawadno, nie do charakteru, jakby się w nią dla igraszki tylko przebrał.

Na nizki dość pokłon Ojca Prokopa, skinieniem tylko głowy odpowiedział Xiąże.

— Xiężna Pani, małżonka nasza miła, źle się ma bardzo, rzekł zaraz. Chciéjcie uwiadomiwszy ją wprzód o Waszém przybyciu, udać się tam zaraz. Starajcie się ją przygotować do uczynienia rozporządzenia które na wszelki przypadek, będąc potrzebne z porządku rzeczy, nikogo nie umarza i jest tylko ostróżnością konieczną.

— Rozumiém i uczynię, odpowiedział Xiądz Prokop.

— A jeśli miarkować będziecie, że się nakłania Xiężna Pani, dacie tu znać.

— Idę spełnić rozkaz! I Ojciec Prokop się wysunął.

Pacholik Xiążęcy przeprowadził go do oddalonych komnat Xiężnéj Pani. Ale tu nie zaraz wszedł, oznajmiwszy się wprzód poufałéj Pannie Teressie, która przygotować miała Zofją.

— Xiądz Prokop przyjechał? rzekła zcicha Teressa siadając u łoża Pani, jest w Zamku—

— Posyłano za nim? spytała Xiężna.

— Nie—nie wiém—odpowiedziała Teressa.

— Ja wiém że posyłano. On tu jest niedaleko; Powiedzcie mu niechaj wejdzie.

Teressa wyszła, skinęła i wwiodła Ojca Prokopa.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, rzekł wchodząc.

— Na wieki, szepnęła Xiężna pocichu, siadajcie, Ojcze. Dzięki Wam, żeście przybyli tutaj, właśniem miała prosić, aby po Was

posłano. Wybiéram się w długą drogę, potrzebne mi Wasze błogosławieństwo i uspokojenie duszy.

— Błogosławieństwo, spowiedź, zawsze się zdadzą, rzekł Xiądz, chociażby nie na drogę wieczności. Wasza Xiążęca Mość nie powinnaś myśléć o śmierci — Bóg daje zdrowie w chwilach najmniéj spodziéwanych, gdy łaska Jego Najświętsza zstąpi. W. X. Mość, przy swéj młodości, możesz się jeszcze spodziéwać długiego da Bóg życia —

— Ach! nie chcę go Ojcze! odpowiedziała Xiężna, nie pragnę wcale! Sprobowałam dosyć — Śmierć mi nie straszna.

— Żadnemu Chrześcjaninowi dobremu straszną być nie może, rzekł Ojciec Prokop. Kto w życiu nie miał zgryzot sumienia, ten przy śmierci, nie lęka się wieczności.

Mówił tak dłużéj jeszcze Ojciec, a Xiężna milczała. Po chwili kazała się usunąć Teressie i odbyła spowiedź.

— Ojcze, rzekła potém spokojnie, dajcie mi pomazanie ostatnie!

— Lecz może —

— Dajcie mi je— powtórzyła, ja czuję śmierć moją, a tak spokojniéj umrę.

Obrzęd ten odbył się w przytomności kilku sług tylko. Xiężna spokojnie i pobożnie go spełniła, na jéj twarzy nie widać było tego strachu, jaki gdzieindziéj rodzi myśl śmierci i obrzędy przypominające ją; owszem modląc się przyjęła Oleje Święte, jak gdyby pragnęła i wyglądała końca życia i cierpienia. I modliła się potém jeszcze ze łzami, modliła długo, serdecznie.

— Teraz, rzekł Ojciec Prokop, gdy wszystko się spełniło; jako Kapłan dla spokojności sumienia W. X. Mości przypomnieć Jéj muszę, iż naprzód pomyślawszy o duszy nieśmiertelnéj, powinien także Chrześcjanin, zostawując na ziemi krewnych, przyjaciół, niechętnych, majętność, uczynić stosowne rozporządzenie własności, aby ona potém przyczyną zajść, sporów i zgorszenia nie była; powinien tak zostawić wszystko, aby umiérał spokojny na sumieniu i na duszy. Nie mówię ja tego, dla tego żebym się lękał o życie W. X. Mości, które spodziéwam się będzie jeszcze najdłuż-

sze i najszczęśliwsze; ale że taki powszechny porządek i że jako stróż sumienia obowiązany jestem —

Xiężna słuchała, lekki szyderski uśmiéch błąkał się po jéj ustach.

— Uczynię co potrzeba—odpowiedziała, i o Waszym Słuckim Monastérze nie zapomnę. Módlcie się za duszę moją i rodziców i dziadów moich!

Xiądz Prokop dopełniwszy swego przy choréj obowiązku, wychodzić miał.

— Będziecie u Xięcia małżonka mego? spytała Zofja —

— Idę do niego—rzekł Prokop.

— Proście go odemnie, aby się ze mną zobaczył, powiedzcie mu że jestem źle i czuję się coraz gorzéj. Życie ucieka, niech przyjdzie do łoża konającéj — niech przyjdzie. Powiedzcie mu żem go prosiła.

— Śpieszę spełnić wolę W. X. Mości—odpowiedział Ojciec Prokop i wyszedł z poselstwem do Xięcia Janusza.

Xiąże oczekiwał go niespokojny.

— Wszystkom dopełnił, rzekł Kapłan, Xię-

żna Pani przykładnie i świętobliwie dopełniła spowiedzi, przyjęła viatyk. Powiada, że czuje się gorzéj coraz, chociaż ja od ostatniéj mojéj tutaj bytności, pogorszenia i różnicy nie widzę. Poleciła mi prosić W. X. Mości, abyś —

— Co mam uczynić?

— Abyś poszedł ku niéj i nawiedził ją.

— Będę tam! odrzekł Xiąże—Ostromecki, gdzie papiéry? zawołał.

— Oto leżą przed W. X. Mością.

— Uproście na świadków dwóch panów sąsiadów, albo i więcéj, żeby się pisali pieczętarzami do Aktu —

— Znajdziemy ich gdy będzie potrzeba.

Po tych kilku słowach, wyrzeczonych zimno, Xiąże wyszedł z swojéj komnaty i udał się do żony. Przyszedłszy do drzwi, chwilę się zastanowił, jak gdyby myśli zbiérał, potém pocichu rozwarł je i wszedł.

Na twarz bladą Zofji, wystąpił rumieniec; powstała na łożu i powitała go łagodnie, jak gdyby mu nic do wyrzucenia nie miała. Xiąże Janusz zmięszany kilką słowy ją pozdrowił.

I na jego twarzy znać było poruszenie, nie umiał mówić, nie wiedział co powiedzieć; widok chorej zmięszał go widocznie. Zdawało się jak gdyby zgryzota sumienia, ozwała się po długiém milczeniu.

— Dzięki Wam, żeście chorą nawiedzili, słabo powiedziała Xiężna, własniem żądała widzieć się z Wami. Ja mam się źle i czuję smierć przed sobą — potrzeba było się pożegnać!

I wyciągnęła do niego rękę wyschłą, którą Janusz w milczeniu ucałował.

— Chciałam też póki czas, mówiła daléj, rozporządzić majętnością moją, którą Wam oddaję i przekazuję, zupełnie. Każcie się modlić za duszę Zofji!

Xiąże poczćrwieniał i poruszył się na krześle; jemu przypomniały się może młodsze lata i uczucie młodsze, przyszło wspomnienie dziecinnych chwil z Zofją spędzonych, gdy ją miał na zawsze utracić.

— Dajcie mi ten zapis, któryście kazali sporządzić, ja go podpiszę póki mam siły — rzekła.

A Janusz porwał się z krzesła.

— Ojciec Prokop, mówił Wam o zapisie? zawołał żywo — Wiécie o nim?

— Wiém o nim ale nie od Xiędza Prokopa — odpowiedziała, czułam że być powinien uczyniony ten Akt — Dajcie mi go — Macie go przy sobie!

Zdziwiony Xiąże, dobył papiérów, Teressa na skinienie Pani, podała pióro i Zofja podpisała go. Potém upadła na łóżko i westchnęła. —

— Ustąp Teresso, rzekła i zostaw nas samych.

— Xiąże, rzekła gdy byli sami — to zapewne ostatnia chwila razem, ostatnia moja z Tobą! Ja umrę dzisiaj! W nocy ukazał mi się duch ojca i matki w białych szatach, wołali na mnie i wzywali ku sobie —

— To sen — powiedział Xiąże —

— To było widzenie z nieba! mówiła Zofja i nie myślcie żebym się lękała smierci!

Podała mu znowu rękę.

— Jakże i teraz nawet, ciągnęła daléj, i teraz nawet, nie będziesz dla mnie, nie poże-

gnasz mnie, dawniejszym jak byłeś w młodych latach? Zawsześ zimny Januszu! zawsze duszą gdzie indziéj!

Na tę wymówkę piérwszę w życiu, zadrżał Janusz; już przed chwilą widok Zofji przejął go był i poruszyło teraz te kilka słów łagodnie wyrzeczonych, a tém bardziéj dotykających, doszły do głębi jego duszy. Duma, chciwość, ustąpiły na chwilę z serca jego, zapomniał z czém przyszedł, ujrzał przed sobą Zofję tylko lat dziecinnych, Zofję którą kochał braterskiém sercem, nim przyjął do niego uczucia, co wygnały precz przywiązanie; zapomnieć kazały miłości narzeczonego i brata.

On ukląkł przed nią i schwyciwszy jéj rękę, zapłakał.

Zofja ujrzała to, zajasniała radością, podniosła się — nie wierzyła oczom.

— O! jak niesłusznie narzekałam, zawołała — o! jak dobry Bóg, który mnie taką chwilą przed smiercią obdarzył, jak dobry Ty jesteś, żeś Zofją przypomniał, żeś mi pokazał iż nie zewszystkiém zapomniałeś mnie jeszcze! Dzięki Ci! dzięki! Słodko mi bę-

dzie umiérać, Januszu, Ty jeszcze pamiętasz Zofję, Ty może nie zapomnisz o niéj w Twoich modlitwach!

— Nigdy! rzekł Janusz.

— Nigdy! mówiła Xiężna — Tak i dawniéj mówiłeś, tak przysięgłeś u ołtarza, a jednak! o Boże, jak się wszystko zmieniło. Na łożu smierci, w godzinie skonania, nie chcę Ci czynić wyrzutów, lecz w cóż poszły moje nadzieje, w co poszło szczęście moje! Byłżeś Ty dla mnie jakim przyrzekłeś? Tyś wziął Zofją i porzucił na pastwę samotności, cierpieniu, bez słowa pociechy, bez uśmiéchu. Tyś o niéj zapomniał, Tyś był przyczyną żem wierzyła w niebłogosławieństwo Boże nad nami! A! niech Ci to wszystko Bóg przebaczy, jak ja daruję i zapominam w téj chwili —

— Zofjo — ty mię obwiniasz, rzekł Xiąże, coraz bardziéj poruszony —

— Nie, nie — zapomniałam wszystkiego, nie obwiniam Ciebie, przebaczam Ci moje cierpienie, i dziewięć lat łez samotnych! Tyś musiał służyć krajowi a zapomnieć żony; lecz Janie mój, tyś młody, jeśli ci Bóg da drugą

Zofję, którą weźmiesz pewnie niedługo, weź ją nie kochając, weź ją nie okazując jéj przywiązania! Weź ją jak matkę Radziwiłłom, nie za żonę sobie! Ty nie możesz mieć żony! Żona to druga połowa duszy męża, to jego cień; jéj potrzeba przywiązania, jéj trzeba słońca aby żyła. Jéj słońcem mąż i Pan którego wybrała, któremu przysięgła, dla którego porzuciła i wyrzekła się rodziców, domu, zaparła się imienia swego. Ty nie możesz mieć żony; weź tylko matkę Radziwiłłom; nie obiecuj przywiązania, bo nie dotrzymasz i zabijesz ją, jak mnie —

To mówiąc zakryła twarz rękoma i zapłakała. Xiąże płakał także i milczał. Uczuł on winę swoją i nie śmiał się nawet tłumaczyć.

— Wszystko zapomniane, wszystko przebaczone i jedna chwila, jedna łza Twoja zapłaciła dziewięć lat łez moich! Ja Ciebie nie obwiniam. Tyś wprzódy był Radziwiłłem niż mężem, Ty potrzebujesz pokarmu dla duszy i sławy, bogactwa, wziętości, Ty tém żyjesz. — Weź taką którejby do życia wystarczyło sławy, oklasków, przepychu, którejby

szczęściem mógł być tytuł i znaczenie — Będziecie szczęśliwi! To moja rada ostatnia, Januszu i pożegnanie z Tobą. Zapomnij wymówek, przebacz jak ja przebaczam, proszę Cię przebacz mi wszystko idącéj na lepszy świat grzesznicy. Każ się modlić za duszę moją, ojca i matki i dziadów! A jeśli możesz i Ty sam, zmów za mnie —

— Ty nie umrzesz Zofjo — zawołał Xiąże poruszony —

— O! umrę, umrę! czuję smierć i nie lękam się jéj. Cienie ojca i matki wołały mnie ku sobie, czas mi do nich, bądź zdrów na zawsze i przebacz mi wszystko.

Potém zamilkła znużona długiém wysileniem, łzy jéj kręciły się na oczach, oddech spieszny, ciężki, podnosił wyschłe piersi w których odzywała się chrypka przedśmiertna.

Xiąże spojrzał na nią, była blada i oczy miała zamknięte. Chciał powstać, ona go za rękę wstrzymała —

— Pobądź przy mnie, póki nie umrę! Daruj mi chwilę jeszcze. Mówcie modlitwy, bo życie ucieka.

Teressa uklękła u łoża i głośno z płaczem odmawiała modlitwy nad konającemi. Xiężna leżała blada z oczyma zamkniętemi i nie puszczała ręki męża, któren stał obok smutny, ponury, milczący.

X.

Xiążęta Słuckie.

X.

Xiążęta Słuckie.

Nad wieczorem biły dzwony wszystkich kościołów i Cerkwi miasta i wsi okolicznych; dzwięk ich rozchodził się w powietrzu razem z szumem jesiennego wiatru.

Xiężna Zofja Olelkowiczówna nie żyła — W Kaplicy zamkowéj na katafalku stała otoczona gorejącemi świécami jéj trumna, a przed nią tarcza z pogonią litewską i orłem Radziwiłłów; mnisi śpiéwali, dzwony biły, świéce gorzały, mąż płakał dwa dni w osobnéj komnacie i sprawił pogrzeb wspaniały— a wkrótce; ożenił się z Elżbietą Zofją Xiężniczką Brandeburską.

Tegoż roku w zimie, dwóch podróżnych, zaszli zrana odwiedzić Cerkiew grecką, w Słucku. Jeden z nich był stary i pochylony wiekiem, drugi czerstwy jeszcze i młody. Obu strój skromny i czysty, okazywał uczciwą mierność. Starszy okryty był szubą lisią, młodszy siwą barankową bekiészą. Uklękli przed ołtarzem i modlili się długo, potém stary powiódł oczyma po murach Cerkwi i dojrzawszy wyrytego świéżo złoconemi głoskami na tablicy marmurowéj nagrobku, czytał go powolnie.

Nagrobek był następujący.

D. O. M. S.

Magnorum Litvaniae Dynastarum
Propagini.
Ex Illustrissima Słucij ac Kopyli
Ducum familia, Heu ultimae
Zophiae Olelkoviciae
Patre, Avo, Proavo, Georgio
Abavo, Simone, Atavo Michaële
In Slucko et Kopyle Ducibus
Tritavo Olelkone
Jagellonis Poloniae Regis Fratre
Olgerdi Magni Lithvaniae Ducis Nepote,
Gedimini Pronepote
Vitonij Abnepote,
Matre vero
Barbara ex Illustri Priscarum Familia
Prognatae.
Janussius Radziwil.
Birżarum ac Dubincarum
In Słucko et Kopyle Dux
Supremus Pocillator etc. etc.
Moestissimus Conjunx Conjugi desideratissimae,
Faeminae et genere, et forma, nec non
Virtute aevo suo clarissimae
Non absque lachrymis posuit.
Vixit Annos XXV.

Przeczytawszy ten, zwrócił się stary do drugiego nagrobku po rusku pisanego, tuż obok leżącego. Ten pokrywał zwłoki Xięcia Jerzego ojca Zofji. Przeczytawszy napis, ukląkł stary i ze łzami się modlił.

Właśnie ukończono liturgję i jeden z Xięży wychodzących dójrzał płaczącego u grobu starca. Zastanowił się, przybliżył, a szanując modlitwę i łzy, czekał z zapytaniem, aż starzec z pomocą młodego towarzysza swojego powstał. Naówczas Mnich go powitał.

— Znaliście tego, kogo ten kamień pokrywa? rzekł.

— Był to mój Pan, świéć Panie nad duszą jego, odpowiedział starzec powolnie, ostatni swojego rodu, Jerzy Olelkowicz, Xiąże Słucki! Na moich ręku on skonał, z jego łaski mam chléb dla siebie i dzieci — ze łzami pomodliłem się za niego.

— Nie zajdziecie do Klasztoru? spytał Mnich. Zapewnieście w podróży; nie odmówcie gościnności Mnichów.

— Dziękuję, rzekł stary, ale tu mi przypomniały się tak żywo dawne czasy, młodość

spędzona z Xięciem Panem, że teraz, kiedy już ród nawet wygasł, w kilkadziesiąt lat, nie mogę bez łzów patrzéć na ruinę, i gdybym tu pozostał dłużéj, położyłbym się może, przy dawnym Panu. Póki człek nie patrzał, póki tylko wspominał, mógł jeszcze znieść; ale ten grób, ten grób i grób jego córki biédnéj tak młodo zmarłéj. Trzebaż mi było dożyć, aby po ich mogiłach chodzić, mnie starcowi!

Znużony staruszek usiadł na kamieniu smętarnym, a Mnich tuż przy nim, młody jego towarzysz stał z tyłu za niémi.

— I tak niéma już XXiążąt Słuckich, mówił daléj, niéma ich; ostatnią pogrzebliście bezdzietną — I dobrze się stało, mieli wielcy ludzie skarłowaciéć, lepiéj że ich ród wygasł ze szczętem. A wiécie Ojcze, jaki to ród był, i jaka krew?

— Słyszałem, rzekł Mnich, ale coś nie spełna, opowiadano o tém w mowach pogrzebowych!

— Napisano na nagrobku nawet, przerwał stary, ale pofałszowano genealogją, powiém szczérze Ojcze! Ktoś nieumiejętny pisał. Ja-

to znam ich historją, bom się jéj i nasłuchał i naczytał po kronikach.

— Nagrobek, pisał Ojciec Prokop —

— I napisał, Boże odpuść.

— Jak go nauczyli —

— Któż to Wasz Ojciec Prokop?

— To ja, miły Panie.

— Wy?

— I dla tego właśnie, radbym abyście mi powiedzieli co, o Xiążętach Słuckich, żebym się swego czasu, drukując pogrzebową mowę, mógł poprawić.

— Powiedziałbym Wam z duszy serca, rzekł stary, ale głowa moja dziurawa już, powylatywało z niéj co było mniéjszego, ledwie się co sporsze utrzymało, chybabyście sobie to połatali, gdzie z xiążkami —

— Mówcież tylko; a zawsze się to na coś przyda.

— To już pewnie wiécie, rzekł stary jakie jest pochodzenie Olelkowiczów, od Włodzimiérza Olgerdowicza, Xięcia Kijewskiego, któregoto Witold W. Xiąże Litewski wyzuł był z dzielnicy jego, zabrawszy mu Żyto-

mierz, Owrucz i inne miasta; aż dopiéro za wstawieniem się brata Jagiełły, dano mu w zamian za Kijew, trzydzieści mil kraju, z Kopylem. Tutaj założył on miasto Słuck, oto gdzie jesteśmy właśnie.

Ten Włodzimiérz syna miał Alexandra, z ruska Olelkiem zwanego, i od niego Olelkowiczami, a od Słucka, Xiążęty Słuckiémi, zwać się poczęli. Olelko wsławił się na wyprawach z Witoldem przeciw Moskwie, w których Kijewianom dowodził. Po śmierci Witoldowéj, Litwini chcieli go nawet u Jagiełły na Wielkie Xięztwo wyprosić; ale Zygmunt posiadłszy je pod pozorem zmowy jakiéjś odebrał mu nawet dziedziczny jego Słuck i Kopyl, uwięził w Kiernowie, żonę zaś z dziećmi w Ucianie i podobno ich tak trzymał póki żył, z któréj niewoli, dopiéro ich śmierć nagła Zygmuntowa uwolniła. Po owym wypadku znowu pono na Wielkie Xięztwo, Olelka wiedli Panowie niektórzy, ale tak los chciał, aby nim nie był; powrócono mu tylko Xięztwo Kijewskie, które trzymał jeszcze lat dwanaście. Miał za sobą Xiężnę Moskiew-

ską wnuczkę pono Witoldową, a z niéj dwóch synów, Siemiona Xięcia Kijewskiego i Słuckiego Michała. Byli się oni powaśnili o podział ojcowizny, którą między nich Król Kazimierz, tak podzielił, że Siemionowi całe Kijewskie, a Michałowi Kopylskie Xięztwo się dostało.

Nie będę daléj prowadził WMości ich rodu, bo się ztąd podzielił na dwie gałęzie, ale tylko znaczniejszych wymienię.

Siemion ów Olelkowicz, ośmnaście tylko lat mając, ledwie dorosły ze swojemi ludźmi tylko zebranemi na prędce, zbił dwanaście tysięcy Tatarów pod Grodnem i tém taką sobie zjednał sławę, że go jak przedtém ojca wiedli na Wielkie Xięztwo i forytowali. Swiekier jego Jan Gastold pomagał do tego, ale Kazimierz Król lękając się podziału rządów nie chciał dozwolić, choć publicznie na którymś Sejmie, o to się dopominali Litwini. Umierając Siemion, wedle zwyczaju, posłał Królowi konia swego białego i łuk, z któremi nieraz Tatarów wojował, polecając mu w opiekę syna Wasila i córkę Alexandrę, po-

żniéj Xięcia Ostrogskiego małżonkę! Już tedy i Kijewskie Xięztwo w prowincją zmienione, odjęte im zostało, siedli na Kopylu i Słucku. Niemniejsi przeto bohatérowie i każdy z nich, weźmieszli trzech Jerzych czy Siemionów, stawili się do boju w potrzebie ze swojemi ufcami. Jeden pod Lebiedziowem za ostatniego Jagiełły, dwa tysiące dwieście ludu swojego wiódł do boju — Inni do Inflant słali półki na potrzebę; a żaden krwi i majętności nie żałował!

Z Michała Kopylskiego Xięcia, nie mniéjszych ród poszedł bohatérów! Siemiona syna jego wiedli jak innych na Wielkie Xięztwo, gdy Alexander wybrany został. On to nad Uszą pobił Tatarów na głowę, którzy rychło otrzymawszy posiłki tu go w Słucku oblegli, gdzie im się odpiérać nie mógł. Umarł, ale w żonie i synu dusza jego mieszkała. Anastazja sławna jest ze swego męztwa, jakiego w kobiétach rzadko? Syn Jerzy szesnastoletnie dziécię, z Glińskim na on czas buntownikiem się mierzył, potém jak przodkowie jego uganiał Tatarów, których raz

osiém tysięcy na głowę zbił, potém czterdzieści wracających ze zdobyczą z Litwy poraził, rozproszył, i wodzów im trzech żywcem pobrał. Niemała część sławy dla niego, w zwycięztwie pamiętném pod Orszą; z Tatary potém pod Łopuszną; pod Holszanicą, w Czerkassach, wszędzie zwycięzca się potykał.

I cóż się z tych wielkich ludzi zostało, mówił daléj starzec trzęsąc głową, kilka pisanych złotem kamieni, garść popiołu i kości, pamięci trocha u ludzi!

— Małoż to jeszcze? rzekł ojciec Prokop, małoż pamięci saméj, gdy ona znikome życie przedłuża? Cóż więcéj chcecie od naszego świata i co on więcéj dać może!

— Wieczne im odpocznienie na lepszym i światłość wiekuista niechaj im tam świeci! rzekł stary wstając z kamienia.

— Amen — dodał Mnich pocichu.

KONIEC TOMU TRZECIEGO
I OSTATNIEGO.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

I. Piąty Lutego 11
II. W gospodzie Malcherowéj 33
III. Szósty Lutego 53
IV. Pokój czy wojna? 71
V. Czekali do północy 87
VI. Ciąg dalszy 95
VII. W Brześciu Litewskim 105
VIII. W lat dziewięć 119
IX. Łoże śmierci 133
X. Xiążęta Słuckie 159

DODATEK.

Legenda.

Yako Sathan kusił pustelnika na puszcze.

Legenda ktorą opowiedał Pan Mikołay Krey z Naglowice u Pana Pszonki na Babinie (*)

Pierwszy jeno krok trudny.

Kiedy sie thak owo na thy dussne i graßki, a czudny zabaweczky wssyscy po szypcie zrzucac mamy y jac wam

(a) Pisownia nie jest calkowicie XVI wieku, lecz główne tylko ma ówczesne cechy. Drukowana ta Legenda w *Bojanie. 1838 roku str. 93.*

powiem jedną, pry Pan Rey z Nagłowice powstając, a siwego muskając wąsa; alie mi daczie śliwek necke Panie Stanisławie, żebym sobie gadając gardziele przecierał, a z garniec miodu Lubelskiego od Mathyasza z Winiawy, boć wiecie, że ja nie rad na czczo gadac poczne.

Skinął hnet Pan Pßonka, a pachołkowie mu wino i antypaśtby z owocami przyniesli, ktore koley oßedłßy, przed Panem Reyem sie zastanowiły. Dopieroż zabłyßczał mu on jego żarłoczny żołądek przez oce, y tak prawić począł, często gardło płucząc, a przecierając.

Zabyłem gdziecz to czedł, bo rzecz nie mojey głowy, alboć to w żywociech Swie-

tych, ktory zową Legendy, albo mi to za ſie ongi jaki klicha ſtary, co jesli nie Mnich z ambony w uße kładł. A ta mi sie bajka czy prawda spodobała, ażem ją w pamietaniu zachował chocia bez ymion a miesc własnych, z kim i kedy ſie to działo; a tho ſobie kożdy dokożcie, yako ktory chce.

A miało ſie thak:

Był ongi na pußcze jedyn ſwiąthy puſtelniczek, trawiąc dni ſwoye na rozmyßlaniu a modlitwyech, yako prawy Cenobitha. A był tak wielkim ſwoyego ciała, ba wßelkiey cielesnosci nieprzyjacielem, że żył ono zyoły a korzonkamy yakie na oney pußcze naydował pod nogi, nie bacząc na wygode, cho-

dząc w skorze zwierzecey, bez wßelakye-go schronienia a dachu nawet od słoty y złey pory. Y był przyßedł do tego sto-pnia moczy nad sobą, iż w dumie swey powiedział dußy swojey.

— Otociem ja wolen grzechu, y żaden mnie sathan nie skusi na zło.

Rzekł tho, alisci gi Bog usłyßał i zesłał nań czarta aby go kusił, a było mu ymie Mephistophilis, ktory yest yeden z dukow piekielnych abo starßych, a przeto przebiegleyßy a chytrzeyßy od ynnych, yako tho theologom wyadomo. Y skrobał sye w głowe Sathan a my-ślał yakoby gi pożył, y niewidział sła-bey strony, y zayrzeć nie mogł w yego serce, z kąd by go ranił, tak sye on swią-

thy człowieczek od świata był odwiązał. Alec już go nie puszczał ani na chwile, tylko krok w krok za onym pustelniczkiem chodził a śpiegował gi. Wszakże długo bezskutecznie, bo głosu iego słyszec nie mogł, a przeto serca spełna nieznał. Nie zraził sie jednak sathan, a konczył swoye, y rok tak już z onym swiątbym na puszcze przemieszkawszy, począł mocznieyszych szukac srodkow ku pokuszeniu, aby go w utrate cnoty uwiodł.

A stało sye thak, yż on swiątby człowiek wyszedł raz na brzeg lasu y modlił sie patrząc na zachodzące słońce. I spodobał mu sye widok swyata, jakiego niemiał dawno. A był wieczor wio-

ſenny, woniejący zioły i czudny, y ci-
chośc yaka przed nocą bywa uroczyſta
a dumanyom pochopna. Znienaczka wiec
za naprawą Bathanſką, jął dumac prze-
ſtawßy ſye modlitwy on ſwiąthy czło-
wiek, a cofając ſie myſlą młodosc ſwoyą
przypomnyał. Bo yle razy człowyek
duma y rozważa w dußy ſwoiey, zawße
wroci do wiosny życia, yako do zrodeł
wracaya wody po długim zakrencie,
obyegłßy prawie ſwiat cały.

A thak przybyły mu na myſli mło-
dy yego latha, yako ſye wyhowywał
u pana rodzicza ſwego y u drogiey ma-
cierze ſwey, y odnowiły mu ſye w my-
ſli pola oyczyſte, rowniny y niwy ktho-
rych był dawno dla Boga zapomnyał

y zdało mu ſye yako by był mały y yakoby jeßcze na matczynych reku ſpoczywał, y zdało mu ſye ſłyßec oycowſkie napominanie y braci a ſioſtr ßczebiotke. Aż z myſli do myſli przyßedł do tego yako był chłopieciem, a oyciecz mu konya darował ktory był mały, a czudnie rzezki, y znał go yako pies abo ptak hodowany własnie.

A thak wſpomnienia thy znowu ſerce yego ku zyemi ſkłoniły y jął żałować przeßłosci swey y mimo woley wyrwały mu ſye ſłowa.

— O gdybycz teraz mogł choć widziec takiego konika!

A ßathan ktory go nigdy nie opußczał y okazyey ono ßukał, poleciał a

przyniosł konya z siądzeniem; takiego własnye o iakim on swiątby wspomniał y w tey chwili pożądał. Zdumyał sye swiątby człowiek uyrzawßy go przed sobą, alic sye czartowskiey ßtuki w tem niedowąchał, i myślał ano mu Bóg w ciężkiem żywocie zesłał te nagrode; y jął Bogu dziękowac a rozpłakał sye yako dziecie na widok then y cały myßlą w przeßłosci sye utopił.

Patrzał, obchodził, a oglądał konya y głaskał go ręką, całował a obłapyał yako był zwykł za młodu. Aż z oney pießczoty, chec go niepomierna wzięła przeyechac sye na nim troche, y nie postrzegł sye że duśsa yego już sye była od

nyeba dla zyemſkiey acz niewinney roſkoße oderwała.

Y ſyadł na koń ów puſtelnik, aż oto, Sathan co ſye był w konya przedzierzgnął aby go kuſił, predkim lotem unyoſł go w powyetrze, wyſoko y thak ßybko, że wprzód całą zyemnye, potym zaſie y ziemi już nie uyrzał. A że gi ſtrach przeiął wyelki i począł drżeć y myßleć czo ſye z nim ſtało? a upamyetać ſye nie mógł, mnyeniąc że jeſt yako drugi Elyaß żywcem do nyeba porwan.

W tym Sathan, ozwał ſye doń przez Konya w ktorego ſye był przedzierzgnął.

— Swiąthy człowiecze, pry, aboczyem nie ſkuſił? A toć jeſt fortel ßatańſki, a

teraz w mocy mojey jesteś y uczynye z tobą co sam zechce.

A on pustelniczek rzekł, drżąc wielmi.

— Cóżem ci uczynił, abyś mnie tak srodze przestyadował?

— Sam to Pan, nie ja, zesłał mnye, pry czart, abym cje upokorzył, iż rzekłes w duße swoiey, że nie maß grzechu, a ßathan mocy nad tobą.

Przyznaye sye, iżem słaby, yako ludzka istota, rzekł swiątby.

— Alec na tym niedosc, bo w tym coś dotąd uczynił, niema grzechu, a ya do grzechu wprowadzic cje postanowiłem y niepußcze cie, a o zyemie rozbije z tey wyżyny upusciwßy, jesli mi grzechu popełnic nie poprzysiężeß.

A ſwiąty jął gorzko płakać y lamentować mówiąc.

— O! na coż mnie ty myſli y żądania przywiodły. Otociem w reku ßatanſkim y grzechu blizko y utrace nyebo, na którem całe życie pracował. Puść mnie ßatanje lub rozbij, a do grzechu nie wwiedzieß.

— Dobrze, rzekł czart, toć ſie z tym nie ſpießmy. A ſpójrz ono pod nogi ſwoye y obacz ſmierć ową o którą proſiß: A ukazał mu ßatan ßtuką ſwoyą dyabelską, prawie pod nogamy yego, naprzód chmury czarney ſtraßliwy pyorun w onych ukryte, a niżey onych przeglądające ſkały oſtre yako noże y nayeżony w gore, a morze pod nimi. A uy-

rzawßy to ſwiąty ów zalękł ſie wielmi y począł y począł trząść ſie mówiąc:

— O Boże moy nie dozwol mnie themu nieczyſtemu ſathanowi do grzechu dowieść. A ſathan śmiał ſie y mówił.

— A toćeś w reku moyem y z onych nie wydzieß bez ßwanku, albo cje oto rozgruchocze, tak że lat dzieſieć y ſiedemkroć dzieſieć bedzieß padał z góry y widział ſmierć ſwoyą co chwila, nizeli umrzeß. Albo mi przyſiąż iż zgrzeßyß.

A ſwiąthy z wyelkiego przeſtrachu począł mówić do ſathana.

—Duchu nyeczyſty, ponieważ cye Bóg na moje upokorzenie zeſłał, yakiegoż chceß grzechu po mnie?

— Oto, rzekł ſathan naſmiewając ſye

nießczeſliwemu, daje ci prze łaſke moyą trzy grzechy do wyboru: pierwßy abyś sie upił, wtóry abyś cudzą żonę na grzech przywiódł, trzeci abyś mężobóyſtwo popełnił.

A ſwiety z onego obrzydzenya yakie myał do grzechu począł ſie wzdragać y wołac.

— O ßatanyc! azaliż ci niedość abyś mie do grzechu przywiódł, trzebaż ci jeſzcze tak ſrogye y ciężkie wyſtępki dawacz mi do wyboru?

A on Mephiſtophilis pry na tho:

— Yeſteś w moczy moyey, a przed sie ròb yako chceß.

A myßlał ſwiąthy, a zdało mu sie, że chocia piańſtwo jeſt rzeczą bardzo

ſprosną a grzechem wyelkim, boć duße naßą nieſmiertelną plami y oną w ſobye wrzkomo topi, yednakże rozumyał, aby to myał być z tych trzech grzechów namnieyßy, y rzekł ßatanu.

— Ano kyedy taka wola Boża nademną, wybieram piaństwo.

Y rzekł mu ßatan.

— Dobrze yeſt.

Abowiem widział yż od tego grzechu wßelki inny yakoby ze zrzódła początek ſwóy byorą, czego ſwiątby nye rozumiał, a nie ſpodział ſie. Y rzekł mu ßatan.

— Przyſiąż mi na duße ſwoyą, że ten grzech popełniß.

A ſwiątby rzekł —

— Przyſiegam.

Aż w owey chwili, koń i z nim ſpuſczać ſie począł lekko ku zyemi. A była już noc, ono xiężyc ſwiecił a gwyazdy pałały na niebieſiech. Y powoli uyrzał on zyemye, a na niey ſiryątło w miaſtach y po wſiach y ludzi yakoby mrówie przechodzące po nij. A potym uczuł dym zyemi y ßum, gwar, ßeleſt, aż ſpuſcili ſie, y ſtaneli z koniem.

Lecz za ſye nie na puſtyni, alie w mießczie a grodzie wielmi wielkim, przed ſamymi drzwiami a wrotyma goſpody. Y rzekł mu ßatan.

— Wniydź y upij ſie, abowiem zwyązałeś ſie przyſięgą, a ja pilnować cje

bede y krokiem cie nie odstąpie, aż grzechu dopełniß. Y świątchy rzekł:

— Aboż thak nagi wnide na posmiewisko do gospody?

Abowiem już go była blizkość świata myślami y wstydem światowym owioneła, a Bathan cießąc sie rzekł mu:

— Oto odziene cie w ßaty bogate y dam ci trzos w pasie ze złotem, abyś za grzech twóy zapłacił.

Y tak sie stało, że on świąthy wßedł do gospody upokorzony, myßląc o upadku a wielkiem nießczęściu swoym. Y byli tam kupce, którzy za stołem syedzieli y pili y innych ludzi różnych wyeile, yako wiec bywa w gospodzye, kedy różnego narodu schodzi sie cżba, a każdy w nij pan, kto

jeno płaci. Jedni rozprawyali o oßukańſtwiech, drudzy o innych wßeteczeńſtwiech ſwoich, yako prawi yawnogrzeſznicy, inni bawili ſie z nyewyaſtami ſraucymeru S. Marka [1] a wßyſtko ſie dzyało tak ßkaradnie iż ſie ſerce ſwiątheniu pustelniczkowi na on wydok wzdrygało. Y chcyał był nawracać oną zgraye, lecz wſpomniawßy yż y ſam nie był wolen grzechu, a przyßedł aby go popełnił, ſtadł a milczał. Aż pòyrzawßy na ßaty yego nadeßła k niemu goſpodyni domu młoda a chedoga białogłowa, pytając czegoby pragnął. A on rzekł:

— Wina.

(1) Wyrażenie współczesne, niewiadomego pochodzenia.

y poßła ona kobieta y przyniosła mu go, dobrego a najlepßego.

Owoż kiedy hippokrat ów z żołądka do głowy mocno skutkować a burzyć sie począł, yako to wiec u tych bywa, co same wode piją; swyat yakoby inszy stanął przed oczyma yego, ze wszystką Mammony pieknoscią, y zagasłe w sercu pustelniczym żądanya a myśli, yakoby cudowną mocza szatańską z korzenia odrosły. A tak pijąc ulubował sobye już pianństwo i co z początku mimo swey woley czynił, to już kończył z ochotą y roskoszą, aż drugi dzban onego przednyego wina podacz rozkazał.

Tym czasem ona gospodyni kreciła sye po izbie. A była młoda y hoża niewyasta

jakom rzekł, yako ony bywaią co po go ſpodach ſyedzącz, wymówny ßczebyotliwy, zalotnicy prawie wdziękami ſwymi ßynkują.

A ſwiąty on uyrzał w oney wdzięki wſzytki y dziwił ſie im i myſzlą ſzukał ſpoſobu yakoby ich używał, tak go było ono wino odurzyło a Boga zapomniecz dało. Toż kupce i inny owi ludzie yacy byli w goſpodzye na nocleg do konyech ſwych a wielbląduech poſzli, inni po izbyech ſie rozeſzli; a on ſam ſwiąthy z goſpodynią zoſtał, czem jeſzcze ſmielßy, a pretſzy do grzechu a złego ſtał ſie.

A nareſcie, ſkuſzony ſam od czarta, ſkuſił y ſam niewiaſthe do wielkiego grzechu pieniędzny, ktòry mu był dał

czart. ꝯ ſtało ſye, yż ſie układli razem, a ſpali w grzechu. A ona niewyaſta rzekła.

– Gdyby mąż a pan mòy powrócił, zabijłby mnie.

ꝯ rzekł on ſwiątły;

– Nie bòy ſie, boc nie przybedzie, a gdyby przybył, ja cje obronie. ꝯ w tem poſpali ſie twardym ſnem.

Aż oto ſtuk ſie zrobił wyelki y ſwyatło ocykaiąc ſie uyrzeli przed ſobą, a nad łożem ſtał mąż oney białogłowy krzyczący a wywijający mieczem. On ſwiąty ze ſnu porwawſzy ſie ſzukał czemby ſie bronił, aż napadł topor pod ręką i tym machaiąc na obie ſtronie, tak ſie mężnie potykał, yż ciąwſzy przez głowe

męża niewyaſtky, trupem gi położył. Toż krzyk powſtał niezmierny y kupce, a ludzye ony noclężanye ſie zbyegli y ſąſiady y ſędzyowije onego myaſta y pochwycili gi y zwyązali: A jemu yakoby nagle otworzyły ſie oce y uyrzał ſzkarade ſwoych grzechów y przypomnyał yż za yeden ktyóren był przyſiągł ſzatanu, trzy wſzytki yakie żądał, popełnił. Y wyelkim głoſem, yął płakać a narzekać, wołaiąc, aby go na ſmierć wyedziono było. Y opowiedał ſwoyą hiſtoryą wſzytkim, o ſmierć napretſzą proſząc, ktorzy ulitowawſzy ſie wolno gi puſcili. Z tąd że powrócił na puſcze y płacząc a narzekaiąc nad ſlepotą ſwą Pana Boga Myłoſcziwego przebłagał, a z oczow ye-

go płynęły łzy yako dwa poniki wody z pod góry.

Widziczie owo co to za grzech piaństwo, boć yeſt matką wſzelakiey ſproſności i widziczie iż naſwiątſzy powiedzieć nie ma w ſerczu ſwym:

— Otociem bez grzechu, a ſzathan niema moce nademną.

Bo Bóg ukarze dume yego i ſtrąci go myedzy zbrodniarze, abowiem niema ciała bez zmazy, a pôki ono duſza w ciele, rzec nie może.

— Utrzymam ſie bez grzechu.

Bo bez zmazy y grzechu, Bóg tylko y angiołowie yego.

NOWE DZIEŁA

Nakładem i drukiem Xięgarni pod firmą

Józefa Zawadzkiego

w Wilnie wydane.

Obraz bibliograficzno-historyczny literatury i nauk w Polsce, *od wprowadzenia do niéj druku po rok 1830 włącznie, z pism Janockiego, Bentkowskiego, Ludwika Sobolewskiego, Ossolińskiego, Juszyńskiego, Jana Wincen. i Jerzego Samuela Bandtków, wystawiony przez* A. Jochera.

Prenumerata na to dzieło ciągle się przyjmuje po rub. sr. 2 k. 40 na tom każdy, a r. sr. 3 z pocztą. Ktokolwiek odtąd na to dzieło prenumerować zechce, złoży rub. sr. 4 kop. 80 za Tom I. skończony i II. będący pod prassą, a z przesłaniem pocztą r. sr. 6.

Słownik Łacińsko - Polski, na wzór najcelniejszych Europejskich Słowników, a mianowicie nowego wydania Forcelini, Freundta, Schellera, Pasowa, i t. d. przez Xiędza Florjana Bobrowskiego ułożony, z dodaniem wyrazów do nauk medycznych służących przez *Professora F. Rymkiewicza.* Wydanie drugie zupełnie przerobione, i znacznie powiększone we dwóch Tomach in 8vo górą sto arkuszy ścisłego i pięknego druku w wielkim formacie zawierać mających. Tomu Igo Część Isza i IIga już wyszły z pod prassy, trzecia równie też niebawem wyjdzie. Cena tak przystępna prenumeraty rubli srebrem 4 kop. 20 zostawia się tylko do zupełnego ukończenia Części 3ciéj i ostatniéj Tomu Igo. — Poźniéj dla znacznego powiększenia dzieła podniesie się do rub. sr. 5, a nakoniec po wyjściu Tomu 2go, już niezawodnie za dwa Tomy rubli srebrem 6 nastąpi.

DZIEŁA J. I. KRASZEWSKIEGO.

1). Historja Wilna od początków jego do roku 1750 zawierająca historją wypadków, jakich ten starożytny grod litewski, w ciągu kilku wieków doznał, kolei przez jakie przeszedł, historją wszystkich świątyń, klasztorów, znakomitych publicznych gmachów, zakładów dobroczyn-

nych, bram i murów miejskich, słowem wszystkiego co tylko do tego miasta odnosić się może.

Całe dzieło zawrze 4ry Tomy, na welinowym papierze drukiem pięknym i wyraźnym. — Cena prenumeraty na 4ry tomy rub. sr. 8, która po skończeniu dzieła znacznie podniesioną zostanie.

2). Szkice obyczajowe i historyczne: pod tym tytułem, zamierzył J. I. Kraszewski, wydawać najcelniejsze romantyczne utwory swoje już to historycznéj już obyczajowéj treści. Następne wyszły już z pod prassy:

Powieść 1sza *Całe życie biédna* 1 Tom r. sr. 1.

Powieść 2ga. *Mistrz Twardowski* z podań gminnych 2 Tomy in 8vo. . . . . r. sr. 2.

Powieść 3cia. *Pan Karol* Szkic fantastyczny 1 Tom kop. 75.

Powieść 4ta. *Historja o bladej dziewczynce z pod Ostréj Bramy* 1 Tom . . . . . r. sr. 1.

Szkic 5ty. *Stańczykowa Kronika od r. 1500—1503*, 1 Tom . . . . . kop. 75.

Powieść 6ta. *Cztéry Wesela* z dodatkiem Improwizacji fantastycznéj *Było nas dwoje* 2 Tomy ozdobione 3ma rycinami . . . r. sr. 2 k. 25.

Powieść 7ma. *Poeta i Swiat* 2 Tomy in 8vo· r. sr. 2.

Powieść 8ma. *Ostatnia z Xiążąt Słuckich* 3 Tomy in 8vo. . . . . r. sr. 3.

Obrazy Litewskie Sceny z życia potocznego przez Ignacego Chodźkę 2 Tomy in 12. na dobrym papierze, zawierające następne powieści: *Domek Mojego Dziadka — Boruny — Śmierć Mojego Dziadka — Ostatnia Sessja Exdywizji — Samowar—Powrót Dziedzica.* — Cena 2 Tomów r. sr. 1 k. 25.

Obraz Myśli Mojéj na pamiątkę żonie i dzieciom przez Florjana Bochwica, Część 1sza i 2ga in 8vo . . . . . r. sr. 1 k. 20. (Część 2ga przedaje się osobno po kop. sr. 60).

O ukształceniu duszy czyli wychowaniu moralném przez Michała Choroszewskiego. Wydanie ozdobne in 12mo na welinowym papierze, cena . . . . . k. sr. 60.